

ALISTAIR MACLEAN

NOC BEZ BRZASKU

**TYTUŁ ORYGINAŁU NIGHT WITHOUT END
PRZEŁOŻYŁ MIECZYŚLAW DERBIEN**

ALISTAIR MACLEAN

NOC BEZ BRZASKU

TYTUŁ ORYGINAŁU NIGHT WITHOUT END

PRZEŁOŻYŁ MIECZYŚLAW DERBIEŃ

PONIEDZIAŁEK — PÓŁNOC

Jackstraw usłyszał pierwszy. Tak było zawsze — on zawsze wszystko słyszał i widział pierwszy.

Zmęczony stałym, systematycznym rozgrzewaniem rąk, zamknąłem książkę, zaciągnąłem aż do końca zamek błyskawiczny mojego śpiwora i od czasu do czasu spoglądałem na Jackstraw. Jak zwykle rzeźbił swoje maleńkie figurki z kawałka kości narwala. Nagle ręce mu znieruchomiały. Wyprostował się. Następnie, jak zwykle nie spiesząc się, wrzucił wykonane arcydzieło do dzbanka, który stał na niewielkim naftowym piecyku i w którym bulgotała kawa. Zdziwił mnie ten gest. Wiedziałem, że amatorzy starożytności płacili fantastyczne sumy za jego figurki, myśląc, iż są one rzeźbione z kości mamuta.

Zbliżył się cicho do otworu wentylacyjnego. Przez chwilę stał nieruchomo, wpatrzony w nieprzeniknioną ciemność. Wystarczyły mu dwie sekundy.

— Samolot — stwierdził swoim zwykłym tonem.

— Samolot? — Uniosłem się na łokciu i przyjrzałem mu się uważnie. — Jackstraw, przyjacielu, czyżbyś znów składał hołd boskiej butelce?

— Naprawdę nie, doktorze Mason. — Jego niebieskie oczy, zadziwiające w ciemnej, ogorzałej od północnych wichrów, szerokiej twarzy z tak charakterystycznymi dla Eskimosów wystającymi kośćmi policzkowymi zwężyły się: Jackstraw pił wyłącznie kawę i wiedział, że ja też o tym wiem.

— Słyszę go bardzo dobrze. Niech pan podejdzie, a usłyszysz go pan również.

— Nie, dziękuję.

Potrzeba mi było całego kwadransa do ogrzania śpiwora. W tej chwili zacząłem już odczuwać

ciepło. A Bóg raczył wiedzieć, co oznaczała obecność samolotu nad środkiem tego ponurego lodowca. Jego pojawienie się było co najmniej dziwne. W ciągu czterech miesięcy, a więc od czasu, gdy nasza stacja, założona w ramach Międzynarodowego Roku Geofizycznego, zaczęła działać, nie mieliśmy żadnego kontaktu z leżącym daleko za horyzontem, w odległości tysięcy kilometrów od nas, cywilizowanym światem. Czy koniecznie musiałem wstawać, aby znów marznąć? Położyłem się wygodnie na plecach i spojrzałem w stronę otworów okiennych. Były pokryte grubą warstwą szronu i śnieżnego pyłu. Odwróciłem się do Jossa, naszego radiotelegrafisty, młodego londyńczyka. Siedział na krześle i spał.

— Czy pan go ciągle słyszy? — spytałem Jackstrawa.

— Coraz wyraźniej, doktorze Mason. Coraz wyraźniej. Jest coraz bliżej.

Zadałem sobie pytanie — przyznam się, że z pewnym zniecierpliwieniem, gdyż tutaj, w tym naszym maleńkim, zamkniętym i solidnie zbudowanym światku, w którym niechętnie widzieliśmy jakichkolwiek przybyszów, czuliśmy się jak u siebie — skąd mógł się wziąć tu ten samolot? Przez moment przypuszczałem, że jest to, być może, samolot służby meteorologicznej z Thule... Ale po chwili wydało mi się to mało prawdopodobne. Thule było od nas odległe o ponad tysiąc kilometrów, a ponadto byliśmy z nim w stałym kontakcie. Trzy razy dziennie przekazywaliśmy im nasze biuletyny. Więc może to bombowiec amerykańskiego lotnictwa strategicznego, kontrolujący najdalej wysunięte radarowe posterunki alarmowe Amerykanów, albo samolot należący do jednego z wielkich towarzystw lotniczych, badający nową drogę polarną? A może po prostu jakiś miejscowy samolot, który wystartował z Godthaab i leci gdzieś w specjalnej misji wojskowej?

— Doktorze Mason! — Tym razem głos Jackstrawa był wyraźnie napięty. — On ma z pewnością jakieś trudności. Krąży nad nami... Jest coraz niżej i coraz bliżej. Wielki samolot. Jestem tego pewien. Ma kilka silników.

— Dobry Boże! — zawołałem.

Schwyciłem jedwabne rękawiczki, które w nocy zawsze wieszałem nad głową, i szybko włożyłem je na ręce. Otworzyłem śpiwór. Zakląłem, kiedy moje nagie ciało zetknęło się gwałtownie z mroźnym powietrzem, i prędko zacząłem się ubierać. Za ledwie pół godziny temu zrzuciłem z siebie ubranie. W tej chwili było już jednak zupełnie sztywne i przeraźliwie zimne. Temperatura w naszym pomieszczeniu nigdy nie przekraczała zera. Ubrałem się w ciągu trzydziestu sekund. Nie zapomniałem o niczym, bo pod tą szerokością geograficzną nie wolno o niczym zapominać. Gruba bielizna, wełniana koszula, wełniane spodnie, wełniany skafander, podbity grubo jedwabiem, dwie pary skarpet i filcowe buty. Pod siedemdziesiątym drugim stopniem i czterdziestoma minutami szerokości północnej, na grenlandzkim lodowcu, którego pokrywa lodowa przekracza dwa tysiące sześćset metrów, instynkt samozachowawczy każdego uczy pośpiechu. Wyszedłem z mojego boksu. Przez otwór w śpiworze Jossa widać było tylko jego nos.

— Niech się pan obudzi, Joss! — Potrząsnąłem nim.

Wyciągnął rękę i zdjął z twarzy kaptur z maską. Ciągle jednak nie mógł otworzyć oczu. —

Niech się pan zbudzi wreszcie, chłopcze! Będzie pan potrzebny.

— Co się stało? Co się dzieje? — spytał przecierając oczy. Przez chwilę przyglądał mi się bez słowa, a następnie spojrział na zegar wiszący nad głową. — Północ. Przecież spałem za ledwie pół godziny.

— Wiem. Jest mi bardzo przykro. Proszę się ubrać.

Skierowałem się w stronę wielkiego nadajnika. Wskazówki anemometru wskazywały na wiatr północno — wschodni o szybkości piętnastu węzłów — prawie dwudziestu ośmiu kilometrów na godzinę. Ale podczas takiej nocy jak ta, kiedy unoszone przez wiatr kryształki lodu i pył śnieżny hamują obroty wiatromierza, realna szybkość wichury była z pewnością o połowę wyższa niż ta, którą zauważyłem na urządzeniu kontrolnym. Strzałka spirytusowego termografu wskazywała stale

tę samą czerwoną linię: czterdzieści stopni poniżej zera. Myśląc o tych dwóch wskaźnikach: temperatury i wiatru, czułem, jak kurczę się w swoim ubraniu.

Jackstraw bez słowa ubierał się w futra. Naśladowałem go wiernie. Najpierw spodnie ze skóry karibu oraz pokryty futrem rena skafander z kapturem i maską — dzieło żony Jackstrawa, bezkonkurencyjnej krawcowej, następnie buty z foczej skóry, wełniane rękawice oraz wielkie rękawice ze skóry rena. Słyszałem samolot zupełnie wyraźnie. Joss usłyszał go również. Głęboki, miarowy huk silników dobiegał do nas mimo histerycznego wycia anemometru.

— Ale... przecież to samolot! — W głosie Jossa brzmiało nie ukrywane zdumienie, czemu trudno było się dziwić.

— A pan myślał może, że to autobus, i to w dodatku piętrowy? — Włożyłem na twarz maskę śniegową i okulary i wziąłem silną lampę elektryczną, która leżała na szafce, tuż obok pieca.

Kładliśmy je tam zawsze, aby zapobiec zamarznięciu baterii. — Wydaje mi się, że krążą nad nami już ze trzy minuty. Jackstraw uważa, że mają kłopoty. Jestem tego samego zdania.

Joss zaczął się przysłuchiwać.

— Silniki pracują normalnie.

— Ale przecież samolot ma nie tylko silniki.

— Dlaczego jednak krążą właśnie tutaj, nad nami?

— Skąd mogę wiedzieć? Prawdopodobnie dlatego, że nasze światła są jedyne na niebagatelnej przestrzeni stu tysięcy kilometrów kwadratowych. Jeżeli chce wylądować, czego mu bynajmniej nie życzę, jego jedyną szansą jest wylądowanie obok zamieszkanego osiedla.

— Niech mu Bóg pomoże — powiedział Joss beznamiętnym, chłodnym głosem.

Mruczał coś jeszcze, ale go już nie słuchałem. Pragnąłem najszybciej jak to możliwe znaleźć się na zewnątrz naszego zimowego, obłożonego potężnymi bryłami lodu, baraku.

Aby wydostać się z niego, trzeba było przejść przez pomost. Nasz barak bowiem — konstrukcja

z elementów prefabrykowanych, które przywieziono w lipcu ubiegłego roku z wybrzeża — był umieszczony w głębokim, wyrąbanym w lodzie rowie, tak że zaledwie kilka centymetrów wystawał ponad powierzchnię lodowca. Schodzono doń przez niewielkie schody oraz pomost, który był ruchomy i otwierał się bądź do góry, bądź do dołu.

Wszedłem na pierwsze dwa schodki, wziąłem przywiązany tam na stałe młotek i uderzyłem nim w ramię dźwigni uruchamiającej pomost. Chodziło o to, aby rozbić lód, który tworzył się w jego ruchomych miejscach. Trzeba to było robić za każdym razem, gdyż ciepłe powietrze, gromadzące się pod sufitem, wydostawało się na zewnątrz i topiło śnieg, który natychmiast po zapadnięciu się pomostu znów zamarzał. Udało mi się z łatwością rozkruszyć lód. Nacisnąłem dźwignię i przez niewielką szczelinę wydostałem się na zewnątrz. Wiedziałem, co mnie czeka. Było to dziwne odczucie: tak jakby całe ciepłe powietrze, które znajduje się w płucach, zostało nagle wymiecione z ciała przez ostrze zimna. Wichura była dużo silniejsza, niż to sobie wyobrażałem. Skulony, kaszlący, oddychający powoli, aby uniknąć odmrożenia płuc, odwróciłem się plecami do wiatru. Umocowałem maskę śniegową i okulary. Dopiero teraz mogłem się wyprostować. Jackstraw stał tuż obok mnie.

Na wysokim płaskowyzu wiatr nigdy nie wyje i nie huczy, lecz jęczy, zawodzi, lamentuje i wydaje dźwięki pochodzące jakby z zupełnie innego świata. Brzmi to jak requiem dla potępionych, jak krzyk duszy skazanej na mękę. Ten lament wichury doprowadził już wielu do szaleństwa. Dwa miesiące temu musiałem odesłać do bazy w Uplavnik naszego traktorzystę, młodego człowieka. Jego nerwy nie wytrzymały właśnie lamentu wichury. Stracił poczucie rzeczywistości.

Tej nocy ów ponury, żałobny śpiew raz potężniał, raz słabł, choć siła podmuchów była ciągle jednakowa, ciągle wielka.

Wichura wciąż napinała naciągnięte już i tak do kresu wytrzymałości liny antenowe. Przyznaję szczerze, że nie byłem w nastroju, który sprzyja słuchaniu tak makabrycznej muzyki. Ale tej nocy,

na tym lodzie zupełnie inny dźwięk tłumił tę straszliwą pieśń.

Potężny ryk wielkich silników lotniczych wydawał się bardzo bliski. Zwróciliśmy się twarzami w jego kierunku. Niestety, nie mogliśmy niczego dojrzeć. Niebo, choć śnieg nie padał, było pokryte ciężkimi chmurami. Wielkie opady śniegu, rzecz dziwna, są prawie niespotykane na wielkich lodowcach. W powietrzu było pełno małych, bardzo ostrych i wciąż przez wicher nanoszonych kryształków lodu. Kłuły one nas w twarze, przedostając się poprzez najdrobniejsze szpary między maską śniegową a okularami. Sprawiało to potworny ból, który jednak szybko mijał, gdyż te lodowe szpileczki wnikały w skórę i całkowicie zamrażały powierzchnię ciała. Zbyt dobrze znałem niebezpieczeństwo nieodczuwania bólu. Odwróciłem się więc znów plecami do wichury, zrzuciłem wielkie rękawice ze skóry rena i rękami odzianymi już tylko w wełniane zacząłem masować twarz, aby przywrócić krążenie krwi. Potem uchyliłem nieco maskę i wytarłem okulary. Samolot krążył w kierunku odwrotnym do ruchu wskazówek zegara. Wydawało się, że opisuje nie koło, lecz coś w rodzaju bardzo nieregularnego owalu. W pewnym momencie szum motorów jakby się zmniejszył. A w trzydzieści sekund później rozległ się znów, i to o wiele potężniejszy niż poprzednio. Jackstraw coś krzyknął. Zrozumiałem, że musiał go zobaczyć.

Rzeczywiście, samolot znajdował się jakieś osiemset metrów od nas; leciał na wysokości nie większej niż dwieście metrów. Widziałem go zaledwie przez kilka sekund. Czulem jednak, że mój język z przerażenia stał się sztywny, a serce zabiło w piersi jak oszalałe. To nie był bombowiec sił strategicznych USA. Nie był to również samolot meteorologiczny z Thule, którego załoga umie walczyć z arktyczną przyrodą. Długi szereg oświetlonych okienek mógł należeć tylko i wyłącznie do wielkiego pasażerskiego samolotu.

— Czy pan go widział, doktorze Mason? — Maska śniegowa Jackstrawa dotykała mego ucha.

— Tak, widziałem.

To było wszystko, co mogłem powiedzieć. Ale to, co zobaczyłem oczyma wyobraźni, to był nie

tylko samolot, który znów ukazał się w tym straszliwym świecie lodu i śniegu, lecz jego wnętrze wraz z pasażerami. Ilu ich tam mogło być? Pięćdziesięciu? Siedemdziesięciu? Bezpieczni, siedzieli sobie w cieple, w kabinie, w której nie reaguje się na różnice temperatur, bo ich nie ma. W którymś momencie wydało mi się, że słyszę, jak samolot rozbija się, jak trzaska rozdzierający się metal. Widziałem kabinę rozciętą na całej długości i skutki wtargnięcia do wnętrza fali potwornego mrozu, ogarniającego bez różnicy wszystkich tych, którzy pozostali przy życiu: rannych, umierających, nieprzytomnych — siedzących w swoich fotelach i ubranych w lekkie, letnie ubrania...

Samolot zrobił jeszcze jedną rundę i znów leciał w naszym kierunku. Wydawało się, że jest jeszcze bliżej i co najmniej czterdzieści metrów niżej niż poprzednio. Chyba wytracał szybkość. Wynosiła ona w tej chwili nie więcej niż dwieście—dwieście dwadzieścia kilometrów na godzinę. Nie jestem specjalistą w tej dziedzinie, ale sądzę, że dla tak wielkiego samolotu latanie z taką szybkością i na takiej wysokości jest raczej bardzo niebezpieczne. Zastanawiałem się przez moment, czy wycieraczki potrafią usunąć z szyb kabiny pilotów tysiące kryształków lodu, niesionych przez wicher.

A później zapomniałem o wszystkim, dosłownie o wszystkim, prócz jednego: trzeba natychmiast działać. W momencie gdy samolot znikł na wschodzie, jego dziób nagle się opuścił i w tej samej chwili światła dwóch potężnych reflektorów rozerwały ciemności. Jeden z nich oświetlał przestrzeń przed sobą, drugi wyrzucał szeroki snop światła na lód. Chwyciłem Jackstrawę za ramię i zbliżyłem swoją głowę do jego.

— Będzie siadał! Szuka miejsca do lądowania.

Niech pan idzie i przygotuje psy. Niech je pan zaprzęgnie. Mamy traktor, ale nie wiem, ile czasu potrzeba, aby go uruchomić przy takiej pogodzie. Postaram się przyjść panu z pomocą najszybciej, jak to tylko będzie możliwe.

Skinął głową i po chwili zniknął w ciemnościach nocy. Ja też ruszyłem, ale w odwrotnym kierunku. Zakląłem, uderzając się boleśnie o postument jednego z ustawionych na zewnątrz przyrządów meteorologicznych, i biegiem rzuciłem się w stronę pomostu. Pchnąłem go.

Wylądowałem w baraku na plecach. Joss, otulony w futra, ukazał się w drzwiach pomieszczenia, w którym znajdował się magazyn żywności. Jego ręce pełne były jakichś przedmiotów.

— Niech pan weźmie całą ciepłą odzież, jaką pan tylko znajdzie, Joss! — zawołałem. Trzeba było myśleć o wszystkim, a ten potworny mróz hamował nie tylko ruchy ciała, ale i pracę mózgu.

— Niech pan weźmie śpiwory, koce, palta, koszule... I niech pan to wszystko wepchnie do worków.

— Czy pan myśli, że będą lądować? — Ciekawość, niepokój, przerażenie, wszystkie te uczucia mieszały się ze sobą na jego wąskiej, inteligentnej twarzy. — Czy pan naprawdę tak uważa?

— Myślę, że będą próbowali lądować. Ale co pan ma w rękach?

— Granaty przeciwogniowe. — Położył je obok pieca. — Mam nadzieję, że nie zamarzły.

— Znakomicie. I niech pan pamięta o gaśnicach w traktorze. — Akurat, pomyślałem. Jeżeli tysiące litrów paliwa staną w ogniu, te gaśnice bardzo nam się przydadzą, nie ma co! — Poza tym siekiery, bosaki, wiertarki, liny, przewody, no, a przede wszystkim proszę nie zapominać o przenośnym reflektorze. Wszystko to musi być doskonale opakowane.

— Środki opatrunkowe?

— Nie potrzeba. Przy czterdziestu stopniach mrozu krew krzepnie automatycznie. Proszę wziąć jednak walizeczkę z morfiną. Czy w tych wiadrach jest woda?

— Są raczej pełne lodu niż wody.

— Proszę je postawić na piecu. Ale proszę nie zapomnieć o zgaszeniu go i wyłączeniu wszystkich świateł przed wyjściem... A jednak to ciekawe, że my, którzy pracujemy w Arktyce i możemy przeżyć właściwie tylko dzięki ogniewi, najbardziej obawiamy się pożaru... Niech pan

złoży wszystko, co tylko można, obok skrytki na instrumenty.

Odnalazłem Jackstrawa pracującego przy świetle lampy elektrycznej obok schronienia, które zbudowaliśmy dla psów. Wydawało się, że prowadzi straszliwą walkę z wyjąca gromadą. Było to jednak tylko wrażenie. Zaprzął już czwórkę psów do sań.

— Jak idzie, Jackstraw? — wrzasnąłem.

— Pomalutku. — Czuję, że się uśmiechnął pod maską śniegową. — Udało mi się nałożyć na nie uprzęż podczas snu. Pomaga mi Balto. No, ale wie pan, nie bardzo lubi, żeby go budzić.

Balto — czołowy pies Jackstrawa, potężne, ważące czterdzieści pięć kilogramów zwierzę — był potomkiem noszącego to samo imię sławnego psa, który wędrował razem z Amundsenem i który podczas straszliwej zimy 1925 roku, prowadząc swego niewidomego pana, dotarł z całym zaprzęgiem aż do Nome na Alasce, gdzie panowała epidemia dyfterytu. Zaprzęg wiózł wówczas szczepionkę. Balto Jackstrawa był godnym następcą swego przodka. Potężny, inteligentny, absolutnie oddany swemu panu, co naturalnie nie przeszkadzało mu od czasu do czasu szczerzyć na niego potężnych wilczych kłów, umiał zmuszać do dyscypliny wszystkie psy w zaprzęgu.

— Niech pan się spieszy, Jackstraw. Ja pójdę po reflektor.

Ruszyłem w stronę śniegowego stożka, który znajdował się na zachód od baraku. Nagle zatrzymałem się, zamieniwszy się w słuch. Nie usłyszałem nic prócz wycia wichury i skrzypienia skrzydełek anemometru. Odwróciłem się do Jackstrawa.

— Samolot... Czy pan go słyszy?

Jackstraw wyprostował się, zdjął kaptur i przyłożywszy rękę do uszu przez chwilę nasłuchiwał. Skinął głową i znów włożył czapkę.

— Mój Boże! — spojrzałem na niego. — Może już spadli?

Zaprzeczył ruchem głowy.

— Dlaczego? — spytałem go. — Podczas takiej nocy, nawet gdyby spadli pięćset metrów od

nas, nic nie usłyszemy.

— Odczułbym to.

Skinąłem głową w milczeniu. Naturalnie, miał rację. Lodowa powierzchnia Grenlandii jak membrana przenosi każdą wibrację. W lipcu ubiegłego roku, kiedy byliśmy sto dwadzieścia kilometrów oddaleni od brzegu, odczuliśmy wyraźnie drzenie ziemi, gdy góra lodowa oderwała się od lodowca i wpadła do leżącego niżej fiordu. Pewnie pilot samolotu stracił na chwilę orientację. A może robił coraz większe koła, aby odnaleźć nasze światła? W każdym razie istniała jeszcze nadzieja.

Pobiegłem w kierunku rowu, który wykopaliśmy w naniesionym przez wichury śniegu i w którym ukrywaliśmy traktor. Straciłem kilka minut na mocowanie się z przykrywającą go plandeką. Nie mogłem jej ani unieść, ani zwinąć. Olej, którym była nasycona, zamarzł. Szarpnięta mocniej podarła się.

Reflektor był przymocowany do karoserii traktora dwiema śrubami z nakrętkami motylkowymi, ale pod tą szerokością geograficzną nic nie da się zrobić szybko. Śruby, naturalnie, także zamarzły. Normalna metoda wymontowania reflektora polegała na tym, że zdejmowało się skórzane rękawice i własnymi rękami ogrzewało śruby, aby móc je potem odkręcić. Tego wieczora nie mogłem jednak czekać. Wziąłem klucz ze skrzynki z narzędziami i uderzyłem nim w śruby. Prysnęły, jakby były ze szkła. Przyciskając reflektor do piersi, przeczołgałem się pod brezentem i kiedy wreszcie dotarłem do końca zaimprovizowanego garażu, usłyszałem znów ryk silników.

Zbliżał się szybko, narastał. Wydawało się, że samolot jest już bardzo blisko i bardzo nisko. Nie starałem się go dokładnie zlokalizować. Opuściłem głowę, aby uniknąć dokuczliwych ukąszeń niesionych przez wichurę kryształków lodu, i ruszyłem po omacku przed siebie. Raczej domyślałem się, niż wiedziałem, że nie idę w kierunku naszego baraku i pomostu, kiedy silna ręka Jackstrawa zatrzymała mnie. Zajęty był wraz z Jossem ładowaniem różnych przedmiotów na sanie.

Gdy pochylałem się, aby im pomóc, panujące wokół ciemności przecięły snop oślepiającego światła.

Otoczyła nas jaskrawa biała plama wśród nieprzeniknionej czarnej nocy. To Joss, pomyślawszy zapewne — o czym ja znów zapomniałem — że wygaszając światła, pozbawiamy pilota punktu orientacji, wystrzelił raketę.

Odwróciliśmy się wszyscy w tej samej chwili, w której samolot znalazł się znów w polu naszego widzenia, i zrozumieliśmy od razu, dlaczego go zgubiliśmy: pilot kreślił ósemki. Teraz leciał w odwrotnym kierunku, ze wschodu na zachód. Był na wysokości zaledwie siedemdziesięciu metrów; podwozie miał ciągle schowane. Przeleciał jakieś dwieście metrów od nas, sprawiając wrażenie gigantycznego, monstrualnego ptaka. Jego dwa reflektory, skierowane obecnie na lód, wyłaniały z ciemności miliardy iskrzących się kryształków. Po chwili skręcił w prawo i leciał na północ. Zrozumiałem zamiysł pilota. Z rozpaczy zacisnąłem ręce. Teraz nie mogłem już nic zdziałać.

— Antena! — wrzasnąłem. — Trzymajmy się anteny! — Pochyliłem się i pchnąłem sanie. W tej samej chwili Jackstraw krzyknął na Balta. Joss był obok mnie, jego głowa dotykała mojej.

— Co się dzieje? Dlaczego...

— Tym razem siada. Jestem pewien. W kierunku północnym.

— W kierunku północnym? — Nawet maska śniegowa nie mogła stłumić przerażenia w jego głosie. — Przecież oni się zabijają! Zginą wszyscy! Wzgórza lodowe!...

— Wiem.

Na północnym wschodzie teren był nierówny i poważnie uszkodzony. Lód dzięki dziwactwu natury utworzył tu szereg małych pagórków wysokości od trzech do sześciu metrów. Ciekawe, bo w promieniu dwustu kilometrów był zupełnie płaski...

— Nie możemy mu w niczym pomóc. Prawdopodobnie będzie siadał bez wypuszczania podwozia... Dlatego zmienił kierunek. Chce lądować pod wiatr, aby maksymalnie wykorzystać jego hamującą siłę.

— Przecież na południu mógł wylądować z wiatrem! — Joss sprawiał wrażenie człowieka zupełnie przybitego. — Teren jest tam płaski jak stół!

— Mógłby, ale nie zrobi tego! — Musiałem wrzeszczeć, by mnie usłyszał. — On wie, że jeżeli wyląduje nawet w odległości stu metrów od nas, nie będzie miał żadnych szans na odnalezienie światła naszego baraku! Musi lądować pod wiatr. Nie ma wyboru.

Zapanowała długa cisza. Milczeliśmy. Zgięci w pół, aby oprzeć się porywom wichru, z trudnością posuwaliśmy się naprzód. Joss jeszcze raz zbliżył się do mnie.

— Może spostrzeże pagórki! Może uda mu się...

— Nie, nie zobaczy ich — odpowiedziałem spokojnym głosem. — W tej lodowej zamieci zdolność widzenia pilota wynosi z pewnością dużo mniej niż sto metrów.

Antena radiowa, ciężka od szronu, poruszała się niczym wahadło zegara. Siła wiatru potęgniała tu jeszcze, napotykając opór czternastu par masztów, które otaczały ją ze wszystkich stron na długości osiemdziesięciu metrów. Szliśmy wzdłuż anteny jak ślepcy, z wyciągniętymi ramionami, od masztu do masztu, i prawie dotarliśmy już do jej końca, gdy znów rozległ się potworny huk silników lotniczych, które jeszcze przed chwilą wydawały zaledwie głuche pomruki. Łoskot narastał. Był tak potężny, iż wydawało się, że objął wszystko, co nas otaczało. Mimo woli wrzasnąłem, pragnąc przestrzec pilota. Jednocześnie rzuciłem się jak długi na lód. W tym samym momencie potężna sylwetka transatlantyckiego samolotu przeleciała nad moją głową. W pierwszej chwili przysięgłbym, że ręką mogłem dotknąć maszyny. W rzeczywistości samolot przeleciał prawdopodobnie jakieś pięć metrów nad nami, gdyż — jak się później okazało — antena pozostała nie naruszona.

Skoczyłem jak głupi na nogi, by przyjrzeć się temu, co nastąpi. Natychmiast jednak zostałem powalony przez pęd powietrza rozbijanego śmigłami maszyny. Podmuch odrzucił mnie na dobre dziesięć metrów. Wstrzymałem oddech. Silniki ucichły. Zamilkły wszystkie cztery. Jednocześnie.

Mogło to oznaczać tylko jedno: samolot dotknął lodu.

Oczekiwałem drżenia lodowca, ale ten wstrząs przewyższył wszystko, co mogłem sobie wyobrazić. Przeniesiony lodem, sprawił, że cały drżałem. W jednej chwili pojąłem, że nie było to normalne lądowanie. Nie było to również lądowanie „na brzuchu”, ze schowanym podwoziem. Pilot prawdopodobnie źle obliczył wysokość. Zbyt szybko obniżył maszynę. Musiała ulec katastrofie; być może przełamała się.

Mylłem się jednak. Wyciągnięty na zlodowaciałym śniegu, z uchem przytkniętym do lodu odczuwałem wyraźnie ciągłe drżenie, które mogło pochodzić tylko z ocierania się kadłuba samolotu o lód, ze złobienia w nim potężnego rowu. Jak długo to trwało? Nie umiem powiedzieć. Sześć sekund, może osiem. Nagle znów zakołysała się ziemia; tym razem wstrząs był silniejszy niż poprzednio. Usłyszałem wyraźnie odgłos uderzenia wielkiego statku powietrznego o jakąś przeszkodę i huk pękającego metalu. I znów cisza, cisza głęboka, nieruchoma, niepokojąca. Choć niezupełnie — w namacalnej wręcz ciemności nocy polarnej wciąż rozlegało się upiorne wycie wichru.

Wstałem, dygocąc z zimna. Dopiero wówczas zdałem sobie sprawę, że zgubiłem maskę śniegową. Prawdopodobnie stało się to wtedy, gdy przewrócił mnie podmuch powietrza wywołany wibracją śmigieł. Wyjąłem latarkę — trzymałem ją zawsze w kieszeni na piersi, gdyż suche baterie szybko zamarzały w tych temperaturach, stając się zupełnie bezużyteczne — i oświetliłem przestrzeń wokół siebie. Nic nie znalazłem. Wiatr mógł już znieść moją maskę setki metrów. Trudno było coś na to poradzić, choć sprawa była bardzo poważna. Starłem się nie myśleć o tym, co mnie czeka.

Joss i Jackstraw próbowali uspokoić psy. W końcu im się to udało. Kiedy do nich podeszedłem, zwierzęta były już spokojne.

— Czy wszystko w porządku? — spytał Joss, zbliżając się do mnie. — Mój Boże! Doktorze,

zgubił pan swoją maskę!

— Wiem o tym. Ale to nie ma żadnego znaczenia. — Staralem się zbagatelizować sprawę, choć wiedziałem, co to oznacza w rzeczywistości. Gardło i płuca paliły mnie przy każdym oddechu. — Czy zauważyliście, w jakim kierunku poleciał?

— Mniej więcej. Według mnie, na wschód.

— A co pan uważa, Jackstraw?

— Wydaje mi się, że tak. Może trochę bardziej w kierunku północnym. — Wyciągnął ramię, by dokładnie wskazać mi kierunek pod wiatr.

— Pójdziemy na wschód. — Ktoś powinien podjąć decyzję i wziąć na siebie odpowiedzialność.

Musiałem to zrobić ja. — A więc, na wschód! Joss, ile metrów ma kabel prowadzący do anteny?

— Czteryście.

— Doskonale. Czteryście metrów wzdłuż kabla, a potem na północ. Tak wielka maszyna musiała pozostawić ślady na śniegu. Przy odrobinie szczęścia powinniśmy się na nią natknąć. Miejmy nadzieję, że lądował w odległości nie większej niż czteryście metrów od anteny...

Odczepiłem koniec kabla i ruszyłem w stronę najbliższego masztu. Przywiązałem do niego linkę. Zaciągnąłem bardzo solidny węzeł. Nasze życie zależało teraz od tego kabla. Gdybyśmy go zgubili, nie potrafilibyśmy odnaleźć drogi do naszego baraku. Kroki nie zostawiały żadnych śladów. Straszliwy mróz sprawia, że śnieg zamienia się tu w coś, co przypomina stalową bryłę. Tylko gąsienice naszego pięcotonowego traktora dawały tej powłoce radę.

Ruszyliśmy natychmiast w drogę, pod wiatr. Szedłem pierwszy. Za mną postępował Jackstraw, prowadząc psy, a Joss zamykał pochód, odkręcając nawinięty na szpulę kabel.

Potworne, oślepiające porywy wichury, niosącej lodowy pył, były prawdziwym koszmarem.

Moja głowa, pozbawiona maski, marzła, a gardło płonęło. Kaszlałem, mimo że starałem się osłonić usta oraz nos i oddychać bardzo ostrożnie.

Była to naprawdę piekielna męka. Biegliśmy jednak tak szybko, jak tylko pozwalała nam na to powierzchnia lodu i niezgrabne, futrzane ubiory. Wszak dla ludzi ubranych inaczej niż my życie czy śmierć w tej temperaturze i przy takim wietrze są tylko kwestią czasu. A było przecież możliwe, że samolot został rozpruty na całej długości lub przełamał się, wyrzucając na lód tych, którzy przeżyli moment katastrofy. To, co ich oczekiwało na zewnątrz, równało się natychmiastowej śmierci, spowodowanej ustaniem pracy serca. Ciało ludzkie nie potrafi gwałtownie przystosować się do tak brutalnej różnicy temperatur. Niewykluczone też, że ci, którym udało się przeżyć lądowanie, nie zdawali sobie sprawy, iż w tej temperaturze pozostało im zaledwie pięć minut życia. A mogło być i tak, że tkwili zagwożdżeni wewnątrz samolotu, myśląc, iż przyjdzie im powoli zamarznąć... Jak się do nich dostać?

W jaki sposób przenieść ich do baraku? Tylko pierwsi mieliby maleńką szansę ocalenia. A nawet gdyby udało nam się przenieść wszystkich do baraku, czym ich karmić? Nasze zapasy były na wyczerpaniu. Poza tym, gdzie ich ulokować?

Okrzyk Jackstrawa zatrzymał mnie tak nagle, że upadłem na kolana. Podniosłem się i spojrzałem za siebie. Joss zbliżał się do mnie biegiem.

— Koniec kabla?

Skinął głową i skierował światło latarki na moją twarz.

— Pański nos i policzek... źle to wygląda.

Zdjąłem skórzane rękawice i z całej siły zacząłem nacierać twarz, aż poczułem bolesne wprawdzie, ale jednak prawdziwe krążenie krwi. Potem wziąłem stary szal, który Jackstraw wyciągnął z jednego z worków, i okręciłem nim głowę. Było to lepsze niż nic.

Teraz ruszyliśmy na północ. Wiatr wiał z prawej strony. Mieliśmy nadzieję, że nie zmieniał kierunku. Światła naszych lamp przecinały ciemności przed nami. Zatrzymywaliśmy się co pięć, sześć metrów, aby wbić kawałek bambusa w lód. Zrobiliśmy już przeszło pięćdziesiąt metrów, nic

nie znajdując. Pomyślałem, że musieliśmy zbyt daleko posunąć się na wschód. Zadawałem sobie już pytanie, co mamy robić dalej, gdy nagle wszyscy razem wpadliśmy do rowu głębokości około czterdziestu centymetrów i szerokości ponad trzech metrów.

Tego właśnie szukaliśmy. Bez wątpienia była to droga samolotu. Dziwny przypadek sprawił, że znaleźliśmy się w miejscu, w którym samolot dotknął lądowiska, a raczej ukąsił je. Na lewo, na zachód, powierzchnia lodu była dziewicza, bez żadnych śladów. Gdybyśmy przeszli trzy metry obok punktu, nie zauważylibyśmy nic. Rów, ciągnący się w kierunku wschodnim, pogłębiał się szybko, a lód był zryty jak po przejściu gigantycznego pługa. Należało przypuszczać, że spód samolotu został rozdarty. Kilka metrów na wschód, na prawo od rowu, znajdowały się dwa równoległe, głębokie rowki. Były to niewątpliwie ślady obracających się jeszcze śmigieł. Samolot po zetknięciu się z lodem musiał wpaść w poślizg.

Oświetliliśmy horyzont przed nami — jeżeli panujące dookoła ciemności można było nazwać horyzontem — i wówczas zobaczyliśmy wszystko. Krzyknąłem do Jossa, by wziął wiązkę bambusów i przymocował do nich kabel, bo inaczej upadnie na lód razem ze szpulą. Straciliśmy na tę operację co najmniej dziesięć minut.

Kiedy ruszaliśmy za Jackstrawem, który razem ze swoim zaprzęgiem posuwał się po śladach samolotu, wichura rozszalała się na dobre. Jej porywy tworzyły teraz niemal prawdziwy mur, który powstrzymywał nasz marsz i zmuszał do zgięcia się wpool. Posuwając się niezwykle powoli, przeszliśmy najpierw dwieście metrów, później jeszcze trzysta, by wreszcie znaleźć samolot w odległości pięciuset metrów od miejsca, gdzie dotknął lodu. Nie dostrzegliśmy go, raczej zderzyliśmy się z nim. Był odwrócony prawie o dziewięćdziesiąt stopni. Nieruchomy. Wbity w lód, ale — zdawało się — cały.

W słabym świetle latarki wydawał mi się ogromny — bardzo wysoki i nieskończenie długi.

Widok był niezwykły.

Samolot wyglądał, jakby był opuszczony. Tak go sobie właśnie wyobrażałem — śmiertelnie rannego, bez możliwości opuszczenia kiedykolwiek tego lodowego pola.

Nie zauważyłem żadnego ruchu. Z bardzo wysoka, poprzez jedno z okien nad moją głową przedostawało się słabe niebieskie światełko. Poza tym nie było żadnego śladu życia.

PONIEDZIAŁEK, MIĘDZY PIERWSZĄ A DRUGĄ NAD RANEM

Moje obawy okazały się bezpodstawne. Nie zauważyłem śladu pożaru, nie było żadnego czerwonego blasku i nie dochodził żaden niepokojący odgłos. Nie można było jednak wykluczyć, że gdzieś wewnątrz samolotu, być może w jego skrzydłach, tli się iskra, która w zetknięciu z benzyną czy olejem może zmienić wrak w ogromne ognisko. Wichura pomogłaby wówczas płomieniom. Na szczęście nic takiego się nie stało. Widocznie pilot pomyślał o wyłączeniu kontaktu i z pewnością nie zapomniał zamknąć przewodów doprowadzających paliwo do silników. Jackstraw podłączył reflektor do suchej baterii i podał mi go. Przekręciłem kontakt. Wąski strumień światła przeciął ciemności nocy. Odwróciłem reflektor najpierw na prawo, a potem powoli przesunąłem go w lewo.

Nie dostrzegłem koloru samolotu i jego znaków rozpoznawczych. Wszystko pokryła cienka warstwa szronu, odbijająca światła reflektora niczym lustro. Ogon był nienaruszony. Tak samo górna część kadłuba. Natomiast jego dolna część, leżąca na wprost nas, była zgnieciona. Lewe skrzydło wznosiło się pionowo w górę. Samolot wydawał się mniej uszkodzony, niż myślałem. Sterczące w górę skrzydło zasłaniało mi widok dziobu. Nagle nad skrzydłem zauważyłem coś, co przez chwilę kazało mi zapomnieć o ewentualnych pasażerach. Dosłownie znieruchomiałem z wrażenia.

Pod zwiększającą się z każdą chwilą warstwą szronu widać było wielkie litery: BOAC. BOAC! Cóż mógł robić w tej części świata pasażerski samolot o wielkim zasięgu, należący do BOAC? SAS czy KLM, o czym doskonale wiedziałem, miały swoje linie polarne z Kopenhagi i

Amsterdamu do Winnipeg, Los Angeles i Vancouver, wiodące przez Sondre Strömford, a przebiegające nad Grenlandią na wysokości północnego koła podbiegunowego, czyli w odległości mniej więcej półtorej godziny lotu od nas. Wydawało mi się również, że PAA i TWA obsługiwały podobne linie. Było raczej niemożliwe, żeby z powodu złych warunków meteorologicznych samolot dalekiego zasięgu mógł tak dalece odbić się od swej normalnej trasy. Ale przecież oczywiście nie myliły, wyraźnie przeczytałem BOAC. Poczuję się zupełnie zdezorientowany.

— Znalazłem drzwi, doktorze Mason. — Jackstraw dotknął mojej ręki i wskazał szczelinę biegnącą dookoła wielkich drzwi, których dół znajdował się na wysokości naszych oczu. — Spróbujemy?

Usłyszałem brzęk metalu. Wziął dwa łomy z sań. To była jedyna rzecz, jaką mogliśmy zrobić — spróbować.

Położyłem reflektor na śniegu, a trójnóg, na którym się opierał, ustawiłem w ten sposób, aby światło było skierowane na drzwi. Wziąłem jeden z łomów i wsunąłem go w szczelinę. Wszedł dosyć łatwo. Jackstraw zrobił to samo. Nacisnęliśmy razem. Niestety, bezskutecznie.

Spróbowaliśmy jeszcze raz, pracując z całej siły, ale drzwi nie drgnęły nawet o milimetr. Aby podwoić nasz wysiłek, nacisnęliśmy obaj na jeden łom.

Tym razem poczuliśmy, że coś się ruszyło. Rozległ się suchy trzask. Łom pękł. Wylądowaliśmy na lodzie.

W momencie gdy każda sekunda decydowała o życiu lub śmierci, moja niezajomość techniki lotniczej nie była żadnym wytłumaczeniem. Moja niezaradność sprawiła, że straciliśmy cenny czas, próbując wyłamać masywne drzwi, zaryglowane od wewnątrz i skonstruowane w ten sposób, że wytrzymywały ciśnienie równe kilku tysiącom kilogramów. Wziąłem reflektor i baterie i wsunąłem się pod ogon samolotu. Wichura smagała mi twarz. Ruszyłem w kierunku prawego skrzydła. Jego koniec głęboko wrył się w śnieg. Ramiona śmigieł wygięły się pod kątem prostym do lodu.

Próbowałem wdrapać się na nie, dostać do okienka i wyłamać je. Nie powiodło mi się jednak. Poza tym zdałem sobie sprawę, że okien, przystosowanych również do wielkich ciśnień, nigdy nie uda mi się rozbić zwykłym łomem.

Ślizgając się i potykając, obeszliliśmy skrzydło. Naprzeciw nas znajdował się pagórek lodowy, na którym zatrzymał się samolot. Wzniesienie było niewielkie, miało około pięciu metrów wysokości i ośmiu metrów szerokości u podstawy. Dopiero teraz zauważyliśmy, że samolot uderzył w nie nie skrzydłem, lecz dziobem. Kabina pilotów była wprawdzie nietknięta, ale okna wybite, a kadłub wgnieciony na długości około trzech metrów. Uszkodzenie to znajdowało się po prawej stronie samolotu. Nie chciałem myśleć o tym, co stało się z człowiekiem, który podczas zderzenia siedział po tej stronie kabiny. Najważniejsze było jednak to, że znaleźliśmy sposób przedostania się do wnętrza maszyny.

Obliczyłem na oko odległość, która dzieliła mnie od wybitych szyb — jakieś trzy metry — i skoczyłem. Moje ręce na moment znalazły oparcie, lecz po chwili ześliznęły się po oszronionej powierzchni. Spróbowałem oprzeć się na wystającej części ramy, ale uderzyłem się mocno o wystające z niej odłamki szkła. Okazało się, że przednie szyby nie rozsypały się, jak to poprzednio przypuszczałem, w proszek.

Jackstraw podsadził mnie. Stojąc na ramionach wiernego eskimoskiego przyjaciela, w ciągu kilku minut podaną mi przez niego siekierą oczyściłem ramę z resztek szkła. Nigdy nie zdawałem sobie sprawy, że szkło lotnicze może być tak twarde i tak wytrzymałe, a otwór okienny tak wąski. Zwłaszcza dla człowieka ubranego w ciężkie futra.

Wylądowałem na trupie. Nie widziałem go, ale natychmiast odczułem, że to trup. Wyciągnąłem z kieszeni latarkę, zapaliłem ją na dwie sekundy i zgasilem. Był to drugi pilot. To on przyjął na siebie potężne uderzenie lodowego wzgórza. Był dosłownie zmiażdżony i wciśnięty między fotel a szczątki drążków kierowniczych. Nigdy nie widziałem tak straszliwie zmasakrowanego ciała;

nawet wówczas, gdy wezwano mnie jako lekarza do wypadku drogowego, w którym zderzyły się ze sobą czołowo dwa pędzące samochody. Jeżeli w tym samolocie znajdowali się jeszcze jacyś żywi, nieprzytomni czy ranni, nie powinni zobaczyć tego trupa. Był straszny. Odwróciłem się i wychyliłem przez okno. Jackstraw znajdował się dokładnie pode mną i patrzył w moją stronę. — Proszę mi przynieść koc! — zawołałem przekrzykując wicher. — Albo niech mi pan poda cały worek, walizeczkę z morfiną i niech pan natychmiast przyjdzie tu do mnie!

Uwinął się błyskawicznie. Nie minęło trzydzieści sekund, kiedy odbierałem od niego i worek, i walizeczkę z morfiną. Postawiłem to wszystko na podłodze i chciałem podać mu rękę. Okazało się to zupełnie zbyteczne.

Skoczył, chwycił się ramy okiennej i po chwili znajdował się już w kabinie. Odniosłem wrażenie, jakby przez całe życie nie robił nic innego, tylko skakał na wysokość trzech metrów, do samolotów, które uległy katastrofie.

Podąłem mu latarkę i otworzyłem worek. Wyjąłem z niego koc, którym przykryłem zwłoki drugiego pilota. Na wszelki wypadek przymocowałem koc pasami, aby nie poruszył go lodowaty wicher.

— Nie ulega wątpliwości, że szkoda dobrego koca — mruknąłem — ale, z drugiej strony, nie można patrzeć na to, co pozostało z tego człowieka.

— Rzeczywiście, nie jest to piękny widok — powiedział Jackstraw głuchym głosem. — A ten tu obok?

Lewa strona kabiny pilotów była w zasadzie nienaruszona.

Pierwszy pilot, przymocowany pasami do fotela i pochylony nad deską rozdzielczą, wyglądał tak, jakby nawet nie był ranny. Ściągnąłem z prawej ręki futrzaną rękawicę, potem wełnianą, a wreszcie jedwabną i dotknąłem jego czoła. Znajdowaliśmy się na tym straszliwym mrozie już ponad piętnaście minut i mógłbym przysiąc, że nie było takiej skóry ludzkiej, która byłaby

zimniejsza od mojej dłoni. Pomyliłem się jednak. Włożyłem rękawice i odwróciłem się.

Wystarczyło. Wiedziałem, że tej nocy nie będę przeprowadzał sekcji zwłok.

Dwa metry za siedzeniem pilotów znaleźliśmy radiotelegrafistę. Siedział na wpół oparty o drzwi kabiny, gdzie rzucił go prawdopodobnie wstrząs wywołany zderzeniem samolotu z lodowym wzgórzem. Jego dłoń była zaciśnięta na gałce aparatu. Aparatu, który już nigdy nie będzie nadawał. Wystarczył jeden rzut oka, by się o tym przekonać. Na drzwiach za jego głową zauważyłem krew. Pochyliłem się nad nim. Był nieprzytomny — jeszcze oddychał. Po raz drugi zdjąłem rękawice i delikatnie przesunąłem palcami po jego potylicy, a potem szybko, lecz ostrożnie cofnąłem rękę. W jaki sposób — spytałem sam siebie, zdając sobie sprawę z własnej bezsilności — potrafię zoperować zmiażdżoną czaszkę? Stan, w jakim znajdował się ten człowiek, nie dawał mu wiele nadziei na przeżycie nawet w najlepszym londyńskim szpitalu. A gdyby nawet przetrwał operację, zostałby ślepcem do końca życia. Nerwy wzrokowe musiały ulec zniszczeniu. Poszukałem jego pulsu. Bił jeszcze, ale słabo i nieregularnie. Pomyślałem, że naprawdę nie ma żadnych szans, aby mu pomóc. Gdyby nawet przeżył przenosiny z samolotu na lód, to z pewnością nie przetrwałby transportu do naszego baraku.

Było prawie niemożliwe, żeby odzyskał przytomność, ale tłąca się w mojej lekarskiej świadomości małeńka iskierka nadziei kazała mi działać. Zaaplikowałem mu zastrzyk z morfiny. Potem umieściliśmy go w wygodnej pozycji na fotelu i przykryliśmy kocem. Zostawiliśmy go na miejscu.

Za pomieszczeniem radiotelegrafisty znajdował się długi korytarzyk, w którym ustawiono wygodne fotele oraz składane łóżko. Była to kabina załogi. W chwili wypadku ktoś odpoczywał na tym łóżku. Teraz człowiek ten leżał na podłodze; był tylko w koszuli i w spodniach. Wypadek zaskoczył go. Nie zdawał sobie z niczego sprawy i, naturalnie, nigdy już nie zda sobie z niczego sprawy.

Stewardesę znaleźliśmy w kabinie służącej do przygotowywania posiłków. Leżała na ziemi, na lewym boku, czarne włosy przykrywały jej twarz. Cichutko jęczała, nie był to jednak jęk bólu. Puls miała prawie regularny, odrobinę przyspieszony. Jackstraw, który stał dotąd tuż obok mnie, pochylił się nad nią.

— Czy podniesiemy ją, doktorze Mason?

— Nie — odpowiedziałem kręcąc głową. — Wydaje mi się, że odzyskuje przytomność. Jeśli uległa poważniejszej kontuzji, powie nam sama. Okryjmy ją kocem i pozostawmy chwilowo w spokoju. Z pewnością znajdziemy na pokładzie osoby bardziej potrzebujące naszej pomocy.

Drzwi prowadzące do kabiny pasażerskiej były zablokowane.

Wydało mi się to dziwne. Nie mogły być przecież zamknięte na zasuwę w normalnych warunkach lotu; prawdopodobnie zatrzęsły się podczas zderzenia. Nie namyślaliśmy się nawet przez chwilę. Rozpędziliśmy się i pchnęliśmy je z całej siły. Drzwi cofnęły się o kilka centymetrów, a jednocześnie z drugiej strony rozległ się głośny okrzyk bólu.

— Uwaga! — zawołałem. Jackstraw cofnął się. — Odsuńcie się od drzwi! Chcemy wejść!

Usłyszeliśmy jakieś trudne do określenia odgłosy, potem coś ciężko stuknęło, wreszcie doszedł nas dźwięk przesuwania jakiegoś ogromnego przedmiotu i... drzwi otworzyły się. Szybko weszliśmy do środka.

Fala gorącego powietrza uderzyła mnie w twarz i schwyciła za gardło. Zachłysnąłem się. Przez kilka sekund walczyłem ze słabością, która mnie nagle ogarnęła. Wydawało mi się, że upadnę.

Szybko jednak opanowałem się i pomyślałem, że przede wszystkim należy zamknąć za sobą drzwi. Zdawałem sobie sprawę, że przy nieruchomych silnikach i tym straszliwym mrozie, który przenikał cienkie ściany samolotu, bez względu na to, jak doskonała byłaby izolacja cieplna całego kadłuba, temperatura panująca w tej chwili we wnętrzu nie utrzyma się długo. A dla tych, którzy przeżyli katastrofę, ciepło oznaczało odprężenie. Nagle zaświtała mi pewna myśl. Nie zwracając uwagi na

stojącego przede mną mężczyznę, który jedną ręką trzymał się fotela, a drugą rozcierał zbroczone krwią czoło, zwróciłem się do Jackstrawa:

— Niech pan powie stewardesie, żeby tu przyszła. Spróbujemy zaryzykować. Lepiej, żeby tu była, wszystko jedno: ze złamaną nogą, żebrem czy wielkim guzem na czole. Niech pan okryje radiotelegrafistę jej kocem i pamiętao tym, żeby go nie poruszyć.

Jackstraw kiwnął głową i wyszedł, zamykając za sobą szybko drzwi. Spojrzałem na mężczyznę, który ciągle stał w głównym przejściu i potężną, pokrytą czarnym zarostem dłonią bez przerwy tarł pokrwawione czoło. Krew, kropla po kropli, spływała mu z czoła na krawat i niebieską koszulę i tworzyła wielkie plamy na szarym letnim garniturze. W pewnej chwili zamknął oczy i potrząsnął głową jak bokser, który po ciosie pragnie odzyskać przytomność.

— Prawdopodobnie zabrzmiało to głupio — powiedział spokojnym, poważnym tonem — ale co się właściwie stało?

— Wydarzył się wypadek — odpowiedziałem. — Co pan sobie przypomina?

— Właściwie nic. To znaczy tylko potężne uderzenie oraz coś w rodzaju dźwięku rozdieranego metalu...

— A potem uderzył pan głową w drzwi — dodałem pokazując mu ślady krwi za sobą. — Niech pan na kilka minut usiądzie i zachowuje się spokojnie. Wszystko będzie dobrze.

Nie interesowałem się nim więcej. Spojrzałem w drugi koniec kabiny. Spodziewałem się, że zobaczę powyrywane ze swoich miejsc fotele, a ujrzałem wszystkie równiutko ustawione, w rzędach, po trzy z lewej strony i po dwa z prawej. Oczekiwałem widoku rannych ludzi, jęczących i wyjących z bólu, skotłowanych, leżących na sobie. Ale olbrzymia kabina pasażerska wydawała się prawie pusta. I panowała w niej cisza.

Prócz mężczyzny, który siedział teraz obok mnie, naliczyłem dziewięć osób. Dwaj mężczyźni leżeli na podłodze w centralnym przejściu. Jeden z nich, potężne chłopisko o szerokich ramionach i

czarnych, kędzierzawych włosach, właśnie się podniósł. Spoglądał wokoło nic nierozumiejącym wzrokiem. Obok niego leżał na boku łysy człowiek, dużo niższy i dużo starszy, ubrany w gruby sweter, w którym zmieściłoby się dwóch takich jak on. Koszulę zdobił mu okropny krawat w wielkie różnokolorowe kwadraty. Prawdopodobnie ci dwaj panowie siedzieli obok siebie na fotelach po lewej stronie i zostali wyrzuceni na podłogę w chwili, gdy samolot zablokowany przez lodowe wzgórze obrócił się o trzysta sześćdziesiąt stopni.

Na fotelu w następnym rzędzie, również po lewej stronie, siedział samotny mężczyzna. Moją pierwszą reakcją, kiedy go zobaczyłem, było zdziwienie, że potrafił utrzymać równowagę. Przyjrzałem mu się dokładniej i stwierdziłem, że jest zupełnie przytomny. Siedział sztywno, opierając się ramieniem o okienko, z nogami mocno wpartymi w podłogę i oburącz trzymając się stolika przymocowanego do fotela. Zwróciłem uwagę na jego delikatne, długie palce. Skierowałem światło latarki na jego twarz. Mężczyzna nosił sztywny kołnierzyk duchownego.

— Proszę się uspokoić, wielbny ojcie — odezwałem się cichym głosem. — Znajduje się pan jeszcze na ziemi, między żyjącymi ludźmi. Tym razem wędrówka pańska była krótsza, niż pan myślał.

Nic na to nie odpowiedział. Przyglądał mi się poprzez szkła okularów w cienkiej, stalowej oprawie. Nie zajmowałem się nim więcej. Nie był ranny.

Po prawej stronie, w czterech różnych rzędach, siedziały cztery osoby. Każda z nich zajmowała miejsce obok okna. Dwie kobiety i dwóch mężczyzn. Jedna z kobiet była w podeszłym wieku; twarz miała pokrytą grubą warstwą makijażu, włosy ufarbowane i tak dobrze uczesane, że z wielkim trudem można było określić wiek ich właścicielki, nawet z dokładnością do piętnastu lat. Była przytomna. Przyglądała się temu wszystkiemu, co działo się wokół niej, ale jej spojrzenie było puste. To samo można było również powiedzieć o kobiecie, która siedziała w następnym rzędzie. Osoba ta, jakby stworzona do życia w luksusie, miała niedbale zarzucone na ramiona palto

z nurków, spod którego wyzierała skromna, ale niewątpliwie kosztująca całą fortunę suknia z zielonego dżerseju. Mogła mieć jakieś dwadzieścia pięć lat. Ze swoimi jasnymi włosami, szarymi oczyma i regularnymi rysami byłaby skończoną pięknnością, gdyby nie nazbyt duże usta — aroganckie, wulgarne. Pomyślałem, że najlepsze, co mogłaby zrobić po oprzytomnieniu, to doprowadzić je do porządku. W tej chwili wydawała się półprzytomna, podobnie zresztą jak i pozostali. Wszyscy sprawiali wrażenie osób, które nagle i brutalnie zostały wyrwane z głębokiego snu.

Dwaj pozostali mężczyźni siedzący z przodu wyglądali tak, jakby jeszcze spali. Jeden z nich, gruby, szeroki, o opalonej twarzy, śnieżnobiałych włosach i śnieżnobiałych wąsach przywodził na myśl emerytowanego pułkownika z południowych stanów USA. Mógł mieć jakieś pięćdziesiąt pięć lat. Drugi był chudy, w podeszłym wieku, o zdradzającej żydowskie pochodzenie twarzy, pooranej głębokimi zmarszczkami.

Na szczęście nic poważnego — pomyślałem sobie oddychając z ulgą. Osiem osób. Jedyna kontuzja to cięta rana na czole. Wszyscy oni zawdzięczali życie głębokim fotelom, które zamortyzowały potężne uderzenie.

Dwaj pasażerowie, którzy znajdowali się w głębi, byli przykładem tego, że fotele w samolocie nigdy nie powinny być umieszczone w kierunku lotu. Pierwszym pasażerem okazała się młoda, zaledwie osiemnasto- lub dziewiętnastoletnia dziewczyna o ciemnej skórze. Leżała na podłodze między dwoma fotelami. Poruszyła się, ale w chwili, gdy podsunąłem ręce pod jej plecy, aby pomóc jej wstać, krzyknęła z bólu. Zmieniłem miejsce i delikatnie posadziłem ją na fotelu.

— Moje ramię! — Głos miała niski, ochrypły. — Bardzo mnie boli...

— Wcale mnie to nie dziwi. — Zbadałem ją. — Złamała pani obojczyk. Proszę siedzieć bez ruchu i podtrzymywać lewe ramię prawą ręką... Tak, w ten sposób. Za chwilę założę pani opatrunek usztywniający. Obiecuję, że nie będzie pani odczuwała żadnego bólu.

Uśmiechnęła się do mnie z wdzięcznością, ale nie powiedziała ani słowa. Pozostawiłem ją i ruszyłem w kierunku fotela w głębi. Pochyliłem się, aby obejrzeć mężczyznę, który leżał obok niego. Podniosłem się natychmiast. Kąt nachylenia jego głowy w stosunku do szyi był więcej niż wymowny.

Powróciłem na przód kabiny. Wszyscy pasażerowie odzyskali już przytomność. Siedzieli albo niezdarnie próbowali stanąć na nogach. Na ich ustach zawisły nieme pytania. Były jednak tak wyraźne, jak malujące się na ich twarzach przerażenie. Spojrzałem przez chwilę na Jackstrawę, który właśnie ukazał się w drzwiach. Za jego plecami pojawił się Joss.

— Ona nie chce tu przyjść — powiedział Jackstraw, wskazując palcem na kabinę pilotów. — Odzyskała przytomność, ale nie chce zostawić radiotelegrafisty bez opieki.

— Dobrze się czuje?

— Bolą ją plecy, tak mi się przynajmniej wydaje. Nic na ten temat nie mówiła.

Przyjąłem to do wiadomości i skierowałem się do głównych drzwi — tych, których nie udało nam się sforsować. Cóż... stewardesa, mimo że powinna była zająć się pasażerami, za których ponosiła przecież odpowiedzialność, miała prawo opiekować się członkiem załogi. W całej tej historii było jednak coś bardzo dziwnego, a już najdziwniejsze wydawało się to, że żaden z pasażerów nie był przypięty pasami, chociaż wszyscy musieli spodziewać się wypadku co najmniej piętnaście minut przedtem, nim samolot dotknął lodu. Stewardesa, radiotelegrafista i członkowie załogi zdawali się zupełnie zaskoczeni zderzeniem.

Wielkie, znajdujące się na środku drzwi pokrętko było nieruchome, prawdopodobnie zablokowane. Przywołałem na pomoc Jackstrawę, ale nawet we dwóch nie potrafiliśmy poruszyć nimi choćby na milimetr. Jeżeli właz, który zauważyliśmy w kabinie pilotów, był również zablokowany, jedynym wyjściem z samolotu były wybite okna. Pomyślałem o radiotelegrafistce ze strzaskaną czaszką i zastanawiałem się, w jaki sposób uda nam się go przenieść.

Ktoś zastąpił mi drogę. Był to osobnik przypominający mi pułkownika z Południa. Przy siwych wąsach i włosach bielszych od śniegu jego twarz wydawała się purpurowa, a jasne, niebieskie oczy rzucały błyskawice. Wystarczyłoby lekko wyprowadzić go z równowagi, by dostał apopleksji. W tej chwili wydawał się jej bliski.

— Cóż to się stało? Cóż to za dziwna historia? — zabrzmiał jego donośny głos. —

Wylądowaliśmy. Dlaczego? Co my tu robimy? Co to za szum na zewnątrz? A pan... kim pan właściwie jest?

„Generał przemysłu” — pomyślałem sobie bez większej sympatii. Zbyt wiele pieniędzy i władzy i dlatego pozwala sobie na tego rodzaju wystąpienie. Posunął się troszkę za daleko. No, ale był w tej chwili po szoku, mogłem mu to jeszcze wybaczyć. Zastanawiałem się, czy zachowałbym się inaczej, gdyby mnie nagle obudzono w transatlantyckim samolocie po przymusowym lądowaniu w nieznanym miejscu i gdybym w dodatku znalazł się w towarzystwie trzech mężczyzn ubranych w grube futra, okulary i w maski śniegowe...

— Samolot wylądował bez otwierania podwozia — wyjaśniłem. — Nie wiem dlaczego. Zresztą skąd mógłbym wiedzieć? Szum na zewnątrz, który pan słyszy, to wichura i uderzający w kadłub samolotu lód. Jeżeli chodzi o nas, jesteśmy uczonymi pracującymi na stacji zbudowanej w ramach Międzynarodowego Roku Geofizycznego. Stacja znajduje się w odległości ośmiuset metrów stąd. Usłyszeliśmy wasz samolot kilka minut przed wypadkiem.

Chciałem go minąć, ale mi nie pozwolił.

— Przepraszam pana, jeszcze chwila. — Jego głos stał się zupełnie nieznośny, a ramię okazało się bardzo muskularne. — Wydaje mi się, że mamy prawo wiedzieć...

— Później. — Odepchnąłem go, a Jackstraw zmusił go, by usiadł. — Niech się pan pohamuje. Jest tu poważnie ranny człowiek, wymagający natychmiastowej pomocy. Umieścimy go w naszym baraku, a potem wrócimy po was. Pilnujcie, żeby drzwi były dobrze zamknięte.

Zwróciłem się z tym apelem do wszystkich, ale gniewny człowiek przerwał mi jeszcze raz.

Zirytowało mnie to.

— Jeżeli nie będzie pan się zachowywał inaczej, może pan tutaj pozostać. Bez nas, nim upłyną dwie godziny, będziecie sztywni jak lód. Wydaje mi się, że może się to panu przydarzyć.

Szedłem wzdłuż przejścia. Za mną posuwał się Jackstraw. Młody człowiek, który przedtem leżał na podłodze, siedział już teraz na fotelu. Gdy przechodziłem koło niego, uśmiechnął się do mnie. Doskonały sposób, aby pozyskać czyjąś sympatię — pomyślałem.

— Wydaje mi się, że śmiertelnie uraził pan naszego współtowarzysza podróży — odezwał się ze śpiewnym akcentem.

— Obawiam się, że tak — przytaknąłem z uśmiechem. Minąłem go. Nagle odwróciłem się w jego stronę. Jego szerokie bary i potężne dłonie mogły się nam przydać. — Jak pan się czuje? — zapytałem.

— Teraz już lepiej.

— Widać to zresztą. Przed chwilą nie czuł się pan tak dobrze.

— Wyliczono mnie na ringu — zażartował. — Czy mogę panu w czymś pomóc?

— Właśnie dlatego zadałem panu to pytanie.

— Będę bardzo rad. — Wstał. Był o kilka centymetrów wyższy ode mnie.

Mały człowieczek w kolorowym swetrze i jeszcze bardziej jaskrawym krawacie wrzasnął piskliwie niczym kot, któremu nadepnięto na ogon.

— Uwaga, Johnny! Uwaga! — Słowa te były wypowiedziane z akcentem znamionującym doły Nowego Jorku.

— Pamiętaj, że mamy swoje zobowiązania, chłopcze. Pamiętaj o naszych zobowiązaniach! Możemy mieć nieprzyjemności.

— Uspokój się, Solly. — Młody człowiek poklepał go po łysinie. — To tylko mała

przechadzka, żeby znów wrócić do formy.

— Tak, ale przedtem proszę włożyć skafander i futrzane spodnie. — Nie miałem czasu na zajmowanie się błazeństwami małego człowieczka. — Ta odzież jest konieczna.

— Ależ ja nie boję się mrozu, przyjacielu!

— Pan sobie nie zdaje sprawy z tego, co mówi. Na zewnątrz jest niemal pięćdziesiąt stopni Celsjusza poniżej zera.

Usłyszałem, jak kilku pasażerów wydało pomruk zdziwienia. Młody, barczysty mężczyzna spoważniał nagle i wziął podaną mu przez Jackstrawę odzież. Nie czekając na niego ruszyłem naprzód.

Stewardesa klęczała obok radiotelegrafisty. Poprosiłem delikatnie, aby wstała. Nie opierała się. Spojrzała mi w oczy. W jej wzroku widziałem rozpacz i bezradność. Twarz miała kredowobiałą, dłonie zgrabiałe. Drżała na całym ciele.

— Czy chce pani umrzeć z zimna? — zapytałem ostrym tonem. Wiedziałem, że dziewczęta pracujące w tym zawodzie są przygotowane do wszelkich nagłych wypadków i wiedzą, co mają robić w różnych, nawet najbardziej niezwykłych okolicznościach. — Czy nie ma pani czapki, palta, butów?

— Mam — odpowiedziała martwym głosem i oparła się o drzwi. — Pójdę poszukać.

Joss wyszedł przez rozbite okno, aby przynieść znajdujące się na saniach nosze. Ja tymczasem podszedłem do drzwi wyjściowych, które znajdowały się za fotelem pilota, i próbowałem je otworzyć, używając w tym celu nawet siekiery. To wyjście było także zablokowane.

Rozstawiliśmy nosze i ułożyliśmy na nich radiotelegrafistę, przymocowując go delikatnie pasami. W tej samej chwili pojawiła się stewardesa. Miała na sobie lekkie mundurowe palto i wysokie buty z cieniutkiej skóry.

— Tak będzie lepiej, ale to jeszcze mało. Proszę również włożyć to. — Rzuciłem jej spodnie ze

skóry karibu. Widziałem, że się zawahała.

— Nie będziemy na to patrzeć.

— Ale przecież... przecież muszę zająć się pasażerami.

— Nic im się nie stało. A poza tym trochę za późno pani o tym pomyślała.

— To prawda. Jest mi bardzo przykro. Ale nie mogłam go tak pozostawić. — Patrzyła na młodego człowieka leżącego na noszach u jej stóp. — Proszę pana... czy on... chcę powiedzieć...

— Przez chwilę milczała, a później dodała szybko: — Czy on umrze?

— Prawdopodobnie — odpowiedziałem. Wstrząsnęła się, jak gdybym uderzył ją pięścią. —

Naprawdę nie chciałem zrobić pani przykrości, chciałem być tylko dokładny.

Oczywiście, uczynimy dla niego wszystko, co można, ale wydaje mi się, że będzie to bardzo mało.

Młody człowiek został wreszcie dokładnie przywiązany do noszy. Dla ostrożności okryliśmy mu głowę ze wszystkich stron kocami. Stewardesa wkładała palto. Miała już na sobie spodnie ze skóry karibu.

— Przeniesiemy go do naszego baraku — powiedziałem. — Na dole mamy sanie. Jest na nich jeszcze miejsce dla jednej osoby... Będzie mu pani mogła przytrzymywać głowę.

— A pasażerowie?

— Niczego nie ryzykują.

Powróciłem do kabiny, zamykając za sobą drzwi. Podałem swoją latarkę mężczyźnie ze zranionym czołem. Dwie niebieskie lampki kontrolne, służące nie wiem do czego, oświetlały makabrycznym światłem wnętrze kabiny.

— Zabieramy teraz ze sobą radiotelegrafistę i stewardesę — powiedziałem. — Powrócimy za dwadzieścia minut.

Jeżeli chcecie zostać przy życiu, nie otwierajcie tych drzwi.

— Pan jest wyjątkowo szczery, młody człowieku — odezwała się starsza pani z doskonałą fryzurą. Miała poważny głos o niezwyklej sile.

— Okazja czyni złodzieja, proszę pani — odpowiedziałem ostrym tonem. — Czy wolałaby pani długie, mądre dysputy i kwieciste zdania w czasie, kiedy wszyscy państwo zamierzaliby na śmierć?

— Nie. Wydaje mi się, że ma pan rację — stwierdziła uśmiechając się.

Słyszałem, że chichotała, naprawdę chichotała, gdy ja zamykałem za sobą drzwi.

Stłoczeni w maleńkiej kabinie pilotów, w zupełnej prawie ciemności, wystawieni na lodowate podmuchy szalejącego wichru, namęczyliśmy się porządnie, zanim udało się nam przenieść nieszczęsnego radiotelegrafistę do sań stojących obok samolotu. Sądzę, że bez pomocy młodego człowieka nie dalibyśmy rady. To on właśnie podał ostrożnie nosze Jackstawowi i Jossowi, którzy z kolei umocowali je na saniach. Następnie przetransportowaliśmy na dół stewardesę. Wydawało mi się, że krzyknęła z bólu, gdy podtrzymywaliśmy ją za ręce podczas wydostawania się na zewnątrz. Jackstaw mówił mi wprawdzie, że coś jest nie w porządku z jej łopatką, ale przypomniałem sobie o tym zbyt późno.

Zeskoczyłem na lód. Kilka sekund później zrobił to samo młody człowiek. Nie przewidziałem, że ruszy za nami. Ale było chyba dobrze, że nie pozostał w kabinie pilotów, aby tam nas oczekiwać. Zresztą nie zajmując miejsca na saniach, w niczym nam nie przeszkadzał. Tak jak i my musiał iść pieszo.

Wiatr nieco ucichł, ale za to mróz był silniejszy... Nawet psy, przyzwyczajone do tych temperatur, jęczały i wyły, szukając schronienia za każdym występek lodu. A wyły tak, jak wyją czujące śmierć wilki. Cieszyłem się z tego powodu — oznaczało to, że marzą o biegu.

Popychane porywami wichury ruszyły pędem. Początkowo dotrzymywałem im kroku, biegnąc na przedzie i oświetlając drogę latarką, ale po kilku minutach Balto, wielki pies czołowy, minął mnie i znikł szybko w ciemnościach wraz z całym zaprzęgiem. Pomyślałem, że nie ma sensu

walczyć z nim o pierwszeństwo w tym wyścigu. Biegł jak po sznurku. Wiedziałem, że kto jak kto, ale Balto poprowadzi zaprzęg poprzez rów, wzdłuż bambusowych kołków, kabla anteny. Biegł jak w jasny dzień. Słyszałem skrzypienie płóz na śniegu. Zaprzęg posuwał się po idealnie równej drodze, podobnej do zamrożonej, spokojnej rzeki. Żaden ambulans na świecie nie mógłby przewieźć ciężko rannego radiotelegrafisty tak wygodnie, jak zrobiły to nasze sanie tej nocy. Po pięciu minutach znaleźliśmy się w baraku. Trzy minuty później — wracaliśmy. Te trzy minuty były jednak wypełnione bez reszty. Jackstraw rozpałił naftowy piec, zapalił lampę i specjalny grzejnik. W tym czasie ja i Joss ułożyliśmy rannego na nadmuchiwym materacu, umieszczonym obok pieca. Następnie ostrożnie wsunąłem go do mojego śpiwora, w którym uprzednio ułożyłem tuzin ogrzewających kompresów. Były to specjalne kompresy, zawierające związek chemiczny, który w zetknięciu z wodą wydzieliał ciepło. Podłożyłem mu pod głowę zrolowany koc i zasunąłem zamek śpiwora. Miałem w apteczce wszystkie konieczne instrumenty chirurgiczne, ale z użyciem ich trzeba było poczekać; nie tylko dlatego, że należało sprowadzić z samolotu jeszcze inne osoby, ale i z tego powodu, że człowiek ten, którego twarz nabrała ziemistego koloru, cierpiał straszliwie i każde dotknięcie mogło oznaczać dla niego śmierć. Dziwiłem się, że przeżył podróż z samolotu do baraku.

Poleciałem stewardesie przygotować kawę i udzieliłem jej dokładnych instrukcji. Pozostawialiśmy ich samych: ją, oczekującą na zagotowanie się wody na maszynie opalanej kostkami suchego spirytusu, i młodego człowieka, przeglądającego się w wiszącym nad moim tapczanem lusterku i masującego sobie białe od mrozu policzki. Zabraliśmy im całą pożyczoną poprzednio odzież, wzięliśmy kilka bandaży i ruszyliśmy w drogę.

W dziesięć minut później znajdowaliśmy się już w samolocie. Temperatura w kabinie pasażerskiej spadła o dobre dwadzieścia stopni. Wszyscy trzęśli się z zimna.

Kilka osób zabijało ręce. Nawet pułkownik miał zaaferowaną minę. Tylko starsza pani z

doskonałą fryzurą, otulona w swoje szerokie futro, spojrzała na zegarek i stwierdziła z uśmiechem:

— Dokładnie dwadzieścia minut! Jest pan bardzo punktualny, młody człowieku.

— Mam nadzieję, że obsługa się pani spodoba. — Rzuciłem na jedno z siedzeń stertę odzieży, którą przyniosłem, i wskazując na nią, jak również na zawartość wielkiego, opróżnionego przez Jackstrawę i Jossę worka, powiedziałem: — Proszę to jak najszybciej rozdzielić między siebie. Chcę, żeby państwo ruszyli natychmiast. Moi dwaj przyjaciele zaprowadzą was do baraku. Czy ktoś z państwa będzie uprzejmy pozostać ze mną? — Odwróciłem się w stronę młodej, siedzącej ciągle w głębi kabiny dziewczyny, która trzymała się za lewe ramię. — Ktoś będzie musiał mi pomóc przy nałożeniu opatrunku.

— Opatunku? — Luksusowo ubrana pasażerka po raz pierwszy otworzyła usta. Jej głos był tak samo piękny jak cała jej postać. — Ale po cóż? Cóż jej się stało?

— Ma złamany obojczyk — odpowiedziałem krótko.

— Złamany obojczyk? — zawołała starsza pani, wstając natychmiast. Na jej twarzy zauważyłem troskę. — I tak sama siedziała w kącie, zupełnie sama! Dlaczego pan nam o tym, chłopcze, nie powiedział?

— Zapomniałem — odpowiedziałem cichym głosem. — A zresztą, cóż by to dało?

Odwróciłem się do młodej kobiety, ubranej w palto z nurków. Nie wydawało mi się, by była idealnym pomocnikiem, ale ranna dziewczyna sprawiała wrażenie niezwykle nieśmiałej i byłem pewien, że będzie jej przyjemnie, jeśli przy zabiegu będzie mi asystować osoba jej płci. — Czy może pani zostać ze mną?

Spojrzała mi prosto w oczy. Było to spojrzenie lodowate i pełne przerażenia, tak jakbym jej Bóg wie co zaproponował. Nim zdobyła się na odpowiedź, starsza pani zawołała:

— Ja pozostanę. Będę szczęśliwa, jeżeli potrafię być panu pomocna.

— Wie pani... — zacząłem z wahaniem. Przerwała mi natychmiast:

— Co się stało? Pan prawdopodobnie uważa, że jestem za stara?

— Skądże znowu! — zaprotestowałem.

— Kłamca, ale grzeczny — stwierdziła z uśmiechem. — Chodźmy, tracimy cenne minuty.

Wydaje mi się, że chce pan, żeby wszystko przebiegało sprawnie.

Podprowadziliśmy ranną do pierwszego rzędu zwróconych do siebie foteli. Mieliśmy tam dość miejsca. Kiedy ściągaliśmy z niej żakiet, Joss oznajmił:

— Ruszamy. Wrócimy za dwadzieścia minut.

Gdy za ostatnim pasażerem zamknęły się drzwi, a ja zacząłem rozwijać bandaż, pani, która przyglądała mi się z niezwykle zaintrygowaną miną, spytała:

— Czy pan wie, co pan robi, młody człowieku?

— Mniej więcej. Jestem lekarzem.

— Naprawdę? — Odniosłem wrażenie, że mi nie uwierzyła. I rzeczywiście: w futrzanym ubraniu, które cuchnęło naftą i olejem napędowym, i z od trzech dni nie goloną brodą wyglądałem tak, że można było pomyśleć o mnie wszystko. — Naprawdę jest pan lekarzem?

— Najprawdziwszym — odpowiedziałem zdenerwowany. — Czego pani właściwie chce? Czy mam wyciągnąć wszystkie swoje dyplomy albo pokazać pani tabliczkę z godzinami przyjęć na drzwiach mojego gabinetu?

— Wydaje mi się, że łatwo dojdziemy do porozumienia, młody człowieku — stwierdziła zupełnie nie zrażona moim tonem. Poklepała mnie po ramieniu i zwracając się do młodej dziewczyny, spytała: — Kochanie, jak pani na imię?

— Helena.

Z trudem usłyszeliśmy jej zbliżony do szeptu głos. Przykro było patrzeć na jej zażenowanie.

— Helena? To bardzo ładne imię. Pani nie jest Angielką, prawda? Ani Amerykanką?

— Jestem Niemką, proszę pani.

— Proszę nie zwracać się do mnie ciągle „proszę pani”... Doskonale mówi pani po angielsku.

Ale prawda, pani jest z Niemiec, być może z Bawarii?

— Tak. — Uśmiech zupełnie zmienił jej twarz. W myślach uchyliłem kapelusza przed starszą panią, która z łatwością potrafiła doprowadzić do tego, że dziewczyna zapomniała o bólu. —

Pochodzę z Monachium. Czy pani zna to miasto?

— Jak własną kieszeń — odpowiedziała zapytana. — I proszę mi wierzyć, że nie tylko jego piwiarnie. Pani jest jeszcze bardzo młoda, prawda?

— Mam siedemnaście lat...

— Siedemnaście lat... — Westchnęła. — Ach, moja droga, przypominam sobie, jak sama miałam siedemnaście lat!

To był zupełnie inny świat. Nie było jeszcze wówczas transatlantyckich samolotów.

— Prawdopodobnie bracia Wright nie myśleli jeszcze o lotnictwie — mruknąłem.

Jej twarz wydawała mi się znajoma i byłem wściekły, że tyle czasu straciłem, żeby przypomnieć sobie, kim jest.

— Pan zaczyna być uszczypliwy, młody człowieku — zauważyła prostując się. Nie wyglądała jednak na obrażoną.

— Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś mógł być w stosunku do pani złośliwy. Za króla Edwarda miała pani przecież cały świat u swoich stóp, pani le Garde.

— A więc pan mnie zna? — Wyraźnie była tym mile zaskoczona.

— Byłoby naprawdę trudno znaleźć kogoś, kto nie zna nazwiska Marii le Garde. — Ruchem głowy wskazałem młodą dziewczynę. — Widzi pani, Helena zna panią również.

Wyraz twarzy młodej dziewczyny aż nadto wyraźnie świadczył, że nazwisko to oznacza dla niej dokładnie to samo, co dla mnie. Przez dwadzieścia lat Maria le Garde była królową musicali, przez wiele lat królową operetki. Ubóstwiano ją wszędzie tam, gdzie występowała. Nie tylko za jej wielki

talent, ale także za osobisty czar i niezwykłą dobroć, które jednak starała się ukryć przed szeroką publicznością, często przyoblekając maskę osoby o niezwykle złośliwym języku. A przecież to ona zorganizowała i utrzymywała w Wielkiej Brytanii i Europie pół tuzina sierocińców. Maria le Garde to jedno z wielkich nazwisk świata teatru.

— Tak, tak, wie pan, jak się nazywam — odezwała się do mnie Maria le Garde z uśmiechem. —

Ale skąd mnie pan zna?

— Z fotografii, naturalnie. Jedno zdjęcie widziałem w ostatnim numerze „Life”, który miałem w rękach w zeszłym tygodniu, szanowna pani le Garde.

— Dla przyjaciół Maria...

— Jestem zaszczycony, ale my się przecież nie znamy.

— Zapłaciłam potworną sumę, żeby jakoś wyretuszowano to zdjęcie — powiedziała nie zwracając się już bezpośrednio do mnie. — Naprawdę dokonali niezwykłego dzieła z tą moją biedną głową, którą dźwigam jeszcze na ramionach. Każdy, kto potrafi mnie rozpoznać na podstawie tego arcydzieła, zasługuje na to, by zostać moim przyjacielem na całe życie. A poza tym — dodała z uśmiechem — zawsze czuję wdzięczność i przyjaźń dla osób, które ratują mi życie.

Nie odpowiedziałem. Starałem się w tym czasie umocować szynę na ramieniu Heleny. Młoda dziewczyna zsiniała z zimna i nie mogła opanować drżenia ciała. Przyznać jednak należy, że zachowywała się niezwykle dzielnie. Podczas zabiegu, który nie należał przecież do najprzyjemniejszych, nawet nie jęknęła. Uśmiechnęła się nawet z wdzięcznością, kiedy ramię i ręka zostały już unieruchomione. Maria le Garde obserwowała moją pracę z zadowoleniem.

— Zaczynam wierzyć, że rzeczywiście musiał pan praktykować w swoim zawodzie, doktorze...

— Mason. Peter Mason. Dla przyjaciół Peter.

— Doskonale. A więc Peter, Heleno, pospieszmy się, proszę się szybko ubrać.

Piętnaście minut później dotarliśmy do baraku. Jackstraw poszedł wyprząc psy i przywiązać je

do długich smyczy, a Joss i ja pomagaliśmy obu kobietom w przejściu przez pokryty lodem pomost. Kiedy znaleźliśmy się już w środku, zupełnie zapomniałem o Marii le Garde i Helenie. Przyglądałem się, nie wierząc własnym oczom, obrazowi, który miałem przed sobą. Ledwie zauważyłem stojącego obok Jossa. Na jego twarzy malował się gniew, konsternacja i przerażenie. Jasne, że to, co widzieliśmy obaj, musiało na nim wywrzeć jeszcze większe wrażenie niż na mnie. Radiotelegrafista leżał wyciągnięty na swoim materacu, tam gdzie go pozostawiliśmy. Reszta towarzystwa zgromadziła się na wolnej przestrzeni wokół niego, półkolem, na lewo od pieca. U ich stóp leżał wielki aparat nadawczo–odbiorczy, przewrócony, z rozbitym bokiem. Był to nasz jedyny środek łączności ze światem zewnętrznym, jedyna możliwość wezwania pomocy. Nie znałem się na aparatach radiowych, ale nawet dla mnie było zupełnie jasne, że ten został gruntownie zniszczony.

PONIEDZIAŁEK, MIĘDZY DRUGĄ A TRZECIĄ NAD RANEM

Minęło pół minuty w absolutnej ciszy. Pół minuty, nim poczułem, że jestem zdolny do wydania głosu, zdolny do wysłowienia się.

— Znakomicie. Naprawdę znakomicie. Wprost idealne uzupełnienie idealnego dnia — powiedziałem niskim, głuchym głosem. Patrzyłem przed siebie. Przyglądałem się po kolei każdej twarzy i wreszcie wskazałem palcem leżący na ziemi aparat. — Kto jest tym piramidalnym kretynem, który zdobył się na ten genialny gest?

— Co?! Na co pan sobie pozwala! — wykrzyknął człowiek o białych włosach, którego w myślach nazwałem pułkownikiem. Zbliżył się do mnie o krok. Twarz zaczerwieniła mu się z wściekłości. — Niech pan uważa, co pan mówi! Nie jesteśmy smarkaczami...

— Niech się pan zamknie! — przerwałem mu spokojnym głosem. Było w moim tonie coś bardzo groźnego. Zamilkł natychmiast. Nie ruszył się jednak z miejsca. Stał przede mną z zaciśniętymi pięściami. Spojrzałem jeszcze raz na wszystkich. — A więc kto?

— Boję się... Obawiam się, czy to przypadkiem nie ja — odezwała się stewardesa. Jej ciemne brązowe oczy były szeroko otwarte, a twarz tak samo blada, jak kilkadziesiąt minut temu. — To przeze mnie.

— Pani? Jedyna osoba w tym całym towarzystwie, która powinna zdawać sobie sprawę z tego, co oznacza dla nas aparat radiowy? Nie wierzę pani!

— Niestety, musi pan uwierzyć. — Ten spokojny i pewny siebie głos należał do młodego człowieka o zakrwawionym czole. — Tylko ona stała przy aparacie, kiedy to się stało.

— Co panu jest? — spytałem. Miał rękę we krwi.

— Próbowałem przytrzymać aparat w momencie, kiedy spadał na ziemię — odpowiedział i dodał z uśmiechem: — Mogłem się nie fatygować. Ten przeklęty nadajnik waży tyle co martwy osioł.

— Rozumiem. W każdym razie dziękuję, że pan próbował. Za chwilę opatrzę panu rękę. — Odwróciłem się do stewardesy. Jej blada twarz i wyraz zawstydzenia w oczach nie były zdolne powstrzymać mojego gniewu i, prawdę mówiąc, przerażenia. — Przecież nie wyobrażam sobie, żeby aparat wyleciał pani z rąk?

— Powiedziałałam już panu, że jest mi bardzo przykro. Klęczałam obok Jimmy'ego...

— Obok kogo?

— Jimmy Waterman, drugi pilot. Jestem...

— Drugi pilot? — przerwałem. — Przecież to chyba radiotelegrafista?

— Nie. Jimmy jest pilotem. Mieliśmy trzech pilotów na pokładzie. Nie mieliśmy radiotelegrafisty wśród załogi.

— Nie mieliście... — przerwałem gwałtownie i natychmiast zadałem jej inne pytanie: — A więc człowiek w kabinie pilotów... Czy to był nawigator?

— Nie mieliśmy również nawigatora. Harry Williamson... był... mechanikiem pokładowym.

Bez radiotelegrafisty, bez nawigatora! Prawdopodobnie musiały zajść jakieś zmiany w lotnictwie od czasu mojego ostatniego lotu przez Atlantyk, który odbyłem kilka lat temu. Dałem spokój i wróciłem do pierwszego pytania, ruchem głowy wskazując rozbity aparat radiowy:

— A więc, jak to się stało?

— Kiedy wstawałam, uderzyłam o stół i aparat spadł. Wydaje mi się, że to wszystko. —

Umilkła.

— Ach, tak! Spadł sam... — powtórzyłem pełnym niedowierzania głosem. — Nadajnik, który waży siedemdziesiąt pięć kilogramów, pani ekspediuje na ziemię jednym pchnięciem ramienia?

— Przecież ja go nie zrzuciłam! Połamały mu się nóżki...

— On nie ma żadnych nówek — przerwałem. — Ma tylko płozy.

— A więc musiały połamać się płozy.

Zwróciłem się do Jossa, który sam montował i instalował nadajnik na podstawie.

— Czy to możliwe?

— Nie — odpowiedział zdecydowanym tonem.

W baraku znów zapadła cisza. Atmosfera robiła się coraz bardziej napięta. Zdałem sobie sprawę, że zadawanie dalszych pytań jest bezcelowe, a może stać się wręcz niebezpieczne. Nadajnik umarł.

Amen.

Odwróciłem się, powiesiłem futrzany płaszcz na gwoździu wbitym w drzwi, zdjąłem okulary i rękawice i zwróciłem się do mężczyzny ze zranionym czołem:

— Przyjrzyjmy się teraz pańskiej głowie i ręce. Ma pan przyzwoitą ranę na czole. Joss — poszukałem wzrokiem radiotelegrafisty — przede wszystkim napijemy się kawy, dużo kawy.

W tej samej chwili do baraku wszedł Jackstraw i stanął w progu jak wryty. Bez słowa wpatrywał się w nadajnik.

— Wiem, Jackstraw. Wiem. Wytlumaczę panu później, chociaż niewiele mogę panu

wytłumaczyć. Proszę przynieść kilka pustych skrzyń z magazynu. I niech pan nie zapomni o butelce koniaku. Jest nam wszystkim potrzebny.

Zaczynałem przemywać ranę, brzydką ranę, gdy wysoki młody człowiek, ten bardzo sympatyczny, który pomógł nam przetransportować drugiego pilota, podszedł do mnie. Na jego twarzy nie było ani śladu dawnej uprzejmości. Trudno powiedzieć, że wyglądał specjalnie wrogo, ale jego oczy patrzyły zimno, jak oczy człowieka, który zdaje sobie doskonale sprawę, że potrafi stawić czoło wszelkim sytuacjom, w jakich może się znaleźć, przyjemnym i nieprzyjemnym.

— Proszę pana — zaczął bez ogródek. — Nie wiem, kim pan jest i jak się pan nazywa, w każdym razie zapewniam pana, że wszyscy jesteśmy wdzięczni za to, co pan dla nas zrobił. Nie ulega wątpliwości, że zawdzięczamy panu życie. Wiemy również, że jest pan naukowcem, rozumiemy też, że otacza pan niezwykłą troską swoje przyrządy naukowe. Zgoda!

— Ma pan rację — stwierdziłem zalewając jodyną czoło ranego. Był twardy, nawet się nie skrzywił. Spojrzałem na mego rozmówcę. W jego inteligentnej, żywej twarzy wyczuwało się upór, a kto wie, czy nie coś gorszego, coś, co kontrastowało z wystudiowanym głosem, fałszywie nonszalanckim, zdradzającym wytworną szkołę. — Czy pan ma mi jeszcze coś do powiedzenia? — spytałem.

— Tak. Wydaje nam się... chcę powiedzieć... myślę, że pan dopuścił się niepotrzebnej brutalności wobec naszej stewardesy. Przecież widzi pan, w jakim stanie znajduje się ta biedna dziewczyna. Rozumiem, że pański nadajnik został zniszczony i że to doprowadziło pana do wściekłości, ale przecież to nie jest powód do takiej demonstracji i takiego krzyku. — Mówił ciągle spokojnym głosem, jakby prowadził salonową rozmowę. — Aparaty radiowe nie są niezastąpione. Zamienię panu ten aparat, obiecuję to panu. Będzie pan miał nowy za tydzień, najwyżej za dziesięć dni.

— Brawo! — odpowiedziałem krótko. Skończyłem bandażować głowę ranego i

wyprostowałem się. — Jestem panu niezmiernie zobowiązany za pańską ofertę, ale jest pewna sprawa, której nie bierze pan pod uwagę. Za dziesięć dni może pan już nie żyć. Za dziesięć dni możecie już nie żyć wszyscy.

— Wszyscy możemy... — przerwał przyglądając mi się spojrzeniem pełnym bezwzględności.

— O czym pan mówi?

— Mówię o nadajniku, który pan tak lekceważy. Bez aparatu nasze szansę wydostania się z tej sytuacji nie wyglądają zbyt wesoło. Nawet bardzo niewesoło. Jeżeli chodzi o sam nadajnik, to mam go generalnie w nosie. — Spojrzałem na jego zdziwioną minę i nagle doznałem olśnienia. — Ale czy pan... czy ktokolwiek z was zdaje sobie sprawę, gdzie się znajdujecie?

— Ależ naturalnie! — odpowiedział młody człowiek, wzruszając ramionami. — Jasne, że nie mogę panu powiedzieć dokładnie, w odległości ilu metrów znajduje się najbliższy bar, ale...

— Powiedziałam im — przerwała mu stewardesa. — Pytali mnie o to wszyscy, nim pan wrócił.

Wydaje mi się, że kapitan Johnson minął lotnisko w Reykjavíku z powodu burzy śnieżnej.

Znajdujemy się w Langjökull, prawda? — Widząc zdumienie na mojej twarzy mówiła dalej: — A więc w Hofsjökuli...? To znaczy... Przelatywaliśmy przecież na północny wschód od Gander, a wobec tego, że w Islandii są tylko te dwa śnieżne czy też lodowcowe pola... bo przecież nie może to być nic innego...

— W Islandii? — Poczulem się jak aktor i postanowiłem to wykorzystać. — Pani powiedziała: Islandia?

Przytaknęła. Wszyscy pasażerowie patrzyli na nią. Potem przenieśli spojrzenia na mnie.

— Islandia... — powtórzyłem. — Moje drogie dziecko, w tej chwili znajduje się pani w samym środku grenlandzkiego lodowca, którego pokrywa lodowa sięga dwóch tysięcy ośmiuset metrów.

Nie mogłem życzyć sobie większego efektu. Trafiłem w dziesiątkę. Pomyślałem, że nawet wielka Maria le Garde w okresie swojej największej sławy nie potrafiła tak zadziwić publiczności.

Przerażenie — to zbyt słabe określenie dla tego, co zobaczyłem na ich twarzach. Milczeli jak sparaliżowani. Nie mogli wydobyć głosu. Kiedy otrząsnęli się z wrażenia, zaczęli mówić jeden przez drugiego. Stewardesa zbliżyła się do mnie i dotknęła mego ramienia. Zauważyłem, że na jednym z palców nosiła pierścionek z brylantem. Przypomniałem sobie, że regulamin towarzystw lotniczych tego zabrania.

— Pan chyba żartuje! To niemożliwe, to niemożliwe! W Grenlandii... To naprawdę niemożliwe!

Kiedy zrozumiała, że bynajmniej nie żartuję, jej palce zacisnęły się na klapie mojej kurtki. I wtedy dwie myśli niemal równocześnie opanowały mój umysł. Pierwsza, że mimo przerażenia, które ją całkowicie ogarnęło, miała najpiękniejsze ciemne oczy, jakie kiedykolwiek widziałem, i druga, że choć towarzystwo lotnicze BOAC dobiera sobie zazwyczaj stewardesy znane ze spokoju i opanowania oraz doskonałych manier, nigdy nie tracące panowania nad sobą, to w jej wypadku odstąpiło od reguły. Moje zdziwienie było jeszcze większe, gdy zaczęła krzyczeć przerażonym głosem:

— Jak to możliwe? Przecież nasza trasa to Gander–Reykjavik! Grenlandia! Przecież nie lecieliśmy w tym kierunku! Na pokładzie mieliśmy pilota automatycznego, byliśmy prowadzeni przez radio i co pół godziny kontaktowaliśmy się z bazą! Przecież to naprawdę niemożliwe!

Dlaczego pan nam opowiada takie bzdury? — Drżała na całym ciele. Nie wiem, czy z powodu zimna, czy ze zdenerwowania.

Wysoki młody człowiek, mówiący z wytwornym akcentem, niezdarnie ujął ją za ramię.

Skrzywiła się z bólu. Prawdopodobnie cierpiała. Ale to mogło jeszcze poczekać.

— Joss — zwróciłem się do naszego radiotelegrafisty, który klęcząc obok pieca nalewał do filiżanek kawę. Podniósł na mnie wzrok. — Niech pan powie naszym przyjaciółom, gdzie się znajdujemy.

— Pod siedemdziesiątym drugim stopniem i czterdziestoma minutami szerokości północnej oraz czterdziestym stopniem i dziesięcioma minutami długości zachodniej. — Joss powiedział to zupełnie obojętnie, a mimo to ucichły wszystkie rozmowy. — Pięćset kilometrów od najbliższego zamieszkanego miejsca, sześćset kilometrów na północ od koła podbiegunowego, ponad tysiąc trzysta kilometrów od Reykjavíku, tysiąc sześćset kilometrów od przylądka Farvel, najbardziej na południe wysuniętej części Grenlandii, i w odległości niewiele mniejszej od bieguna północnego. Jeśli ktokolwiek nam nie wierzy, proponuję, żeby wyszedł z baraku, przeszedł się, wszystko jedno w jakim kierunku, i opowiedział nam później, co znalazł na zewnątrz.

Słowa Jossa, wypowiedziane tak spokojnym głosem, jakby mówił o najprostszycich sprawach, równały się co najmniej godzinie tłumaczenia. Wiedziałem, że teraz wszyscy nareszcie uwierzą, a niektóre sprawy staną się dla nich jeszcze bardziej skomplikowane, niż były dotychczas.

Podniosłem rękę, aby przyhamować falę pytań.

— Przede wszystkim bardzo państwa proszę o wypicie kawy i koniaku. Muszę powiedzieć, że naprawdę nie wiem, o czym z wami mówić... Naturalnie, poza jedną zasadniczą sprawą.

— Koniak? — Młoda, wytwornie ubrana kobieta, która, jak zdążyłem zauważyć, pierwsza zawładnęła pustą skrzynią, jedną z tych, które przyniósł Jackstraw, by służyły za krzesła, spojrzała na mnie spod fantastycznie długich rzęs. — Czy pan myśli, że to będzie właściwe?

— Naturalnie. — Staralem się być grzeczny. Wiedziałem, że najmniejsza sprzeczką w tej grupie, w której wszyscy będziemy przez pewien czas zdani tylko na siebie, mogła zamienić się w niesłychaną awanturę. — A dlaczego nie należy pić? — spytałem.

— Przecież alkohol rozszerza naczynia krwionośne, drogi panie — odezwała się słodkim głosem. — Wydaje mi się, że wszyscy o tym wiedzą. Czy to nie jest niebezpieczne dla osoby przebywającej na mrozie? Czy pan o tym zapomniał? Nasze walizki, a wraz z nimi wszystkie nasze rzeczy, konieczne do spędzenia nocy w tym baraku, znajdują się w samolocie. Ktoś będzie musiał

po nie pójść.

— Niech pani da spokój tym idiotyzmom! — Moja próba cierpliwości trwała naprawdę za długo. — Nikt stąd dzisiaj nie wyjdzie. Będziecie spali w ubraniach. Nie znajduje się pani w luksusowym hotelu. Jeżeli wichura uspokoi się do rana, spróbujemy odnaleźć bagaże.

— Ale...

— Jeżeli pani tak na nich zależy, nikt pani nie broni pójść po nie. Czy ma pani zamiar spróbować?

Wiedziałem, że zachowuję się jak szczeniak, ale doprowadziła mnie do szału. Kiedy odwracałem się od niej, zauważyłem, że ksiądz czy też pastor odmówił wypicia koniaku.

— Proszę wypić — powiedziałem głosem nie znoszącym sprzeciwu.

— Dziękuję, ale szczerze mówiąc, nie wiem, czy mi wolno. — Głos jego był piskliwy, choć wymowa wyraźna.

Jego wnętrze było doskonałym odbiciem wyglądu zewnętrznego. Uśmiechnął się z dezaprobatą i dodał: — Moi parafianie, pan rozumie...

Byłem zmęczony, zdenerwowany i naprawdę miałem ochotę powiedzieć mu, gdzie mam jego parafian... pomyślałem jednak, że nie warto.

— Znajdzie pan precedens w pańskiej Biblii, pastorze. Jestem pewien, że zna ją pan lepiej ode mnie. A koniak dobrze panu zrobi.

— Skoro pan tak uważa. Ostatecznie... — Wziął kieliszek końcami palców.

Wyglądało to tak, jakby trzymał za ogon Belzebuba. Zauważyłem jednak, że przełknął trunek bez zmrużenia oka, nawet wydawał się zadowolony. Spojrzałem na Marię le Garde i widząc wesołe iskierki w jej oczach, nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu.

Pastor nie był jedyną osobą, która z zadowoleniem i przyjemnością wypijała kawę i koniak.

Wszyscy, z wyjątkiem stewardesy, która błędząc myślami zupełnie gdzie indziej piła małymi

łyckami, sprawnie opróżnili swoje filiżanki. Wydawało się, że przydałaby się jeszcze jedna butelka koniaku.

Rozmowy umilkły. Pochyliłem się nad rannym. Puls jego był jeszcze wolniejszy, ale za to bardziej regularny, a oddech mniej przerywany. Wsunąłem kilka rozgrzewających kompresów do jego śpiwora, który natychmiast uszczelniłem.

— Czy... on lepiej się czuje? — Stewardesa była tak blisko mnie, że wstając, potrąciłem ją. — Wydaje mi się, że jest mu trochę lepiej, prawda?

— Możliwe, że troszkę lepiej. Ciągłe jednak jest w stanie szoku. — Przyjrzałem się jej ponownie i nagle zrobiło mi się jej bardzo żal. Ale z drugiej strony... Nie umiałem sprecyzować tych wszystkich myśli, które w tej chwili kłębiły mi się w głowie. — Czy długo już latacie razem?

— Tak — stwierdziła lapidarnie. — Jego głowa... Co pan o niej myśli?

— Później. Teraz chcę obejrzeć pani plecy.

— Obejrzeć co?

— Pani plecy — powtórzyłem cierpliwie. — Pani ramiona. Wydaje się, że odczuwa pani ból. Rozwieszę koc, który posłuży za parawan.

— Nie, nie! Bardzo dobrze się czuję — odpowiedziała cofając się.

— Niech pani nie będzie idiotką, kochanie — Maria le Garde w jakiś przedziwny sposób umiała nadać właściwy ton swojemu głosowi. — On jest naprawdę lekarzem.

— Nie!

Wzruszyłem ramionami i podniosłem do ust kieliszek koniaku. Zwiastuni złych nowin są zawsze niechętnie widziani. Jej reakcja na moją propozycję była dla mnie zupełnie zrozumiała.

Możliwe, że jej kontuzja ograniczała się tylko do kilku siniaków. Odwróciłem się do moich rozbitków.

Stanowili niezwykle ciekawą grupę. Mężczyźni w letnich garniturach i kobiety w lekkich

sukniach przedziwnie prezentowali się na tle baraku, który w niczym nie przypominał cywilizowanego świata, nie zapewniał przyjemności ani dostatku i w którym wszystko koncentrowało się wokół jednego: przeżycia w mroźnej Arktyce. Nie było foteli, krzeseł, tapczanów, tapet na ścianach, regałów z książkami ani firanek. Nie było nawet okien, na których można by było rozwiesić te firanki.

Pomieszczenie, w którym przebywaliśmy, miało sześć metrów długości i cztery i pół metra szerokości. Podłogę tworzyły surowe sosnowe deski; wszelkie zamknięcia otworów były wykonane z kilku drewnianych płyt, przełożonych korkiem izolującym od zimna. Ściany wewnętrzne pomalowano zieloną farbą olejną, a ich górną część oraz sufit wyłożono grubą aluminiową blachą wypolerowaną jak lustro, by w maksymalnym stopniu odbijała światło i ciepło. Cieniutka warstwa lodu pokrywała stale górną część ścian oraz najbardziej oddalony od naftowego pieca fragment sufitu. Podczas szczególnie ciężkich nocy, takich jak obecna, lód powlekał cały sufit, łącząc się z wiecznie oszronionymi oknami. Do naszego domu prowadziło dwoje drzwi. Były umieszczone po obu stronach baraku. Jedne wychodziły na pomost, a drugie wiodły do tunelu, gdzie magazynowaliśmy naszą żywność, benzynę, naftę, akumulatory, generator do radia, środki wybuchowe, służące do doświadczeń sejsmicznych i glaciologicznych, oraz tysiące innych drobnych przedmiotów. W połowie tunelu znajdowała się niewielka nisza, powstała na skutek wycinania bloków śniegu, który topiliśmy, by otrzymać wodę do picia. Na samym końcu tunelu umieściliśmy nasze dość prymitywne toalety.

Wzdłuż sześciometrowej ściany stały koje. Było ich osiem. Naprzeciwko stał piec, coś w rodzaju stołu, aparat radiowy oraz instrumenty meteorologiczne. Niewielkie pomieszczenie obok tunelu było wypełnione skrzyniami z żywnością, którą umieszczaliśmy tam w celu odmrożenia. Skrzynie te były w większości puste.

Lokum, w którym się znajdowaliśmy, obejrzałem tak, jakbym widział je po raz pierwszy. Potem

przyjrzałem się wszystkim osobom, które mnie otaczały. Ich niecodziennosc wśród tej prymitywnej scenerii była tak niezwykła, że nie wierzyłem własnym oczom. Ale przecież oni tu byli. A ja ponosiłem za nich odpowiedzialność. Wszyscy milczeli i przyglądali mi się, czekając, żebym coś powiedział. Stali półkolem wokół pieca, zbici w gromadkę, drżący z przeraźliwego zimna. Jedynymi dźwiękami, które słychać było w baraku, był dobiegający przez rurę wentylacyjną nieustający szum skrzydeł anemometru, wycie wichru na lodowej równinie oraz syk naszej karbidowej lampy. Westchnąłem i postawiłem na skrzyni pustą filiżankę.

— Wszystko wskazuje na to, że przez jakiś czas będą państwo naszymi gośćmi. Byłoby dobrze, żebyśmy się sobie przedstawili. Przede wszystkim my. — Wskazałem ruchem głowy Jossa i Jackstraw, którzy rozbierali ustawiony z powrotem na swojej podstawie nadajnik. — Na lewo od was Joseph London, naturalnie z Londynu, nasz radiotelegrafista.

— Obecnie bezrobotny — mruknął Joss.

— Obok niego Nils Nielsen. Proszę mu się dobrze przyjrzeć. Wydaje mi się, że w tej chwili anioły stróże waszych towarzystw asekuracyjnych modlą się o to, żeby nic mu się nie stało. Jeżeli powrócicie do domów, będzie to wyłącznie jego zasługa — mówiąc te słowa nie zdawałem sobie sprawy, że okażą się one prorocze. — Ten człowiek zna więcej możliwości i sposobów utrzymania się przy życiu na tym lodowcu niż wszyscy mieszkańcy Grenlandii razem wzięci.

— Wydawało mi się, że nazywa go pan Jackstraw — szepnęła Maria le Garde.

— To moje eskimoskie nazwisko. — Jackstraw odwrócił się do niej z uśmiechem. Kaptur skafandra zsunął mu się na ramiona. Na widok jego pięknych włosów i niebieskich oczu na twarzy starszej pani pojawiło się coś w rodzaju zdziwienia. Mój przyjaciel umiał czytać w jej myślach. — Dwóch moich przodków było Duńczykami. Zresztą większość spośród nas, Grenlandczyków, ma w swoich żyłach zarówno duńską, jak i eskimoską krew.

Byłem zdziwiony słuchając jego słów. Zrozumiałem, że składa w ten sposób hołd Marii le

Garde. Zawsze zżymał się, kiedy zadawano mu pytania na temat jego eskimoskiego pochodzenia.

— Ach, jakież to ciekawe! — zawołała młoda, przyodziana w drogocenne futro kobieta, która siedziała teraz na skrzyni, ze skrzyżowanymi nogami i z rękoma opartymi o delikatne kolana. —

Mój pierwszy Eskimos!

— Proszę się nie obawiać, nie gryzę. — Uśmiech Jackstrawa był bardziej spontaniczny niż zazwyczaj. Wiedziałem, że swój wybuchowy temperament odziedziczony po przodkach — wikingach maskuje często poczuciem humoru.

Zapanowała znów cisza, o której nie można było powiedzieć, aby była zbyt przyjemna. Szybko zabrałem głos:

— Jeśli chodzi o mnie, nazywam się Mason, Peter Mason i jestem odpowiedzialny za tę stację Międzynarodowego Roku Geofizycznego. Wydaje mi się, że zdają sobie państwo sprawę z tego, co robimy na tym lodowcu... pomiary meteorologiczne, glaciologiczne, badania magnetyzmu ziemskiego, zórz polarnych, burz magnetycznych i dziesiątków innych spraw, które, jak sądzę, nie będą państwa interesować. — Ruchem ręki poprosiłem o ciszę. — Orientują się państwo zapewne, że jest nas tutaj więcej niż trzech. Pięciu naszych towarzyszy udało się z ekspedycją na północ. Oczekujemy ich przybycia za trzy tygodnie. Gdy powrócą, zwiniemy bazę, żeby opuścić to miejsce przed nadejściem zimy, czyli zanim kra zdąży zablokować wybrzeże.

— Przed nadejściem zimy? — zapytał mały człowieczek w swetrze w szkocką kratę. Patrzył mi prosto w oczy. — Czy chce pan przez to powiedzieć, że może być jeszcze zimniej niż teraz?

— Bez wątplenia. Badacz Północy o nazwisku Alfred Wegener zimował w latach 1930–1931 w odległości osiemdziesięciu kilometrów stąd. Temperatura spadła wówczas do minus sześćdziesięciu pięciu stopni. A z tego, co wiemy, była to ciepła zima. — Dałem mu trochę czasu dla strawienia tej informacji i mówiłem dalej: — Pani le Garde, Marii le Garde, nikomu nie trzeba przedstawiać. — Szepty i potakujące ruchy głowami potwierdziły moje zdanie. — Ale to jest

spośród nas jedyna osoba, którą znam.

— Corazzini — odpowiedział człowiek z zabandażowanym czołem. Biały opatrunek, przesączony krwią, kontrastował z jego czarnymi włosami. — Nick Corazzini. W drodze do radosnej Szkocji, jak głoszą afisze.

— Na wakacjach?

— Niestety! — zaprzeczył z uśmiechem. — Mam zająć się nową filią firmy produkującej traktory „Global”, niedaleko Glasgow. Zna pan moją firmę?

— Słyszałem o niej. Traktory?... Panie Corazzini, wartość pana jest równa wadze złota! Mamy tutaj stary traktor, który zachowuje się jak kapryśna staruszka. Bez użycia młota i innych narzędzi nie udaje się go uruchomić.

— No cóż... — Wydawał się zaskoczony. — Naturalnie, spróbuję...

— Wyobrażam sobie, że już od lat nie miał pan w praktyce do czynienia z traktorami — przerwała grzecznie Maria le Garde. — Chyba mam rację, panie Corazzini?

— Obawiam się, że tak jest istotnie — odpowiedział z ponurą miną. — Ale w sytuacji, w jakiej się znajdujemy, będę szczęśliwy, jeżeli na coś się przydam.

— Damy panu okazję, proszę się nie niepokoić — obiecałem i odwróciłem się w stronę mężczyzny, który siedział obok niego.

— Smallwood — przedstawił się. Cały czas zacierał dłonie o białych, delikatnych palcach. — Jestem pastorem. Nazywam się Joseph Smallwood. Jestem delegatem okręgu Vermont na Międzynarodowe Spotkanie Zjednoczonych Kościołów i Sekty Unitarnej w Londynie. Może słyszał pan o tym? To nasze największe zgromadzenie od lat.

— Niestety, nie — odpowiedziałem. — Ale niech to pana nie zraża. Nasz dostawca gazet nie należy do najbardziej punktualnych. Pan? — Spojrzałem na małego człowieczka w swetrze w szkocką kratę.

— Solly Levin. Z Nowego Jorku. — Wyprostował się i położył rękę na ramieniu potężnego młodego człowieka, który siedział obok niego. — A to mój chłopak, Johnny.

— Pański chłopak? Pański syn? — Wydawało mi się, że są do siebie podobni.

— Niech Bóg mnie broni! — zaprotestował żywo młody człowiek. — Nazywam się Johnny Zagero. Solly jest moim menażerem. Jest mi bardzo przykro, że wprowadzam taki dysonans w to ekskluzywne zgromadzenie — dodał obrzucając szybkim spojrzeniem wszystkich obecnych, a dłużej zatrzymując wzrok na młodej wytwornej pani. — Jestem w trakcie robienia kariery pięściarskiej, czyli mówiąc wulgarnie bokserem, prawda Solly?

— Jak wam się to podoba? — jęknął Solly Levin, wznosząc ręce do nieba. — Słyszeliście? On się tłumaczy!

Johnny Zagero, przyszły mistrz świata w wadze ciężkiej, tłumaczy się, że jest bokserem!

Bożyszczce białych tłumów! Podkreślam to! Trzeci numer na liście pretendentów do tytułu!

Nazwisko, które będzie niedługo na ustach wszystkich...

— Spytaj doktora Masona, czy kiedykolwiek słyszał o mnie — przerwał menażerowi Zagero.

— To nie ma żadnego znaczenia — odpowiedziałem z uśmiechem. — Nie wygląda pan na boksera, panie Zagero. Przede wszystkim nie mówi pan jak bokser. Nie wiem, gdzie pana tego uczono... na uniwersytecie Yale czy w Harvardzie?

— Princeton — sprostował. — I cóż w tym dziwnego? Przecież Tunney studiował Shakespeare'a. Roland la Starza kończył wyższą uczelnię, gdy walczył o mistrzostwo świata.

Dlaczego mnie nie wolno?

— Ależ przeciwnie — wtrącił Solly Levin. — Dlaczego ty nie masz być mistrzem świata z wyższym wykształceniem? Kiedy rozbijemy w pył waszego angielskiego mistrza, starego ramola, oznaczonego na liście pretendentów do mistrzowskiego tytułu numerem dwa, wówczas zapoczątkujemy nową wspaniałą erę historii boksu...

— Daj spokój, Solly — przerwał Zagero. — Naprawdę najbliższy dziennikarz znajduje się w tej chwili co najmniej tysiąc pięćset kilometrów stąd. Pozostaw swoje uwagi na później.

— Nie gniewaj się, mój chłopcze. Robię to po to, żeby nie wyjść z wprawy. Wiesz przecież, że mam w zapasie jeszcze tysiące słów i umiem robić reklamę...

— No, chyba raczej miliony słów, Solly. Ale teraz zamilknij.

Solly zamilkł, a ja zwróciłem się do siedzącej obok Zagera młodej kobiety.

— A pani?

— Jestem panią Dandsby–Gregg. Być może zna pan moje nazwisko?

— Nie — odpowiedziałem marszcząc czoło. — Chyba nie.

A przecież nieraz o niej słyszałem. Widziałem nawet jej zdjęcia, zamieszczane w rubryce bogatych nierobów, których nazwiska wypełniają tak zwane „kroniki towarzyskie” bulwarowych dzienników. Pani Dandsby–Gregg zajmowała się działalnością charytatywną i wydawaniem pieniędzy na prawo i lewo. Ale wszystko to było obliczone wyłącznie na reklamę własnej osoby...

Uśmiechnęła się do mnie uwodzicielsko.

— Naprawdę? Rozumiem, że jest pan zbyt daleko od tych wszystkich spraw, prawda? —

Zwróciła się w stronę młodej dziewczyny ze złamanym obojczykiem. — A to jest Fleming.

— Fleming? — Tym razem na dobre zmarszczyłem czoło. — Chciała pani chyba powiedzieć: Helena?

— Fleming. Moja pokojówka.

— Pani pokojówka... — powtórzyłem powoli. Czuję, że wzbiera we mnie fala gniewu. —

Pani własna pokojówka? I pani nie zaproponowała mi nawet, że pozostanie z nią, kiedy opatrywałem jej złamany obojczyk?

— Cóż znowu? Przecież pani le Garde pierwsza się zaofiarowała — odpowiedziała chłodnym tonem. — Po co miałabym proponować siebie?

— Tak, rzeczywiście, to prawda, szanowna pani Dandsby–Gregg. Po cóż miałyby pani proponować swoją osobę? — powiedział Johnny Zagero takim tonem, jakby przyznawał jej rację. Przyglądał się jej przez chwilę. — Mogła pani zabrudzić sobie rękę.

Po raz pierwszy na doskonałej masce pojawiła się rysa. Twarz jej znieruchomiła. Na policzkach wykwitły rumieńce. Nie odpowiedziała Johnny’emu. Być może nie miała nic do powiedzenia. Tacy ludzie jak Johnny Zagero nigdy nie ocierali się nawet o granicę jej światka blichtru i pieniędzy. Nie był dla niej partnerem.

— A więc pozostają tylko panowie — wtrąciłem szybko.

Mężczyzna o wyglądzie pułkownika z Południa ze swoją wielką głową i śnieżnobiałą czupryną i siedzący obok niego mały Żyd o kręconych włosach stanowili prześmieszoną parę.

— Teodor Mahler — odpowiedział ten ostatni spokojnym tonem.

Poczekaliśmy chwilę, ale nie dodał nic ponadto.

— Brewster — rzucił ten drugi. Przez chwilę milczał. — Senator Hoffman Brewster. Będę szczęśliwy, jeśli będę mógł panu pomóc, mój drogi.

— Dziękuję, senatorze. Jeśli chodzi o pana, to wiem, kim pan jest. — Dzięki reklamie, jaką wokół siebie robił, połowa zachodniego świata знаła tego śmiesznego reakcjonistę, oszalałego antykomunistę, fanatyka izolacjonizmu, pochodzącego z południowo–wschodnich terenów Stanów Zjednoczonych. — Czy jest pan w trakcie odbywania podróży po Europie?

— Tak, w pewnym sensie. — Miał ten przedziwny, właściwy politykom dar, który umożliwiał nawet najbliższymi słowami nadawać niezwykłą rangę. — Jako prezes jednego z naszych komitetów odbywam tournée, którego celem jest zebranie odpowiednich środków finansowych.

— A w tym czasie pańska żona i sekretarze płyną statkiem, jak wszyscy ludzie, których nie stać na większe pieniądze — zauważył spokojnie Zagero i pokiwał głową. — To naprawdę była jedna z paskudniejszych historii, jaką wykryły władze śledcze, pakując nos w niektóre wydatki senatorów

USA za granicą.

— To obraźliwe, co pan mówi, młody człowieku! Zupełnie nie na miejscu! — odpowiedział Brewster chłodnym tonem.

— I ja tak myślę — zgodził się Zagero. — Nie chciałem pana obrazić. Bardzo mi przykro, senatorze.

Co za ludzie! — pomyślałem z rozpaczą. I taką gromadę muszę ciągnąć i odpowiadać za nią w samym sercu Grenlandii! Dyrektor fabryki, gwiazda operetki, pastor, bokser z długim językiem, jego przedziwny menażer, pasożytki z londyńskiego towarzystwa i jej młoda pokojówka Niemka, senator, mrukliwy Żyd, stewardesa — histeryczka i wreszcie ciężko ranny pilot, który w każdej chwili może umrzeć. Niestety, nie było wyboru. Miałem ich na głowie. Byłem za nich odpowiedzialny. Musiałem robić wszystko, co tylko możliwe, by zapewnić tym ludziom bezpieczeństwo. Przyznam, że bałem się tego. Zastanawiałem się, w jaki sposób znaleźć wyjście z sytuacji i uratować ludzi, którzy nie mieli nawet odzieży chroniącej ich przed tnącą jak ostrze brzytwy wichurą i potwornym mrozem i byli pozbawieni najmniejszego choćby doświadczenia w podróżowaniu po tych regionach, ludzi, którym brak było wytrzymałości, a nawet siły psychicznej, potrzebnej do przeciwstawienia się okrutnym trudom życia w Grenlandii.

Jedynym, czego im nie brakowało w tym momencie, to daru wysławiania się. Ciepło spowodowane koniakiem rozwiązało na nieszczęście ich języki. Na nieszczęście — oczywiście z mojego punktu widzenia. Zdawałem sobie sprawę, że chcieliby mi zadać tysiące pytań, sądząc przy tym, iż potrafię na wszystkie odpowiedzieć. W rzeczywistości te ich pytania ograniczały się zaledwie do sześciu, ale ich warianty osiągały cyfrę astronomiczną.

W jaki sposób doświadczony pilot mógł zboczyć tyle kilometrów z trasy? Czy busole mogą kłamać? Czy pilot mógł ulec atakowi szału? Ale wobec tego dlaczego drugi i trzeci pilot nie spostrzegli tego? Może aparat radiowy został uszkodzony? W południe, kiedy opuszczali Gander,

było bardzo zimno — czy możliwe, aby stery zamarły i spowodowały błąd w kierunku lotu? A jeżeli tak było, dlaczego nikt nie uprzedził ich, że będą zmuszeni do lądowania i że w czasie tego lądowania może wydarzyć się katastrofa?

Odpowiadałem najlepiej, jak umiałem, ale moje odpowiedzi sumowały się w jedno: wiedziałem niewiele więcej niż oni sami.

— W pewnej chwili powiedział pan, że być może jest coś, z czego zdaje pan sobie sprawę, a czego my nie wiemy — zauważył Corazzini przyglądając mi się swoimi inteligentnymi oczyma o przenikliwym spojrzeniu. — Co to było, doktorze Mason?

— Co to było?... Prawda! Teraz sobie przypomniałem... — Nie zapominałem, co to było, ale w świetle, w jakim obecnie widziałem całą prawdę, przygotowałem inną odpowiedź. Pomyślałem, że lepiej ukryć prawdę. — Muszę panu powiedzieć, Corazzini, że nie jest to coś, czego byłbym zupełnie pewien. A zresztą, czy mogę być pewien? Nie byłem w waszym samolocie. Chodzi o to, że nasuwa mi się pewna myśl, zresztą jedynie wobec braku innej hipotezy. Oparta jest ona na obserwacjach naukowych, które były dokonywane podczas ostatnich osiemnastu miesięcy zarówno tutaj, jak i w innych stacjach Międzynarodowego Roku Geofizycznego w Grenlandii. Od przeszło roku znajdujemy się pod wpływem dużej aktywności słonecznej, największej, jaką zaobserwowano od początku wieku. Jak panu zapewne wiadomo, plamy słoneczne wysyłają promienie, które są związane z tworzeniem się zórz polarnych i burz magnetycznych. Oba te zjawiska zależą od pewnych zmian w jonosferze. Zarówno zorze polarne, jak i burze magnetyczne wywierają wpływ na transmisje radiowe i mogą, kiedy są bardzo silne, w ogóle przerwać wszelką łączność radiową. Mogą one również wywołać okresowe zmiany w magnetyzmie ziemskim, co z kolei powoduje zupełne rozregulowanie busoli magnetycznych. — To wszystko, co powiedziałem do tego miejsca, było ściśle i prawdziwe. — Naturalnie — ciągnąłem — konieczne jest połączenie tych wszystkich warunków, bardzo zresztą specyficznych, aby spowodować takie efekty. Pech chciał, że właśnie

teraz wszystkie te warunki wystąpiły jednocześnie, i jestem prawie pewien, że to one właśnie oddziaływały na samolot. Kiedy nawigacja według gwiazd jest niemożliwa, jak to miało miejsce w waszym przypadku, można polegać wyłącznie na radiu i busolach. Jeżeli jednak wysiadły radio i busole, cóż pozostało?

Rozległy się pełne potakiwania szeptu. Zauważyłem, że chociaż większość pasażerów nie bardzo orientowała się w tym, co mówiłem, wszyscy przyjęli z zadowoleniem moje tłumaczenie, które w jakiś sposób potwierdzało ich wersję katastrofy.

Joss przyglądał mi się wzrokiem pozbawionym jakiegokolwiek wyrazu. Spojrzałem mu prosto w oczy. Wytrzymał to spojrzenie kilka sekund, wreszcie odwrócił głowę. Jako radiotelegrafista wiedział lepiej ode mnie, że największą aktywność słoneczną odnotowano w zeszłym roku. Jako były radiotelegrafista lotniczy wiedział doskonale, że w samolotach używa się żyrokompasów, na które nie działa ani aktywność słoneczna, ani burze magnetyczne.

— No, a teraz coś zjemy — powiedziałem przerywając rozmowy. — Czy ktoś z państwa może pomóc Jackstrawowi?

— Naturalnie! — Jak się spodziewałem, pierwsza odezwała się Maria le Garde. — Muszę jednak przyznać się panu, że nie jestem nadzwyczajną kucharką. Niech mi pan powie, co mam robić, panie Nielsen.

— Dziękuję pani. Joss, czy może mi pan pomóc w ustawieniu parawanu? — Wskazałem na pilota leżącego na nadmuchiwanym materacu. — Zobaczymy, co można zrobić dla tego chłopca. Stewardesa bez zaproszenia zbliżyła się, żeby mi pomóc. W pierwszym odruchu postanowiłem nie skorzystać z jej oferty, wiedziałem, że asystowanie przy zabiegu nie będzie zbyt przyjemne, ale z drugiej strony nie chciałem się z nią sprzeczać, w każdym razie jeszcze nie teraz. Wzruszyłem ramionami i pozwoliłem jej zostać.

Przyznaję, że nie był to szczególnie miły seans, ale zarówno ranny, jak i stewardesa znieśli go

lepiej, niż się spodziewałem. Założyłem opaskę ze skóry wokół potylicy rannego, a Joss przymocował pasami śpiwór do noszy w ten sposób, aby chory przy poruszeniu się nie zrobił sobie krzywdy. Stewardesa dotknęła mojego ramienia i spytała:

— Cóż pan teraz myśli o tym wszystkim, doktorze Mason?

— Trudno mi powiedzieć. Nie jestem specjalistą od chirurgii mózgu, ale wydaje mi się, że na moim miejscu nawet najświetniejszy specjalista nie udzieliłby pani żadnej konkretnej odpowiedzi.

Być może rana jest dużo groźniejsza, niż myślimy, być może nastąpił wylew krwi do mózgu.

Często tak się dzieje.

— Ale jeżeli nie ma wylewu? — spytała. — Jeżeli rana nie jest poważniejsza, niż panu się wydaje? Co pan myśli?

— Pięćdziesiąt procent. Nie powiedziałbym tego samego jeszcze dwie godziny temu, ale wydaje mi się, że on ma przedziwną zdolność odzyskiwania sił i umie przeciwstawiać się chorobie. Na pewno miałby więcej szans, gdyby znajdował się w ciepłe, gdyby miał zapewnioną opiekę i wyżywienie w pierwszorzędnym szpitalu. I to by było wszystko. Czy pani mnie rozumie?

— Tak — wyszeptała. — Dziękuję panu.

Przyglądałem się jej przez chwilę. Miała znużoną twarz i mocno podkrążone oczy. Zrobiło mi się jej żal. Była wyczerpana. Drżała z zimna.

— Do łóżka — powiedziałem. — Potrzebny jest pani sen, ciepło... Bardzo mi przykro, ale nawet zapomniałem spytać, jak się pani nazywa.

— Ross, Margaret Ross.

— Szkotka?

— Irlandka. Z południowej Irlandii.

— Nie chcę pani męczyć, ale proszę mi powiedzieć, dlaczego tak mało pasażerów znajdowało się na pokładzie samolotu?

— Odbywaliśmy tak zwany lot „X”, co w języku potocznym oznacza lot specjalnym samolotem, dublującym regularne kursy i startującym wyłącznie w razie większej liczby pasażerów. Samolot, którym lecieliśmy, wystartował wczoraj, a właściwie — jak mi się teraz wydaje — przedwczoraj z Londynu. Noc spędziliśmy w Stanach Zjednoczonych, w Idlewild. Następnego dnia linia lotnicza zaproponowała kilkunastu pasażerom udającym się do Londynu lot wieczorny tym właśnie samolotem. Dziesięciu pasażerów, którzy nie chcieli tracić czasu, zgodziło się.

— Rozumiem... Ale proszę mi powiedzieć, czy w samolocie transatlantyckim pełni służbę tylko jedna stewardesa?

— Normalnie są dwie, względnie trzy: steward i dwie stewardesy albo dwóch stewardów i jedna stewardesa. Naturalnie nie do obsługi dziesięciu pasażerów.

— No tak, to oczywiste. Ale chyba tak mała liczba pasażerów sprawiła, że nie miała pani zbyt wiele pracy podczas lotu?

— Nie ma pan racji! Byłam bardziej zajęta, niż mogłam się tego spodziewać. Nie miałam zbyt dużo wolnego czasu. — Jej blade policzki nabrały rumieńców.

— Proszę mi wybaczyć, pani Ross. Nie chciałem być złośliwy. A zresztą, nie ma to już w tej chwili większego znaczenia.

— Wprost przeciwnie, to ma znaczenie! — Śliczne oczy napęłniły się łzami. — Gdybym nie usnęła, wiedziałabym, co się dzieje. Mogłabym uprzedzić pasażerów. Mogłabym usadowić pułkownika Harrisona na innym fotelu, bardziej z przodu.

— Pułkownika Harrisona? — przerwałem.

— Tak. Mówię o człowieku, który siedział w głębi, o tym, który był martwy, gdy pan wszedł do kabiny pasażerskiej...

— Ale przecież on nie był w mundurze, kiedy...

— Wszystko jedno. Pod tym nazwiskiem figurował na liście pasażerów. Gdybym wiedziała, co się dzieje, nie zginąłby, a pani Fleming nie złamałaby obojczyka!

A więc takie były powody jej przygnębienia — pomyślałem. Dlatego zachowywała się tak dziwnie. Po chwili zastanowienia zdałem sobie jednak sprawę, że nie mam racji.

W taki sam sposób zachowywała się, zanim dowiedziała się, jaki los spotkał pasażerów.

Owładnęły mną tysiące wątpliwości, na które nie umiałem znaleźć odpowiedzi. W każdym razie postanowiłem bacznie obserwować tę młodą osobę.

— Nie powinna pani robić sobie jakichkolwiek wyrzutów. W tej burzy pilot leciał zupełnie na ślepo. Proszę też pamiętać, że znajdujemy się na lodowcu grenlandzkim, którego grubość przekracza dwa tysiące pięćset metrów. A on prawdopodobnie nie zdawał sobie z tego sprawy. W każdym razie do momentu, w którym nastąpiła katastrofa.

Oczywiście wyobraźni raz jeszcze ujrzałem kadłub samolotu. Reflektory, których używa się przy lądowaniu, były zapalone. Przez dziesięć minut krążył nad nami. Przecież ona musiała wiedzieć! Albo choćby zdawać sobie sprawę!... Kto wie, może była znakomitą aktorką?

— Prawdopodobnie — wyszeptała zmęczonym głosem. — Ja naprawdę nic nie wiem.

Gorący obiad bardzo nam się przydał. Składał się z zupy, mięsa, ziemniaków i jarzyn. Wszystko to pochodziło naturalnie z puszek, ale smakowało znakomicie. Był to właściwie ostatni wytworny obiad naszych gości, a przy okazji również i nasz. Ale nie był to odpowiedni moment, aby przekazać im tę nie bardzo przyjemną wiadomość. Równie dobrze mogli dowiedzieć się o tym nazajutrz czy kilka godzin później. W tej chwili według czasu cywilizowanego świata była godzina trzecia nad ranem.

Zaproponowałem, aby cztery panie położyły się spać na górnych kojach. Nie ze względu na ich delikatność czy pruderię, ale dlatego, że pod sufitem było o piętnaście stopni cieplej niż przy podłodze, a w nocy, po wygaszeniu pieca, ta różnica temperatur stopniowo jeszcze rosła. Rozległy

się głosy protestu, gdy oznajmiłem, że wygaszę piec. Nie chciałem się wdawać w żadne dyskusje. Jak wszyscy ludzie mieszkający od pewnego czasu w Arktyce, wprost patologicznie obawiałem się pożaru.

Margaret Ross podziękowała za koję i oświadczyła, że usiądzie obok rannego pilota, by w razie czego służyć mu pomocą. Chciałem zrobić to sam. Spostrzegłem jednak, że nie zmieni swej decyzji, więc mimo wewnętrznych oporów nie wyraziłem sprzeciwu.

Pozostało pięć koi dla sześciu mężczyzn. Jackstraw, Joss i ja mogliśmy spać w naszych futrach na podłodze. Naturalnie, przez pewien czas sprzeczano się, kto ma zająć koje. Sprawę załatwił Corazzini, wyciągając monetę z kieszeni i losując. Przegrał, ale przegrał z dobrą miną.

Kiedy wszyscy znaleźli się już na swoich pościeliach, wziąłem latarkę i dziennik pokładowy i spojrzawszy na Jossę, skierowałem się w stronę drzwi prowadzących na pomost. Zagero odwrócił się na drugi bok.

— Co się stało, doktorze Mason? O tej godzinie, w nocy?

— Biuletyn meteorologiczny, panie Zagero. Po to tutaj jesteśmy. Jestem już i tak opóźniony o przeszło trzy godziny.

— Nawet dzisiejszego wieczora?

— Nawet. Przy obserwacjach meteorologicznych regularność to najważniejsza sprawa.

— Nie zamieniłbym się z panem pracą — zauważył szcękając zębami. — Jeżeli na zewnątrz jest tak samo zimno jak tutaj... — Odwrócił się do ściany.

Joss wstał. Zrozumiał moje spojrzenie. Czuję, że płonie z ciekawości.

— Pójdę z panem. Trzeba sprawdzić, jak zachowują się psy.

Nie muszę mówić, że zarówno psy, jak i przyrządy meteorologiczne mało nas w tej chwili obchodziły. Ruszyliśmy prosto do traktora. Weszliśmy pod plandekę. Wiatr zelżał wprawdzie, ale mróz był jeszcze większy. Długa polarna noc milowymi krokami zbliżała się do lodowca.

— To wszystko brzydko pachnie — powiedział Joss spokojnym głosem. — Cuchnąca historia.

— I mnie się tak wydaje. Problemem jest jednak dowiedzieć się dlaczego.

— Bajeczki dla dzieci o burzach magnetycznych, busolach i radiu... O co panu właściwie chodziło?

— Pamięta pan, powiedziałem im, że wiem o czymś, czego nie wiedzą oni. I to prawda. Minęło jednak trochę czasu, nim zrozumiałem, że lepiej będzie zatrzymać tę wiadomość dla siebie. Cóż, ten przeklęty mróz działa jednak na mózgowicę. Byłem zbyt powolny...

— Zbyt powolny? Do czego?

— Żeby uświadomić sobie, że należy zachować to dla siebie.

— Ale co zachować dla siebie?

— Prawda! Pan także o tym nie wie. Proszę mi wybaczyć. Przyczyna faktu, że nikt z nich nie zdawał sobie sprawy z katastrofy, kryje się w tym, iż wszyscy oni znajdowali się pod wpływem jakiegoś narkotyku albo środka nasennego... Wszyscy lub prawie wszyscy...

Czułem w ciemności, że wytrzeszcza na mnie oczy. Po dłuższej chwili wyszeptał:

— Nie powiedziałby pan tego, gdyby nie był pan o tym przekonany.

— Jestem absolutnie pewien. Ich reakcje, powolność, z jaką wracali do rzeczywistości, a przede wszystkim ich źrenice. Lekarz nie może się mylić. Był to prawdopodobnie bardzo szybko działający środek nasenny w pastylkach. W amerykańskim świecie przestępczym ma on nawet swoją specjalną nazwę... Wydaje mi się, że w tym towarzystwie nazywa się on „Mickey Finn”.

— Ale... — nie dokończył. Próbował zrozumieć to, co mu powiedziałem. — Przecież kiedy się budzili, musieli sobie zdawać sprawę, że zostali zatruci...

— W normalnych warunkach tak. Ale gdy tu oprzytomnieli, znaleźli się w sytuacji nienormalnej. Nie twierdzą, że nie odczuwali słabości czy zmęczenia. Nawet na pewno tak było. Ale coś bardziej naturalnego, jak pomyśleć, że te dziwne objawy — zarówno fizyczne, jak i

umysłowe — spowodowane zostały wypadkiem? Cóż bardziej naturalnego, że ukrywali przed sobą swój stan? Wstydzieli się przyznać do słabości. To bardzo ludzkie, że pragnie się pokazać sąsiadom, iż zachowuje się pełnię władzy nad sobą w nieprzewidzianych okolicznościach i śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Joss milczał przez chwilę. To, co mu powiedziałem, wymagało przetrwania. Pozwoliłem mu myśleć. Wsłuchiwałem się w żałobne wycie wichury. Byłem tak samo ponury jak otaczająca nas przyroda.

— To niemożliwe! — szepnął wreszcie Joss. Słyszałem, jak z zimna dzwoniły mu zęby. —

Przecież trudno wyobrazić sobie takiego maniaka czy zbrodnicę, który by wszystkim po kolei pasażerom wstrzyknął narkotyk albo porozdzielał pigułki i szklanki wody sodowej! Czy pan uważa, że zatruci byli wszyscy?

— Praktycznie tak.

— Ale w jaki sposób?

— Chwileczkę, Joss — przerwałem mu. — A według pana, co stało się z naszym nadajnikiem?

— Co? — Moje pytanie zaskoczyło go. — Co się z nim stało? Rozumiem, chce pan dowiedzieć się, w jaki sposób spadł na ziemię. Nie mam pojęcia. Wszystko, co wiem, to to, że płozy nie mogły się nagle połamać. Przecież wytrzymują nie tylko ciężar aparatu, ale również ciężar innych materiałów, które ważą ponad dziewięćdziesiąt kilogramów. Ktoś musiał je poruszyć. Specjalnie.

— Jediną osobą, która zbliżyła się do radia, była stewardesa, Margaret Ross. Wszyscy stwierdzili to jak jeden mąż.

— Zgoda, ale któż miałby interes w tym, żeby dokonać tak nieprzytomnej, nielogicznej operacji?

— Nie wiem — odpowiedziałem zmęczonym głosem.

— Nie rozumiem jeszcze wielu spraw. Ale wiem, że to zrobiła ona... No, bo komu było

najłatwiej wsypać środek usypiający do szklanek podanych pasażerom?

— O, bogowie! — usłyszałem głębokie westchnienie Jossa. — Jasne! Napoje albo cukierki, którymi częstuje się pasażerów podczas startu!

— Nie — zaprzeczyłem. — Zwyczajny cukier nie potrafi ukryć środka chemicznego. To raczej była kawa.

— Rzeczywiście, mogła to zrobić tylko ona — zgodził się ze mną. — Ale przecież ona miała również dziwną twarz i sprawiała podobne wrażenie jak pozostali pasażerowie. A może nawet gorsze...

— Może miała po temu swoje powody. A teraz wracajmy. Niech pan powie o tym Jackstrawowi, naturalnie gdy będziecie tylko sami.

Kiedy znalazłem się w baraku, uchyliłem drzwi na kilka centymetrów. Było nas czternaście osób w niewielkim pomieszczeniu, troszkę za małym dla tak licznego towarzystwa. Spojrzałem na tarczę samopiszącego termometru. Wskazywał czterdzieści osiem stopni poniżej zera.

Położyłem się na podłodze, naciągnąłem kaptur głęboko na głowę, aby nie odmrozić uszu, i minutę później spałem jak suseł.

PONIEDZIAŁEK, SZÓSTA RANO — SZÓSTA WIECZOREM

Po raz pierwszy od czterech miesięcy zapomniałem nastawić budzik przed zaśnięciem.

Obudziłem się późno. Byłem zmarznięty, sztywny, obolały. Spałem wszak na podłodze, która wcale nie należała do najgładszych. W baraku panowały ciemności, tak jakby to była północ.

Minęły zaledwie dwa czy trzy tygodnie od chwili, gdy słońce po raz ostatni pokazało się w tym roku na horyzoncie. Jedyne przebłyski jasności ograniczały się do dwóch, trzech popołudniowych godzin dnia. Rzuciłem okiem na fosforyzujące wskazówki zegarka. Była dziewiąta trzydzieści.

Wyciągnąłem latarkę z kieszeni bluzy, znalazłem lampę naftową i zapaliłem ją. Nikłe światło nie docierało do kątów baraku. Pozwoliło mi jednak dostrzec wyciągnięte na kojach albo w dziwny

sposób ułożone na podłodze postaci, których każdy oddech zmieniał się natychmiast w kłąb pary. Ściany baraku pokrywała gruba warstwa szronu. Oszroniony był również sufit. Zimno potęgowały jeszcze uchylone na kilka centymetrów drzwi, przez które przedostawało się mroźne powietrze. Samopiszący termometr wskazywał, że temperatura na zewnątrz baraku wynosi pięćdziesiąt cztery stopnie poniżej zera.

Mróz jest wrogiem snu. Kilku z moich gości już się obudziło. Ponieważ byli jednak jako tako osłonięci przed zimnem w swoich kojach, nie kwapili się do wstawania. Sytuacja poprawiła się z chwilą, gdy rozpalony przeze mnie piec ogrzał pomieszczenie. Miałem spore trudności z zapaleniem go, gdyż nafta, która znajdowała się w bezpośrednio nad nim umieszczonym rezerwuarze, mocno zgęstniała na skutek oziębienia. W końcu jednak zapłoną z donośnym hukiem. Włączyłem wówczas oba palniki na maksimum i postawiłem na piecu pozostawione obok niego na całą noc wiadro z wodą. W tej sytuacji zawierało ono zamiast wody bryłę lodu. Wziąłem maskę śniegową, okulary i wyszedłem z baraku.

Wiatr prawie ucichł. Zresztą zdawałem sobie z tego sprawę już wcześniej, słysząc powolne obroty anemometru. Pył lodowy, który od kilku dni unosił się na wysokość setek metrów nad powierzchnię lodowca, tworzył w tej chwili niewielkie, powoli przesuwane wiry, które w świetle mojej latarki sprawiały wrażenie przemykających się białych duchów. Wiatr ciągle wiał ze wschodu. Mróz był mniej dokuczliwy niż poprzedniej nocy, ale w Arktyce temperatura nie zawsze jest czynnikiem decydującym. Wichura ma następstwa tak samo poważne jak mróz. Kiedy rośnie jej szybkość, temperatura nawet kilka stopni poniżej zera staje się nie do zniesienia. Dziś wiatr był słaby, a powietrze suche. Pomyślałem, że może to szczęśliwa zapowiedź... Ale po tym ranku dałem sobie najuczciwsze słowo, że nigdy już nie będę wierzył żadnym przeczuciom i żadnym przepowiedniom.

Gdy powróciłem do baraku, Jackstraw zajmował się właśnie przyrządzaniem kawy. Uśmiechnął

się do mnie. Jego twarz była tak różowa i tak świeża, jakby przespał dziesięć godzin w puchowym łóżku. Jackstraw nigdy nie okazywał cienia zmęczenia ani niepokoju, bez względu na okoliczności. Jego odporność na brak snu i na największy wysiłek była wprost niewiarygodna. Reszta towarzystwa, poza senatorem Brewsterem, dopiero wstawiała. Wszyscy byli zapatrzeni w środek pokoju. Wszyscy drżeli. Twarze mieli sine z zimna. Wdychając zapach kawy, który powoli wypełniał barak, i ciesząc się z góry na myśl o gorącym płynie, spoglądali niecierpliwie na Jackstrawę. Lód na suficie, w miarę jak rosła temperatura, topił się i tworzył niewielkie stalaktyty. Nad powierzchnią podłogi było o dwadzieścia stopni zimniej niż pod sufitem.

— Dzień dobry, doktorze Mason — Maria le Garde próbowała się uśmiechnąć. Nie bardzo jej się to jednak udawało. Sprawiała wrażenie o dziesięć lat starszej niż poprzedniego dnia. Była jedną z tych uprzywilejowanych osób, które dysponowały śpiworami, a mimo to nie miała spokojnej nocy. Nie ma bowiem nic trudniejszego dla ludzkiego ciała niż opanowanie nieustannego drżenia. Znałem doskonale ten zakłęty krąg — im bardziej się drży, tym bardziej rośnie zmęczenie, im bardziej jest się zmęczonym, tym bardziej maleje odporność na zimno, w wyniku czego drżenie staje się jeszcze silniejsze. Po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że Maria le Garde jest starą kobietą.

— Dzień dobry — odpowiedziałem jej z uśmiechem. — Czy ta pierwsza noc w pani nowym domu była przyjemna?

— Pierwsza noc! — Poprzez płótno śpiwora widziałem, jak wtula głowę w splecione na piersiach ręce. — Wielkie nieba! Mam nadzieję, że jest to pierwsza i ostatnia noc! Pańskie przedsięwzięcie jest raczej wyjątkowo chłodne, doktorze Mason.

— Jest mi bardzo przykro. Następnym razem będziemy pełnić wartę i pozwolimy, żeby piec palił się przez cały czas. Jeszcze trochę cierpliwości. — Pokazałem jej sufit, z którego woda, kropla po kropli, spadała na podłogę. — Temperatura rośnie. Ręczę, że po wypiciu filiżanki kawy poczuje

się pani lepiej.

— Prawdopodobnie nigdy już nie będę czuła się lepiej — oświadczyła pogodnie. Zauważyłem iskierkę przekory w jej oczach. Odwróciła się do młodej Niemki, leżącej na sąsiedniej koi. — A jak pani czuje się dzisiaj, kochanie?

— Dużo lepiej, dziękuję pani. — Była szczęśliwa, że ktoś o niej pomyślał, zainteresował się jej samopoczuciem. — Nie czuję już bólu.

— To nie ma znaczenia — stwierdziła Maria le Garde wesołym głosem. — Ja również nic nie czuję. Prawdopodobnie dlatego, że wszyscy jesteśmy zmarznięci... A jak pani udało się przeżyć tę noc, szanowna pani Dandsby–Gregg?

— Słusznie pani zauważyła, że udało mi się ją przeżyć — odpowiedziała elegantka, próbując się uśmiechnąć. — Jak stwierdził wczoraj doktor Mason, nie mieszkamy w wytwornym hotelu...

Kawa pachnie nadzwyczajnie. Fleming, proszę mi przynieść filiżankę!

Wziąłem jedną z napełnionych przez Jackstrawa filiżanek i zaniósłem ją młodej Niemce, niezwykle zażenowanej, wręcz nieszczęśliwej, próbującej otworzyć swój śpiwór zdrową ręką. Sprawiało to groteskowe wrażenie. Poczułem, że muszę natychmiast zareagować na okropne zachowanie się pani Dandsby–Gregg.

— Niech pani pozostanie na miejscu, moje dziecko! — powiedziałem stanowczo. — Proszę wypić tę kawę. — Niechętnie wzięła filiżankę. — Czy zapomniała pani — zwróciłem się do chlebobawczyni młodej kobiety — że Helena ma złamany obojczyk?

Wyraz jej twarzy wskazywał, że pamięta o tym doskonale. Ale przecież dziennikarze prowadzący tak zwane kroniki towarzyskie nie darowałiby jej, gdyby zachowała się inaczej. W tej sferze należało być konformistą nawet wówczas, gdy konformizm staje się tylko formą. W jej środowisku wolno nawet mordować, oczywiście pod warunkiem, że morduje się z uśmiechem. — Naprawdę jest mi bardzo przykro — odpowiedziała słodziutkim głosem. — Proszę mi

wierzyć, zapomniałam o tym.

Oczy jej rzucały nieprzyjemne błyski. Zdałem sobie sprawę, że mam o jednego wroga więcej.

Nie niepokoiło mnie to jednak. Uważałem, że zachowanie tej kobiety przekracza wszelkie granice.

Podawałem właśnie kawę pani le Garde, gdy rozległ się przeraźliwy krzyk. Maria le Garde drgnęła. Gorąca kawa wylała się na moją dłoń.

Krzyczała Margaret Ross. Klęczała, na wpół zagrzebana jeszcze w śpiworze, jedną rękę wyciągnęła przed siebie, drugą zaciskała usta, przyglądając się z przerażeniem leżącemu obok niej ciału. Odepchnąłem ją i pochyliłem się nad śpiworem pilota. Chociaż w tym straszliwym zimnie nie można nic określić z całą dokładnością, byłem pewien, że człowiek ten nie żył już od kilku godzin. Przez długą chwilę klęczałem obok posłania, przyglądając się zwłokom. Kiedy się wreszcie wyprostowałem, sprawiałem wrażenie starego, załamane go człowieka. Czułem, że jestem tak samo lodowato zimny, jak to młode sztywne ciało. Wszyscy mi się przyglądali. Były to spojrzenia ludzi, którzy po raz pierwszy zobaczyli brutalną, nieoczekiwaną śmierć.

Johnny Zagero odezwał się pierwszy:

— Nie żyje. Prawda, doktorze Mason?... Chyba z powodu tej rany czaszki...

Nie pozwoliłem mu dokończyć zdania.

— Wylew krwi do mózgu, tak mi się przynajmniej wydaje — odpowiedziałem spokojnym głosem.

Kłamałem. Przyczyna śmierci była aż nadto oczywista i widoczna. To było morderstwo. Ten młody człowiek został zamordowany z zimną krwią, bez litości, wówczas gdy leżał nieprzytomny, śmiertelnie ranny, z ramionami przywiązany do noszy, zupełnie bezsilny. Udużono go.

Udużono go z taką łatwością, jakby duszono noworodka.

Pochowaliśmy go na zewnątrz, w odległości zaledwie pięćdziesięciu metrów od miejsca, gdzie zginął. Była to ponura ceremonia. Z trudem udało nam się przeciągnąć sztywne zwłoki przez

pomost. Położyliśmy je na lodzie. Przy słabym świetle latarki wycięliśmy w lodowcu grób. Był bardzo płytki. Skamieniały lód tępił mechaniczne piły, którymi się posługiwaliśmy. W ciągu kilku godzin lodowy pył pokrył wszystko, tak że już nie potrafilibyśmy odnaleźć miejsca, w którym złożyliśmy ciało pilota. Pastor Smallwood, szczękając zębami z zimna, odmówił szeptem krótką modlitwę nad ciałem. Jego głos był tak cichy, przerywany, że z trudem udało mi się usłyszeć kilka słów. Zadałem sobie pytanie, czy niebo wybaczy mu kiedykolwiek ten pośpiech. Była to prawdopodobnie najkrótsza msza żałobna w karierze pastora Smallwooda.

Po powrocie do baraku siedliśmy do śniadania w zupełnym milczeniu. Nawet w ciepłe, które rosło z każdą minutą, wyczuwało się smutek. Jedliśmy bez apetytu. Margaret Ross w ogóle nie tknęła potraw. Kiedy odsunęła od siebie filiżankę, zauważyłem, że była pełna.

— Nie trzeba się tak przejmować — odezwałem się. — Proszę nie zabawiać się w płaczkę.

Pomyślałem, że ona jednak za bardzo szarżuje i inni mogą się szybko zorientować w sytuacji.

Nie miałem żadnych wątpliwości. Byłem pewien. To ona była morderczynią. W bestialski sposób zadusiła młodego człowieka. To prawda, że była drobna, ale przecież niewiele trzeba było siły, aby zamordować człowieka w takim stanie, w jakim znajdował się pilot. Kiedy to sobie uświadomiłem, mimo woli przeszedł mnie dreszcz. Zamordowała go. Tak samo, jak zniszczyła nadajnik i zatrąła pasażerów. Zamordowała go prawdopodobnie po to, by nie mógł mówić. Ale mówić o czym? Nie miałem najmniejszego pojęcia. Nie umiałem także odgadnąć powodów zniszczenia radia. Czy chciała nie dopuścić do tego, żeby świat dowiedział się o wypadku? Dlaczego? Powinna była przecież zdawać sobie sprawę, że zarówno nasze, jak i jej życie zależy od tego aparatu. Przecież nie mogła mieć ani cienia wątpliwości. Może myślała, że mamy wielkie, nowoczesne, szybkie traktory, które potrafią przetransportować nas na wybrzeże w ciągu paru dni? A może wydawało jej się, że jesteśmy bliżej oceanu? Bo przecież niemożliwe, żeby naprawdę wierzyła w to, że znajdujemy się w Islandii? Chociaż... kto to wie; nie potrafiłem na to wszystko dać odpowiedzi.

Znalazłem się w jakimś straszliwym kręgu, z którego nie umiałem wyjść. Wiedziałem, że nie osiągnę niczego, dopóki nie zdobędę dodatkowych informacji. Zadawanie sobie w istniejącej sytuacji co chwila nowych pytań wydłużałoby tylko i tak już dostatecznie długą listę znaków zapytania. Dałem więc spokój. Postanowiłem jednak nie spuszczać z niej oka. Siedziała, wpatrując się pustym, nieobecny wzrokiem w buzujący ogień pieca. Pomyślałem, że wygląda tak, jakby przygotowywała się do jakiegoś nowego zbrodniczego czynu, którego wykonanie byłoby równie zręczne jak poprzednie. Kiedy pytała mnie, jakie szanse ma pilot na ocalenie, chciała prawdopodobnie podjąć decyzję, czy należy czekać i pozwolić mu umrzeć śmiercią naturalną, czy też zamordować go. Naprawdę urządziła się chytrze. Tak samo chytrze ułożyła się do snu obok ranego. Któż by się bowiem mógł jej obawiać?

Tylko ja wiedziałem, że młody człowiek został zamordowany. Nie chciałem mówić tego rozbitkom. Czy zdawała sobie sprawę z tego, że ją podejrzewam? Miałem pełną świadomość, że albo gra niebezpieczną partię o bardzo wysoką stawkę, albo... zwariowała.

Było trochę po jedenastej. Joss i Jackstraw siedzieli w kącie, rozmontowując nadajnik. Reszta zgromadziła się półkolem obok pieca. Wszyscy byli wyraźnie wycieńczeni. Sprawiali wrażenie chorych. Siedzieli nieruchomo, bez słowa. Pierwsze promienie fałszywego dnia przeniknęły przez okienka pokryte szronem. W ich bladym świetle twarze rozbitków nabrały szarego koloru. W baraku panowała cisza. Milczałem i ja. Daleko mi było do wesołości.

— Doktorze Mason — odezwał się Corazzini, pochylając w moim kierunku ciemną głowę. Był niespokojny, ale na pewno się nie bał. Wyglądał na człowieka, którego niełatwo jest przestraszyć. Pomyślałem, że może być doskonałym nabytkiem na dni, które miały nastąpić. — Powiedział pan, że pozostali członkowie pańskiej ekspedycji wyruszyli stąd trzy tygodnie temu na wielkim pojeździe gąsienicowym i powinni wrócić mniej więcej za trzy tygodnie. Jak sam pan twierdzi, zbyt długo przebywacie na stacji i wasze zapasy są już na wyczerpaniu. Zauważyłem, że racjonuje

pan żywność, żeby wystarczyła do powrotu pańskich towarzyszy. Jest nas tu trzynaścioro. W tej chwili mamy prawdopodobnie niewiele zapasów. Ryzykujemy więc, czekając na resztę, że wkrótce pozostaniemy bez żadnego pożywienia. — Na jego twarzy pojawił się grymas. — Wydaje mi się, że moje obliczenia są ściśle, doktorze Mason?

— Niestety, bardzo ściśle.

— Ile czasu potrzebujemy na to, by używając pańskiego traktora dostać się na wybrzeże?

— Nie mamy żadnej gwarancji, że ten traktor dotrze do wybrzeża. Powiedziałem już panu, że jest on w nienajlepszym stanie. Pokażę go panu później. Przy szczególnie sprzyjających okolicznościach możemy być na wybrzeżu za tydzień. Zmiana warunków atmosferycznych, choćby najmniejsza, zablokuje nas na miejscu.

— Wy, lekarze, jesteście wszyscy do siebie podobni — odezwał się Zagero. — Zawsze kładziecie opatrunki na rany i wszystko widzicie w różowym świetle. Dlaczego nie zaczekać na powrót tamtego traktora?

— Świetnie pan to wymyślił — wtrącił z sarkazmem senator Brewster. — A co będziemy jedli w tym czasie, panie Zagero?

— Bez żywności można wytrzymać więcej niż dwa tygodnie, senatorze — odpowiedział Zagero wesoło. — Czy wyobraża pan sobie, jak korzystnie wpłynęłoby to na pańską figurę? Zadziwia mnie pan, senatorze. Stał się pan pesymistą. Dlaczego?

— Wydaje mi się, że ten pesymizm ma swoje wytłumaczenie — powiedziałem chłodnym tonem. — Senator ma rację. Wiem doskonale, że można długo żyć bez jedzenia, ale w normalnych warunkach. Można by było nawet spróbować tego tu, gdyby wszyscy mieli odpowiednią odzież i potrzebną ilość koców na noc. Nie macie ich jednak. Proszę mi powiedzieć, kto z was przestał trząść się z zimna od chwili przybycia do tego baraku? Zimno wyczerpuje zapasy energii każdego ciała w fantastycznym tempie. Mam wam podać listę wszystkich badaczy Arktyki i Antarktydy, nie

mówiąc już o zdobywających szczyty Himalajów alpinistach, którzy umarli w ciągu czterdziestu ośmiu godzin od chwili, gdy zabrakło im żywności? Proszę sobie również nie robić żadnych iluzji na temat ciepła, które można utrzymać w tym baraku. W tej chwili temperatura przy podłodze waha się w granicach zera i nie ma sposobu, żeby ją podnieść.

— Ale przecież powiedział pan, że macie inny aparat radiowy na waszym starym traktorze — przerwał nagle Corazzini. — Jaki jest jego zasięg? Czy nie mógłby pan skontaktować się ze swymi towarzyszami albo z bazą w Uplavnik?

Odwrociłem się do Jossa i odpowiedziałem wskazując na niego:

— To jemu trzeba zadać to pytanie.

— Słyszałem — rzucił chłodno Joss. — Czy pan, panie Corazzini, wyobraża sobie, że próbowałbym odremontować tego trupa, gdyby istniała najmniejsza szansa posłużenia się tamtym aparatem? Owo drugie radio to nadajnik o mocy ośmiu watów, z generatorem uruchamianym ręcznie i odbiornikiem na baterie, przedpotopowy aparat, który służy wyłącznie do kontaktowania się przy bardzo małych odległościach.

— Ale jaki jest jego zasięg? — nalegał Corazzini.

— Trudno powiedzieć. — Joss wzruszył ramionami. — Wie pan przecież, jak dziwne są transmisje radiowe, ile jest fantazji w nadawaniu i odbiorze. Bywają takie dni, kiedy nie można odebrać programu rozrywkowego BBC nawet z odległości stu pięćdziesięciu kilometrów, a kiedy indziej znów doskonale słychać sygnały z turystycznego samolotu, przelatującego w odległości ponad pięciuset kilometrów. Wszystko zależy od warunków... Ten stary gruchot? W najlepszym wypadku jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów. Ale przy dzisiejszej pogodzie znacznie lepsze wyniki można osiągnąć używając zwykłego megafonu. Tak czy inaczej, spróbuję uruchomić go po południu, chociaż wiem, że jest to tylko strata czasu.

Joss odwrócił się. Dla niego sprawa była załatwiona.

— Ale przecież może tak się zdarzyć, że wasi przyjaciele wracając znajdą się w zasięgu tego nadajnika. W tej chwili, jak pan twierdził, są jakieś dwieście — trzysta kilometrów stąd.

— Powiedziałem już — odezwałem się — że pozostaną na miejscu. Ustawili tam swoje przyrządy i nie ruszą się, aż wykonają zadanie. Mają za mało benzyny.

— Ale chyba tutaj mogą napełnić zbiorniki?

— O! Jeżeli o to chodzi, to nie ma żadnych problemów — wskazałem na tunel. — Mamy w zapasie około dwóch tysięcy pięciuset litrów.

— Rozumiem — Corazzini przez chwilę jakby się zastanawiał. — Proszę nie myśleć, że staram się komplikować sprawy. Chcę tylko wyeliminować wszelkie możliwości, jedne po drugich. Sądzę, że pan ustalił sposób porozumiewania się z pańskimi towarzyszami. Czy nie będą się niepokoić, jeżeli nie otrzymają żadnych wiadomości?

— Hillcrest, kierownik grupy, niczym się nigdy nie niepokoi. Na nieszczęście ich aparat radiowy — duży nadajnik o dalekim zasięgu — często nie działa. Powiedzieli mi dwa dni temu, że szczotki na generatorze są już prawie zupełnie zużyte. Części zamienne znajdują się, niestety, tu. Jeżeli nie uda im się nawiązać z nami kontaktu, będą prawdopodobnie myśleli, że przyczyna tkwi w ich aparacie. Nie będą się niepokoić, gdyż wiedzą, że jesteśmy zupełnie bezpieczni.

— Cóż więc robimy? — przerwał Solly Levin zatroskanym głosem. — Czy umieramy z głodu, czy też zabawimy się w autostop?

— Znakomita alternatywa — odezwał się senator Brewster. — Wydaje się, że nie można było bardziej trafić w sedno. Proponuję utworzyć komitet, którego zadaniem byłoby omówienie obu wariantów...

— Nie jesteśmy w Waszyngtonie, senatorze — zauważyłem słodkim głosem. — A poza tym taki komitet już istnieje: London, Nielsen i ja.

— Naprawdę? — zdziwił się Brewster. Odniosłem wrażenie, że jest to jego ulubione słowo.

Robił przy tym przezabawny w naszych warunkach grymas, z którego pewnie nie zdawał sobie zupełnie sprawy. — Pan będzie jednak łaskaw nie zapominać, że my również jesteśmy zainteresowani tą sprawą — dodał mocno napuszczonym tonem.

— Zaręczam panu, że ja naprawdę o niczym nie zapominam — przerwałem oschle. — Proszę posłuchać, senatorze. Gdybyście byli rozbitkami na morzu i podczas burzy wzięłby was na pokład statek, czy usiłowałby pan radzić kapitanowi i jego oficerom, co należy robić, żeby wyjść z burzy?

— Nie o to chodzi — odpowiedział senator, nadymając policzki. — Nie jesteśmy na statku...

— Cisza! — uciął Corazzini spokojnym i twardym tonem. Zrozumiałem, dlaczego i w jaki sposób ten człowiek mógł osiągnąć najwyższy szczebel kariery w zawodzie, który wykonywał i w którym konkurencja była bezwzględna. — Doktor Mason ma rację. To jego teren. Musimy powierzyć mu nasze życie. Wydaje mi się, że pan już powziął decyzję, doktorze?

— Tak, poprzedniej nocy. Joss London pozostanie tu, na miejscu, żeby zawiadomić tamtych o tym, co się stało.

Zostawimy mu żywność na trzy tygodnie. My weźmiemy resztę i jutro ruszamy.

— Dlaczego nie dziś?

— Dlatego, że w tej chwili traktor nie jest jeszcze gotowy do drogi, w dodatku z dziesięcioma pasażerami. Obecnie jest wyposażony w kabinę z brezentu, której używaliśmy latem. Nie można w niej podróżować podczas wielkich mrozów. Do tego celu mamy kabinę z drewna. Należy ją zmontować, przenieść do niej wszystkie zapasy i zainstalować przenośny piecyk. Wszystko to zajmie nam kilka godzin.

— Kiedy zabierzemy się do roboty?

— Niedługo. Teraz pójdziemy po wasze bagaże.

— Nareszcie! — zawołała pani Dandsby-Gregg. — Zastanawiałam się, czy je jeszcze zobaczę.

— Naturalnie, że je pani zobaczy — odpowiedziałem. — Ale w dużo mniejszej objętości.

— Co pan przez to rozumie? — spytała z wyraźnym niepokojem.

— To, że włożycie na siebie tylko tyle odzieży, ile będziecie mogli. Prócz tego każdy weźmie tylko jedną walizeczkę na przedmioty wartościowe, naturalnie, jeżeli je posiada. Reszta rzeczy pozostanie. Będziemy mieli mało miejsca na traktorze. Nie jesteśmy biurem podróży.

— Ale... przecież ja mam odzież, której wartość przekracza setki funtów! — zaprotestowała gwałtownie. — Setki? Co ja mówię, tysiące! Mam uszyte przez paryski dom mody Balenciagi palto, które jest warte ponad pięćset funtów...

— A na ile szacuje pani własne życie? — przerwał Zagero i uśmiechnął się do niej. — A może chce je pani zamienić na to palto? Zresztą może je pani przecież włożyć na siebie. Gdybym miał aparat fotograficzny, zrobiłbym pani zdjęcie, które mogłoby ukazać się później w całej światowej prasie z podpisem: „Elegancka pani w czasie wycieczki polarnej na lodowcu”.

— To bardzo zabawne — odpowiedziała obrzucając go chłodnym spojrzeniem.

— No cóż, nie rozumiemy się. Czy mogę panu pomóc w tych przenosinach, doktorze?

— Pozostanie pan tutaj, Johnnie Zagero! — stwierdził kategorycznie Solly Levin. — Przecież najmniejsze poślizgnięcie się...

— Uspokój się — Zagero poklepał go po ramieniu. — Sprawdzę tylko, jak idzie robota. Zgoda, doktorze?

— Dziękuję. Czy pan też pójdzie z nami, Corazzini?

— Z największą ochotą. Nie chcę przesiedzieć tutaj całego dnia.

— Uprzedzam, że rany na głowie i rękę nie zabiłiły się jeszcze. Sprawiają panu duży ból na tym mrozie.

— Muszę się do niego przyzwyczaić, prawda? Niech pan wskaże nam drogę.

Samolot, leżący na śniegu niczym zraniony ptak, był doskonale widoczny w mdłym świetle dnia. Znajdował się jakieś siedemset metrów od nas w kierunku północno-wschodnim. Nie

mogłem przewidzieć, ile razy będziemy musieli przebyć tę przestrzeń. W każdym razie stwierdziłem, że nie należy iść tą samą trasą, którą szliśmy poprzedniej nocy, i wbijając przy pomocy Zagera i Corazziniego w lód bambusowe paliki, wytyczyłem prostą drogę. Jeden bok samolotu pokryła już gruba warstwa naniesionego przez wicher pyłu lodowego. Wewnątrz było zimno i ciemno jak w grobowcu. W świetle reflektorów poruszaliśmy się niczym widma. Głowy otaczały nam białe obłoczki pary, w którą natychmiast zamieniały się nasze oddechy. W przejmującej ciszy słychać było tylko świst powietrza wdychanego małymi haustami.

— To miejsce paraliżuje — powiedział Zagero, szczękając zębami. Nie wiem, czy drżał z zimna, czy z innego powodu... Skierowałem promień latarki na trupa, który ciągle siedział na swoim fotelu. — Czy... czy pozostawimy go tutaj, doktorze?

— Czy pozostawimy? — powtórzyłem kładąc dwie małe walizeczki na stercie rzeczy przygotowanych na przednich siedzeniach. — Co pan chce przez to powiedzieć?

— Nie wiem... Tak sobie pomyślałem... Przecież dziś rano pochowaliśmy drugiego pilota...

— Pochować ich? Wszystkich? Lodowiec sam się tym zajmie. Za kilka miesięcy nie będzie już widać samolotu, zniknie na zawsze, przykryty kryształkami lodu, które zamienią się w potężny pancierz. Zgadzam się jednak z panem, że należy wyjść stąd jak najszybciej. To miejsce przyprawia pana o gęsią skórę...

Na przedzie kabiny zobaczyłem Corazziniego, który potrzasał małym przenośnym aparatem radiowym i z niepokojem przysłuchiwał się wydobywającym się z jego wnętrza dźwiękom.

— Czy jeszcze jedna strata, której należy żałować? — spytałem.

— Obawiam się, że tak. To model na baterie i prąd z sieci. Chyba do niczego już się nie nadaje. Prawdopodobnie baterie... W każdym razie wezmę to ze sobą. Dwa dni temu zapłaciłem za nie dwieście dolarów.

— Dwieście dolarów? — zdziwiłem się. — Mógłby pan za tę sumę kupić dwa. Joss pewnie

znajdzie do niego odpowiednie lampy. Mamy kilogramy części wymiennych.

— Nie, nie da rady — pokręcił głową. — To jest ostatni model. Ma tylko tranzystory i dlatego kosztował tak dużo.

— No cóż, niech pan je bierze ze sobą. Jeżeli doda pan jeszcze dwieście dolarów, zreperują je panu w Glasgow. A teraz musimy się zbierać. Jackstraw już na nas czeka.

Usłyszeliśmy szczekanie psów. Nie tracąc ani chwili, podaliśmy wszystko Jackstrawowi, który sprawnie załadował sanie.

W przednim pomieszczeniu bagażowym znaleźliśmy około dwudziestu pięciu walizek różnych rozmiarów. Musieliśmy odbyć dwie podróże, aby przewieźć ten cały kram do baraku.

Podczas drugiej wyprawy zerwał się gwałtowny wicher. Smagał nam twarze, podnosił tumany białego pyłu. Klimat lądolodu Grenlandii jest najbardziej kapryśny na świecie. Wichura, która ustała na kilka godzin, znów rozpoczęła piekielne harce. Dęło z południa. Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, co przyniesie nam ten wiatr. Byłem jednak pewien, że nie będzie to nic dobrego.

Zanim bagaże zostały wreszcie wniesione do baraku, przemarzliśmy do szpiku kości. Corazzini, który trząśnięty z zimna, miał odmrożony nos i policzek. Kiedy zdjął rękawice, okazało się, że również jego ręce były w nie najlepszym stanie. Spojrzał na mnie swoimi zimnymi jak lód oczami.

— Czy zawsze tak się dzieje, kiedy przebywa się na tym mrozie choćby pół godziny, doktorze Mason?

— Niestety, tak.

— Piękna perspektywa! A przecież będziemy znajdowali się na zewnątrz cały czas! Siedem dni i siedem nocy. Brawo! Nigdy się stąd nie wydostaniemy! A kobiety, pani Maria le Garde, Brewster i Mahler? Przecież to naprawdę nie są młodzieńcy. — Przez chwilę milczał. Na jego twarzy pojawił się grymas. — Wydaje mi się, że jesteśmy o krok od samobójstwa.

— To ryzyko — poprawiłem. — Pewnym i nieuniknionym samobójstwem jest pozostanie tutaj

bez żywności.

— Znakomicie określa pan sprawy, doktorze — uśmiechnął się. Jego uśmiech nie obejmował jednak oczu, które w dalszym ciągu pozostały chłodne i zdecydowane.

— Wydaje mi się, że ma pan rację.

Tego dnia nasz obiad składał się z filiżanki zupy i kilku sucharów. Było to menu bardzo skromne nawet w normalnych warunkach, a zupełnie niewystarczające dla ludzi, którzy mieli przez kilka godzin, zużywając wiele energii, pracować na zewnątrz, w potwornie niskiej temperaturze.

Wszelka dyskusja była jednak zbędna.

Jeżeli nasza podróż miała trwać cały tydzień, a nawet przy największym optymizmie nie mogłem sobie wyobrazić, żeby można było w krótszym czasie dotrzeć do wybrzeża, należało racjonować żywność już od tej chwili.

Dwie godziny później słupek w termometrze wydłużył się o kilka kresek. Zaczął padać śnieg.

Ruszyliśmy w stronę traktora. Temperatura wzrosła jednak chyba tylko po to, by wprowadzić nas w błąd. Wiatr z południa niósł ze sobą nie tylko śnieg, ale i narastającą wilgoć. Zrobiło się przeraźliwie zimno.

Zbyt ostro ściągnęliśmy brezent, którym pokryty był traktor. Podarł się. Nasi goście zobaczyli wreszcie wehikuł, od którego zależało ich życie. Powoli oświetlałem maszynę latarką. Wszyscy umilkli. Zdziwienie odjęło im mowę.

— Chyba ukradł go pan w jakimś muzeum — zauważył obojętnym tonem Corazzini. — A może znalazł go pan tutaj? Przecież to wygląda na produkt z czasów epoki lodowcowej!

— Rzeczywiście jest bardzo stary — odpowiedziałem. — Pochodzi z okresu przedwojennego.

Ale, niestety, to wszystko, co mogliśmy otrzymać. Rząd brytyjski, jeśli chodzi o nasze badania, nie jest tak szczodry jak wasz albo jak Rosjanie. Proszę jednak nie zapominać, że to, co pan widzi, jest prototypem nowoczesnego arktycznego pojazdu gąsienicowego.

— Pierwszy raz w życiu widzę coś podobnego. Co to za maszyna?

— Francuski traktor. Citroen 10–20. Ma niewielką moc i jest, jak pan widzi, bardzo wąski i zbyt krótki jak na swoją wagę. Doskonale porusza się po lodzie i po płaskim terenie, ale jest bardzo niebezpieczny przy pokonywaniu szczelin i wolniejszy od roweru. Niestety, nie mamy wyboru. Corazzini nie powiedział już ani słowa. Jako szef zakładów produkujących jedne z najlepszych traktorów na świecie zdawał sobie sprawę, że lepiej będzie, jeśli powstrzyma się od wszelkich uwag. Jego pesymizm nie wpłynął jednak na pracę. Przez wiele godzin harował jak sam diabeł. Podobnie zresztą Zagero. Po kilku minutach musieliśmy przerwać na chwilę robotę i zainstalować ekran z brezentu oraz aluminiowe osłony. Nie można było pracować podczas wichury, która przenikała przez odzież, jakby ta była z papieru. A przecież wszyscy byli ubrani tak grubo, że ledwie się poruszali. Za tym schronieniem, które ze wszystkich stron otaczało traktor, ustawiliśmy przenośny piecyk naftowy oraz dwie lampy i dmuchawę, bez której nie moglibyśmy w ogóle nic zrobić. A mimo to wszyscy musieli wchodzić co kilkanaście minut do baraku, aby nacierać zmarznięte ciała. Tylko Jackstraw i ja, ubrani w odzież ze skóry karibu, mogliśmy pozostawać na zewnątrz przez wiele godzin.

Joss był na dole prawie przez całe popołudnie. Po bezowocnych próbach uzyskania łączności z naszą ekipą przez awaryjne radio z traktora zabrał się do majstrowania przy uszkodzonym wielkim nadajniku.

Już pierwsza czynność, która polegała na zdemontowaniu brezentowej kabiny, zasygnalizowała nam trudności, jakich należało oczekiwać w najbliższej przyszłości. Kabina była umocowana za pomocą siedmiu śrub i nakrętek, których od czterech miesięcy nikt, niestety, nie próbował odkręcić. Były jak przyspawane. Straciliśmy ponad godzinę na to, by ruszyć je z miejsca. Odmrażaliśmy każdą śrubę oddzielnie, używając do tego celu palnika lampy naftowej. Następnie zabraliśmy się do montowania drewnianej kabiny. Składało się na nią piętnaście

prefabrykowanych elementów, stanowiących podłogę, dach oraz boki. Tył przykryty był tylko brezentem. Każdy element musiał być wciągany na traktor i tam montowany. Była to praca niemal ponad siły. W ciągu godziny zmontowaliśmy zaledwie podłogę. Sądziliśmy, że nie uda nam się zakończyć pracy przed północą, kiedy Corazzini wpadł na wspaniały pomysł montowania poszczególnych części w baraku, a następnie, po przebiciu tunelu, wyciągania ich na zewnątrz. Pomysł był dobry. Robota szła szybciej i raźniej. O piątej udało nam się zakończyć montaż kabiny. Większość pomagających nam osób nie pracowała nigdy fizycznie. Mój szacunek dla nich rósł z każdą minutą. Corazzini i Zagero byli niezmordowani; mały, cichy Teodor Mahler, którego udział w rozmowach ograniczał się zaledwie do kilku słów, pracował bez wytchnienia i bez słowa skargi. Nie wyobrażałem sobie, że w jego wątłej postaci kryje się tyle odporności fizycznej. Byłem nim zachwycony. Nawet senator, pastor Smallwood i Solly Levin starali się robić wszystko co możliwe, nie okazując przy tym ani zmęczenia, ani bólu.

Wszyscy, wliczając w to Jackstrawa i mnie, byliśmy przemarznięci. Nasze ręce były spuchnięte, pełne pęcherzy, posiekane przez ostre odłamki lodu.

Kończyliśmy już instalowanie czterech składanych łóżek i umocowywaliśmy właśnie rurę pieca, która wychodziła na zewnątrz przez specjalny otwór w dachu, gdy zawołano mnie z dołu.

Zeskoczyłem na lód i o mało nie przewróciłem Marii le Garde.

— Nie powinna tu pani przychodzić — zawołałem. — Jest dla pani za zimno.

— Niech pan nie opowiada głupstw, Peter. Muszę się przecież przyzwycząić, prawda? Czy może pan podejść do mnie?

— Po co? Mam bardzo mało czasu.

— Mnie nie jest pan potrzebny. Chciałabym jednak, żeby pan zbadał Margaret.

— Margaret?... Stewardesę? A czegoż ona chce?

— Nic. To ja chcę, żeby pan ją obejrzał. Dlaczego jest pan taki nieprzyjemny? — spytała z

nutką ciekawości. — To do pana zupełnie nie pasuje. Przecież to dobra dziewczyna.

— Czegóż więc chce ta dobra dziewczyna?

— Co panu właściwie jest? Dlaczego... Zresztą, zapomnijmy o tym. Nie chcę się z panem kłócić... Bardzo bołą ją plecy. Naprawdę cierpi. Niech pan ją obejrzy, bardzo pana o to proszę.

— Proponowałem jej to wczoraj. Jeżeli chce, żebym ją teraz zbadał, dlaczego nie poprosi mnie o to sama?

— Dlatego, że boi się pana, po prostu — odpowiedziała z gniewem, tupiąc nogą. — A więc, idzie pan czy nie?

Poszedłem. Kiedy znalazłem się w baraku, zdjąłem rękawice, z których spadła gruba warstwa lodu. Umyłem ręce w środku dezynfekcyjnym. Maria le Garde szeroko otworzyła oczy, widząc, w jakim stanie są moje dłonie. Nie powiedziała jednak ani słowa. Prawdopodobnie zdawała sobie sprawę, że nie mam ochoty na wysłuchiwanie wyrazów sympatii czy też współczucia.

Ustawiłem w kącie baraku coś w rodzaju parawanu i zająłem się badaniem pleców Margaret Ross. Nie wyglądały zbyt pięknie. Olbrzymi niebieskopurpurowy siniak obejmował część pleców, od kręgosłupa aż do lewego ramienia. W środku, pod łopatką, zobaczyłem głęboką szarpaną ranę, zadaną jakby jakimś ostrym trójkątnym narzędziem. Ciekawe, cóż to mógł być za przedmiot, który jak brzytwa potrafił przebić zakiet i bluzę?

— Dlaczego nie pokazała mi pani tego wczoraj? — spytałem.

— Nie... nie chciałam pana fatygować — odpowiedziała drżącym głosem.

Nie chciała mnie fatygować! Pomyślałem, że raczej nie chciała się zdradzić. Przywołałem z pamięci pomieszczenie, w którym ją znaleźliśmy. Właśnie tam mogłem odszukać dowód, który był mi potrzebny. Byłem tego prawie pewien. Musiałem tam wrócić, aby pozbyć się ostatnich wątpliwości.

— Czy to poważne? — spytała, próbując obejrzeć sobie plecy. Jej ciemne oczy napęłniły się

łzami wywołanymi bólem, który zadałem jej, przemywając ranę środkami antyseptycznymi.

Rzeczywiście, zrobiłem to nie bardzo delikatnie.

— Nie wygląda zbyt pięknie — odpowiedziałem. — W jaki sposób to się stało?

— Zupełnie nie mam pojęcia. — Miała bezradną minę. — Naprawdę nie wiem, doktorze Mason.

— Może uda nam się dowiedzieć.

— Dowiedzieć się? Po co? Czy to ma jakieś znaczenie? — Zmęczona, opuściła głowę. — Nie rozumiem, naprawdę nie rozumiem... Co ja takiego zrobiłam, doktorze Mason?

Tego się nie spodziewałem. Nie można było lepiej odgrywać komedii. Miałem ochotę dać jej kilka razy po twarzy.

— Nic, panno Ross. Zapewne nic.

Gdy wkładałem skafander, rękawice, okulary i maskę, była już ubrana, jej spojrzenie goniło mnie przez cały czas, kiedy szedłem przez barak. Czułem je na swoich plecach nawet wówczas, gdy znalazłem się na zewnątrz, przy traktorze.

Padał gęsty śnieg. W bladym świetle latarki widziałem jedynie wirujące niby zjawy, niesione przez wiatr w tę beznadziejną noc płatki. Wiatr dął w plecy. Drogę wskazywały mi bambusowe paliki. Dwa z nich zawsze znajdowały się w promieniu światła latarki. Po pięciu czy sześciu minutach znalazłem się przy samolocie.

Skoczyłem, uchwyciłem się ramy, z której usunęliśmy ostre kawałki szkła, i wylądowałem w kabynie pilotów. Chwilę później byłem już w pomieszczeniu służbowym, które interesowało mnie szczególnie.

Na tylnej ścianie stała wielka lodówka, a przed nią mały składany stolik. W kącie pod okienkiem była umieszczona niewielka szafka, w której znajdowała się prawdopodobnie kuchenka elektryczna. Ale nie ona mnie tu sprowadziła. Mój wzrok i myśli przyciągała podzielona małymi

drzwiczkami przednia ścianka. Tworzyła rodzaj szafy. Drzwiczki były zamknięte. Prawdopodobnie znajdowały się za nimi zapasy żywności. Nie dostrzegłem na nich żadnej wystającej części, która mogłaby spowodować ranę stewardesy. A przecież, jeżeli naprawdę była w tym pomieszczeniu w chwili katastrofy, musiała zostać rzucona na tę właśnie ścianę. Nieodparcie nasuwał się wniosek, że stewardesa w chwili przymusowego lądowania przebywała gdzie indziej. Pełen irytacji na siebie, uprzytomniłem sobie nagle, że kiedy znalazłem ją leżącą na podłodze, nie pofatygowałem się nawet, by sprawdzić, czy była przytomna.

To, czego szukałem, znalazłem w pomieszczeniu radiotelegrafisty. Cienkie metalowe pudło aparatu nadawczo–odbiorczego na jednym z rogów miało ponadcentymetrowe wgłębienie. Nie był mi potrzebny ani mikroskop, ani ekspert, żeby zidentyfikować małą brązową plamkę i kawałek granatowego materiału. Obejrzałem wnętrze aparatu i zrozumiałem, że część obudowy zniszczono po to, by nikt nie pomyślał, że wewnątrz wszystko zostało rozbite celowo, z premedytacją i w sposób, który wykluczał jego działanie w ogóle.

Od początku całej przygody okoliczności zmuszały mnie do prędkiego myślenia. W tej chwili trzeba było myśleć z podwójną szybkością. Niestety, byłem zupełnie zdezorientowany. W metalowym kadłubie było straszliwie zimno i zdawałem sobie sprawę, że myślę coraz wolniej, ale instynktownie czułem, że nie pomyliłem się w ocenie wydarzeń, które poprzedziły katastrofę. Zrozumiałem teraz, dlaczego drugi pilot nie mógł nadać sygnałów SOS. Zrozumiałem również, dlaczego do ostatniej chwili próbował nadawać do swojej bazy normalne informacje. Biedny chłopiec. Nie dano mu wyboru. Stewardesa, która stała nad nim z rewolwerem w ręku, zmuszała go do tego. Z pewnością miała rewolwer. Byłem prawie pewien, że skłamała, mówiąc mi, że katastrofa ją zaskoczyła.

Rewolwer! Konsekwentnie, choć bardzo powoli moje myśli porządkowały się w logiczną całość. Ten, kto był odpowiedzialny za to lądowanie, lądowanie niezwykle inteligentne podczas

szalejącej wichury i w absolutnej ciemności, był świadomy tego, co się dzieje. Wprostowałem się. Przeszedłem do kabiny pilotów i obejrzałem zwłoki kapitana statku. Jak już zauważyłem przedtem, nie sprawiał wrażenia człowieka cierpiącego w chwili śmierci. Odchyliłem jego sztywną od lodu marynarkę. Chyba kazał mi to zrobić instynkt. Z tyłu, dokładnie w kręgosłupie, zobaczyłem dziurę z czarną krawędzią. Był to spalony proch. Zastrzelono go z bliska.

Nie wiem dlaczego, ale byłem pewien, że znajdę tę dziurę. Usta miałem suche, tak suche, jakbym od wielu dni nie używał żadnych płynów. Serce biło mi głośno.

Kiedy naciągnąłem marynarkę na ciało pilota, leżała na nim tak jak przedtem. Odwróciłem się od trupa i skierowałem w stronę kabiny pasażerskiej. Człowiek, którego stewardesa nazywała pułkownikiem Harrisonem, siedział ciągle na tym samym miejscu, tam gdzie go odnalazłem. Był tak sztywny, że należało przyjąć, iż los nakaże mu pozostać tu na wieki.

Marynarkę miał rozpiętą. Rozchyliłem ją. Zauważyłem dziwny skórzany pasek na jego piersi. Rozpiąłem mu koszulę. Guzik po guziku. Znów znalazłem to, czego szukałem: maleńką, czarną, śmiertelną dziurkę w białym podkoszulku. Ten człowiek został zastrzelony także z najmniejszej odległości. Czarny ślad występował tylko na górnej krawędzi rany. Strzelano z góry na dół.

Pochyliłem tors mężczyzny do przodu i wtedy zobaczyłem niewinne pęknięcie materiału, na które normalnie nikt nie zwróciłby uwagi. Tą drogą wyszła kula. W oparciu fotela znajdowała się również identyczna, niewinna dziurka. W tej chwili nie widziałem w tym jeszcze nic dziwnego. Bóg raczy wiedzieć dlaczego, ale naprawdę w ciągu tych kilku sekund nie byłem w stanie wyciągnąć żadnych wniosków z tego, co zobaczyłem. Zachowywałem się jak automat. W czasie dokonywania tych makabrycznych odkryć zupełnie nie odczuwałem przerażenia na myśl, że prawdopodobnie temu człowiekowi połamano kark w chwili, kiedy już nie żył. Chciano chyba w ten sposób zamaskować prawdziwą przyczynę jego śmierci.

Pasek, który przecinał jego pierś, podtrzymywał umieszczony pod ramieniem futerał. Wyjąłem z

niego mały czarny pistolet automatyczny i wyciągnąłem magazynek. Był pełny. Znajdowało się w nim osiem kul. Włożyłem magazynek na miejsce i wsunąłem pistolet do kieszeni mojego skafandra.

Marynarka zmarłego miała dwie kieszenie wewnętrzne. W lewej znalazłem drugi magazynek w skórzanym pokrowcu. Zabrałem go również. W prawej kieszeni znajdował się paszport i portfel. Dokument był wystawiony na nazwisko pułkownika Roberta Harrisona. W portfelu nie znalazłem zbyt wiele interesujących dokumentów — dwa listy wysłane z Oxfordu, napisane prawdopodobnie przez żonę, kilka banknotów angielskich i amerykańskich i wielki wycinek gazetowy z „New York Herald Tribune” z połowy września, a więc sprzed dwóch miesięcy.

Przebiegłem druk wzrokiem i obejrzałem zdjęcie przedstawiające katastrofę kolejową — dwa spiętrzone wagony na moście. Jeden z nich wisiał nad wodą. Pod mostem stały statki. Z tekstu wywnioskowałem, że był to artykuł podsumowujący śledztwo przeprowadzone w sprawie wypadku, który wydarzył się w miejscowości Elisabeth w stanie New Jersey. Katastrofie uległ wtedy pociąg podmiejski, który przejeżdżał przez most nad zatoką Newark.

Nie miałem zamiaru wgłębiać się w szczegóły, mimo że podświadomie czułem, iż ten kawałek papieru może mieć kapitalne znaczenie. Złożyłem go bardzo starannie, podniosłem kaptur skafandra i wsunąłem wycinek do wewnętrznej kieszeni, w której znajdował się już pistolet i rezerwowego magazynka.

I w tej właśnie chwili dobiegł mnie z pogrążonego w ciemnościach przodu samolotu suchy metaliczny dźwięk.

PONIEDZIAŁEK, MIĘDZY SZÓSTĄ A SIÓDMĄ WIECZOREM

Przez pięć, a może dziesięć sekund stałem nieruchomo, wyprostowany i sztywny, jak siedzący obok mnie trup. Moja ręka dotykała jeszcze gazetowego wycinka, który włożyłem już do kieszeni. Jedynym wytłumaczeniem braku jakiegokolwiek reakcji z mojej strony był chyba fakt, że mój mózg

był jakby sparaliżowany zbyt długim przebywaniem na mrozie, a odkrycie tych ludzi, brutalnie zamordowanych, wywarło na mnie wstrząsające wrażenie, do którego nie chciałem się sam przed sobą przyznać. Atmosfera kostnicy, która panowała w tym ponurym, lodowatym kadłubie, podziałała na moją wyobraźnię w sposób niebywały. Poczułem strach. Zdałem sobie sprawę, że człowiek jest jednak zwierzęciem towarzyskim. Bałem się w tej chwili samotności. Jedyłą myślą, która ogarnęła mój umysł, była nie próba wytłumaczenia sobie tego, co tu się stało, ale jakieś paralizujące przekonanie, że za moment ujrzę, jak któryś z martwych pilotów zbliża się do mnie. Nawet dziś przypominam sobie ten potworny strach i nadzieję, że nie będzie to pilot, człowiek, który w momencie katastrofy siedział po prawej stronie kapitana statku, a teraz jest już tylko krwawym strzępem.

Nie wiem, jak długo stałem bez ruchu, ogarnięty zwierzęcym wprost przerażeniem. Na pewno trwało to do chwili, kiedy w kabinie pilotów ponownie rozległ się metaliczny dźwięk. Był to szcęk metalu o metal, tak jakby ktoś próbował zorientować się w tej masie zniszczonych przyrządów: kabli, rurek, linek będących jeszcze kilkanaście godzin temu sprawnymi instrumentami. Ten drugi odgłos podziałał na mnie niczym środek uspokajający. Uklęknąłem za oparciem stojącego przede mną fotela, aby wykorzystać je jako ewentualne schronienie. Serce ciągle biło mi mocno. Czulem, że włosy zjeżyły mi się na głowie i drżały plecy, ale mózg, pobudzony do myślenia, zaczął normalnie funkcjonować. Instynkt samozachowawczy zadziałał. Wiedziałem, że tym razem chodzi o uratowanie własnej skóry, własnego życia. Człowiek, który zabijał już trzy razy, aby osiągnąć swój cel, znajdował się w tej chwili w kabinie pilotów. Wiedziałem, kim jest. Tylko stewardesa zauważyła, że poszedłem w kierunku samolotu. Z pewnością nie zawaha się zabić po raz czwarty. Miała świadomość, że jej tajemnica przestała być tajemnicą, wiedziała, że ją przejrzałem. Wiedziała również, że dopóki ja będę żył, dopóty będzie jej grozić śmiertelne niebezpieczeństwo. Popełniłem błąd, okazując jej brak zaufania. Była nie tylko

gotowa zabić — umiała zabijać. Zdawałem sobie sprawę, że ma rewolwer i że użyje go bez żadnych skrupułów. Nie zawaha się. Padający śnieg doskonale stłumi wszelkie odgłosy. Sprzyjał jej też wiatr, który zmienił kierunek i dał z południa, w stronę nie kończących się ciemności. Nagle coś przełamało się we mnie, wziąłem się w garść. Może wpłynął na to widok tych czterech trupów, a nawet pięciu, jeśli wliczyć drugiego pilota, może była to naturalna reakcja po strachu albo po prostu uświadomienie sobie, że ja też mam pistolet?

Nie wiem. W każdym razie wyciągnąłem broń z kieszeni, ująłem latarkę lewą ręką i skoczyłem na równe nogi, kierując światło przed siebie. Szybko ruszyłem korytarzem do kabiny pilotów. Nie zdawałem sobie sprawy ze swojego braku doświadczenia w tej zabawie w chowanego ze śmiercią. Zrozumiałem to dopiero przy drzwiach kabiny. Cóż było łatwiejszego dla mordercy niż ukryć się za którymś z przednich foteli i zabić mnie, kiedy będę przechodził obok? Ale w kabinie pasażerskiej nie było nikogo. Mocnym szarpnięciem otworzyłem drzwi i wtedy spostrzegłem niewyraźną sylwetkę, która na moment ukazała się w słabym świetle mojej latarki. Nieznajomy wyskoczył przez okno.

Wycelowałem w niego. Ani przez moment nie robiłem sobie wyrzutów, że strzelam do uciekającego człowieka. Był przecież mordercą. Pociągnąłem za język spustowy, ale strzał nie padł. Nacisnąłem po raz drugi i wówczas zauważyłem, że pistolet nie był odbezpieczony.

Za wybitymi oknami padał gęsty śnieg. Było ciemno.

Słyszałem wyraźnie skrzypienie śniegu pod czyimiś nogami. Przeklinałem własną głupotę i zapominając jeszcze raz o tym, że stanowią doskonały cel dla kogoś, kto chciałby do mnie strzelić, wychyliłem się przez ramę okienną. Dostrzegłem postać, która biegnąc wzdłuż lewego skrzydła, mknęła w ciemności.

Kilka sekund później również znalazłem się na lodzie. Zeskoczyłem niezdarnie, przewróciłem się, ale natychmiast wstałem i ruszyłem w pogoń za mordercą. Biegłem tak szybko, jak tylko

pozwalala mi na to moja ciężka odzież.

Uciekający kierował się prosto do baraku. Słyszałem szybkie uderzenia obcasów o lód.

Widziałem z daleka promień latarki oświetlającej śnieg i bambusowe paliki wskazujące drogę.

Uciekinier biegł szybko, dużo szybciej, niż mogłaby biec osoba, o której przedtem myślałem.

Nagle promień latarki zmienił kierunek, skręcił czterdzieści pięć stopni w lewo. Również i ja, idąc za światłem i odgłosem kroków, pobiegłem w lewo. Trzydzieści metrów, czterdzieści, pięćdziesiąt... Zatrzymałem się. Nie było przede mną światła latarki. Zgasło. Ucichły też wszelkie dźwięki.

Po raz drugi tego wieczora kłąłem własną głupotę. Powinienem był powrócić wprost do baraku i tam czekać na mordercę, który nie miał przecież innego schronienia do wyboru.

Na szczęście nie było jeszcze za późno. Kilka sekund wcześniej, kiedy biegłem, wiatr dał mi prosto w twarz. Powinienem więc skręcić teraz tak, by mieć go na lewym policzku. Mógłbym wtedy bez trudu odnaleźć bambusowe paliki. Było prawie niemożliwe, żebym je minął nie zauważywszy ich, tym bardziej że miałem latarkę, która jeszcze świeciła. Odwróciłem się i ruszyłem. Po dwóch krokach zatrzymałem się jednak. Dlaczego wyciągnięto mnie tak daleko od bambusowych palików? Przecież nie po to, by uciec przede mną. Ten ktoś wiedział, że to mu się nie uda. Jak długo będzie się w nas tlić życie, będzie ono zależeć wyłącznie od baraku, do którego musimy trafić prędzej czy później.

Jak długo obaj będziemy przy życiu! Byłem naprawdę szczeniakiem, amatorem! Jedyne sposob, żeby przede mną uciec, to pozbawić mnie życia... Można było zabić jednym strzałem, tu, w pełnej ciemności, i nikt nigdy nie dowiedziałby się o tym. Uciekający zatrzymał się pierwszy i pierwszy zgasił latarkę. Doskonale znał miejsce, w którym stałem. Ja natomiast nie miałem pojęcia o jego pozycji. Dwa kroki, które zrobiłem, utwierdziły go w tym. Być może znajdował się kilka metrów ode mnie i był gotowy do strzału.

Zapaliłem latarkę i przez chwilę jej słaby promień oświetlił horyzont. Nic, absolutnie nic. Tylko płatki śniegu pokrywające moje policzki i ponury, wzmagający się z każdą chwilą lament wiatru. Szybko i cicho ruszyłem na prawo. Zrobiłem kilka kroków.

Skąd miano mnie zaatakować? Z wiatrem czy pod wiatr? Mimo szalejącej wichury starałem się coś usłyszeć. Odchyliłem kaptur skafandra, zdjąłem okulary i chroniąc oczy rękoma, próbowałem ogarnąć ciemność.

Minęło pięć minut. Nic się nie stało. Czułem, że odmrażam sobie uszy i czoło. Żadnego szmeru, żadnego podejrzanego ruchu. Zdawałem sobie sprawę, że niezbyt długo będę mógł znieść to napięcie i oczekiwanie, które najodporniejszego może doprowadzić do szaleństwa. Powoli, ostrożnie zatoczyłem koło o średnicy dwudziestu metrów. Nie zobaczyłem jednak nic. Nikogo również nie usłyszałem. Mój wzrok i słuch na tyle przystosowały się już do panujących tam warunków, że byłem pewien, iż niczego nie przeoczyłem. Poczułem się zupełnie samotny pośrodku tej lodowej pustyni.

I nagle straszliwa myśl przeszła mi mózg. Byłem sam. Naprawdę sam. A był to przecież najprostszy sposób, aby się mnie pozbyć! Pistolet był niepotrzebny. Znalezienie nazajutrz moich zwłok przeszytych kulami nasunęłoby zbyt wiele pytań i wątpliwości. Dla mordercy byłoby wygodniej, żeby odnaleziono moje ciało w nienaruszonym stanie, bez śladów gwałtownej śmierci. Wy tłumaczenie byłoby wtedy proste. Wszak nawet ludzie o największym doświadczeniu mogą stracić orientację podczas burzy śnieżnej.

Zdawałem sobie sprawę, że jestem zgubiony. Wiedziałem, że jestem zgubiony. Nawet wtedy, kiedy wiatr dał na mój lewy policzek i gdy ruszyłem w stronę bambusowych palików... Nie było ich na miejscu. Zatoczyłem wielkie koło i nie znalazłem nic. Ktoś usunął kołki, bezcenne przewodniki, które znaczyły kruchą granicę między bezpieczeństwem a śmiercią.

Zmusiłem się do zachowania spokoju. Nie tylko dlatego, że wiedziałem, iż panika przyspieszy

moją zgubę, ale przede wszystkim dlatego, że ogarnęła mnie wściekłość, iż zostałem w ten sposób oszukany i skazany z zimną krwią na śmierć.

Nie, nie pozwolę się pokonać, nie będę zwykłym pionkiem, który można zlikwidować bez żadnych skrupułów. Nie mogłem umrzeć, nie wiedząc, jaką rolę w całej sprawie odegrała mała stewardessa.

Przez chwilę stałem nieruchomo. Namyslałem się. Śnieg gęstniał z każdą minutą, tworząc nieprzebytą białą ścianę. Widzialność kończyła się na granicy trzech, czterech metrów. Prawdziwa ironia losu! Opady śnieżne na tym lodowcu wynosiły maksimum piętnaście centymetrów rocznie. Tej nocy jednak śnieg oszalał. Wiatr dał z południa. Przynajmniej tak było jeszcze kilka minut temu. Ale w tym przeklętym klimacie nigdy nie można przewidzieć zmiany jego kierunku. Światło mojej lampy słabło z każdą chwilą. Zbyt długo paliła się na mrozie. Jej promienie niosły zaledwie na kilka metrów. Wydawało mi się, że samolot powinien znajdować się w odległości około stu metrów, a barak najwyżej sześciuset metrów ode mnie. Ale szansa odnalezienia ich była jak jeden do stu. Liczyłem raczej, że uda mi się odszukać głęboki rów, wydrążony przez samolot podczas przymusowego lądowania. Nie mógł być jeszcze wypełniony śniegiem. Zawróciłem i starając się, by wiatr dał teraz w moje prawe ramię, rozpocząłem marsz.

Minutę później odnalazłem bruzdę. Stało się to zupełnie nagle. Właśnie zgasilem lampę, aby oszczędzić baterii, i... wylądowałem na brzuchu w głębi rowu, którego brzeg przestąpiłem, nie zdając sobie z tego sprawy. Mimo upadku czułem się dobrze, wstąpiła we mnie otucha. Wstałem i ruszyłem w prawo. W chwilę później znalazłem się przy samolocie. W ostateczności mogłem bez większej szkody spędzić noc w kadłubie, ale postanowiłem wracać. Obszedłem skrzydło i bez trudu odszukałem pierwszy bambusowy kołek. Ruszyłem wytyczoną trasą.

Znalazłem tylko pięć palików. Pozostałe zostały usunięte. Ale te pięć pozwoliło mi zorientować się dokładnie w położeniu baraku. Wydawało mi się, że najprościej będzie wyrwać pierwszy palik i

wbić go przed pozostałe cztery, sprawdzając dokładnie ich położenie, a potem regularnie powtarzać tę czynność aż do samego baraku. Kiedy jednak zacząłem operację, zrozumiałem, że aby się powiodła, potrzeba dwóch ludzi. Zdałem sobie też sprawę, że z moją latarką o umierającym promieniu i przy prawie żadnej widoczności ryzykuję popełnienie omyłki o kilka stopni. W pierwszej chwili wydawało mi się, że to niewiele. Szybko jednak dokonałem w myślach obliczenia i zdałem sobie sprawę, że myląc się choćby o jeden stopień, minąłbym barak w odległości co najmniej piętnastu metrów. A podczas takiej nocy jak ta mógłbym nie dostrzec go nawet z odległości trzech metrów. Pomyślałem, że istnieją prostsze sposoby popełnienia samobójstwa. Wyjąłem bambusowe paliki i ruszyłem wzdłuż rowu, aż do miejsca, gdzie samolot dotknął ziemi.

Osiemdziesięciometrowa antena była ustawiona około czterystu metrów od miejsca, w którym się znajdowałem. Wiedziałem o tym. Ustaliłem dokładnie kierunek i nie zastanawiając się ani przez chwilę, ruszyłem prosto w noc, licząc kroki i pilnując, aby wiatr ciągle dał na mój lewy policzek. Po czterystu wielkich krokach zatrzymałem się i zapaliłem latarkę. Właściwie nie świeciła już. Czerwienił się jeszcze jedynie, widoczny z odległości piętnastu centymetrów, drucik. Było tak czarno, jak czarno może być nocą na lodowcu. Zagubiony w świecie bez światła, poczułem się jak ślepiec. Pozostał mi tylko zmysł dotyku. Opanował mnie prawdziwy strach i zużyłem wiele energii, by nie ruszyć biegiem.

Wyciągnąłem sznurowadło z kaptura i zeszywniałymi od mrozu rękoma związałem ze sobą dwa bambusowe kołki. W ten sposób uzyskałem ponaddwumetrową tyczkę. Trzeci kołek wbiłem w śnieg przy swoich stopach, a potem położyłem się na lodzie, tak aby moje buty dotykały wbitego palika. Obracając się wokół niego, zakreśliłem tyczką pełne koło. W ten sposób chciałem dotknąć masztu anteny. Niestety, bezskutecznie. Wówczas w dwa przeciwległe położone punkty zatoczonego przed chwilą kręgu wbiłem dwa pozostałe kołki bambusowe i powtórzyłem całą

operację. I znów nic!

Pozbierałem wszystkie paliki, posunąłem się naprzód dziesięć metrów i zacząłem wszystko od początku. I tak bez rezultatu powtarzałem trzy razy. Po upływie pięciu minut i po przejściu dodatkowych siedemdziesięciu kroków zrozumiałem, że minąłem antenę i teraz naprawdę już nie znajdę drogi. Prawdopodobnie zmienił się kierunek wiatru i to spowodowało, że szedłem nie tam, dokąd trzeba. Zdawałem sobie sprawę, że zabłądziłem. Nawet gdybym wiedział, gdzie znajduje się samolot, nie mógłbym do niego dojść. Nie z powodu wycieńczenia fizycznego, ale dlatego, że jedynym moim drogowskazem był wiatr wiejący w moją twarz. A w tej chwili twarz miałem tak zmarzniętą i tak nieczułą, że nie reagowała na żadne podmuchy. Słyszałem jeszcze wicherę, ale już jej nie czułem.

Jeszcze dziesięć kroków — powiedziałem sobie. — Jeszcze dziesięć kroków, a potem znów wrócę. Ale wrócę do czego? Ruszyłem jednak dalej, z trudem stawiając ociężałe nogi. Przy siódmym kroku omal nie upadłem na ziemię. Nareszcie! Uderzyłem się mocno o maszt anteny.

Uchwyciłem go oburącz i przycisnąłem do siebie, tak jakbym nigdy nie chciał go puścić.

Zrozumiałem wtedy, co czuje skazany na śmierć człowiek, który nagle dowiaduje się, że będzie żył. Był to najwspanialszy moment, jaki kiedykolwiek przeżyłem. Ale radość i ulga zamieniły się w zimny, bezwzględny i straszny gniew, jakiego jeszcze nigdy nie doznałem.

Dotykając bambusowym palikiem pokrytej szronem anteny, dosłownie biegiem przebyłem drogę do baraku. Zaskoczyły mnie poruszające się za rozwieszonym wokół traktora brezentem cienie. Zapomniałem zupełnie, że opuściłem pracujących przy traktorze ludzi zaledwie pół godziny temu. Minąłem ich, nie zatrzymując się, i przez pomost dostałem się do baraku.

Joss ciągle siedział na tym samym miejscu, w odległym kącie, i majstrował przy nadajniku.

Cztery kobiety zgromadziły się wokół pieca. Zauważyłem, że stewardesa miała na sobie skafander, który pożyczyła od Jossa. Pocierała dłonie nad paleniskiem.

— Czy jest pani zimno? — zwróciłem się do niej z wyraźną agresją w głosie.

— A dlaczego nie miałyby być jej zimno, doktorze Mason? — spytała Maria le Garde.

Odezwała się do mnie „doktorze Mason”. — Spędziła kwadrans na zewnątrz, z mężczyznami pracującymi przy traktorze.

— Co ona tam robiła?

— Zniosłam im kawę. — Po raz pierwszy wydawała się pewna siebie. — Nie ma w tym chyba nic złego?

— Nie — odpowiedziałem. — Ale bardzo długo podawała pani tę kawę. Oczywiście, to bardzo miło, że pani to zrobiła.

Nacierając sobie twarz, wszedłem do tunelu, który służył nam za spiżarnię. Dałem znak Jossowi, by poszedł ze mną.

— Ktoś próbował mnie zamordować, tam na zewnątrz — powiedziałem bez wdawania się w zbyteczne wstępy.

— Zamordować? — Przyglądał mi się przez chwilę w milczeniu. Jego oczy zwęziły się. — Można oczekiwać wszystkiego ze strony tej bandy.

— To znaczy?

— Przed chwilą próbowałem odnaleźć potrzebne mi części zamienne. Wydawało mi się, że ich brakuje. Ale nie o to chodzi. Wie pan o tym, że trzymam je obok materiałów wybuchowych. Otóż ktoś wsadzał tam swój nos.

— Środki wybuchowe! — Przez moment pomyślałem o szaleńcu umieszczającym kilka lasek dynamitu pod traktorem. — Brakuje czegoś?

— Nie. I to jest najdziwniejsze. Sprawdziłem dokładnie. Wszystkie materiały wybuchowe są na miejscu, ale zostały pomieszane ze sobą i z detonatorami.

— Kto wchodził tutaj po południu?

Wzruszył ramionami.

— A kto nie wchodził?

Miał rację. Przez cały dzień panował tutaj niezwykle ruch. Mężczyźni brali części zamienne do traktora, a kobiety wносиły bańki z ropą oraz żywność. Na dodatek na końcu tunelu znajdowały się toalety.

— Co się panu przydarzyło, doktorze? — spytał spokojnym głosem Joss.

Opowiedziałem mu. Zauważyłem, że zacisnął usta. Zdawał sobie sprawę, co znaczy pozostawić kogoś samego na lodowcu podczas takiej nocy.

— To prawdziwy drań! — szepnął. — Trzeba go schwytać na gorącym uczynku. Musimy go zatrzymać, doktorze!

Trudno przewidzieć, kto będzie następnym kandydatem na jego liście. Ale trzeba mieć przecież jakieś dowody, jakieś zeznania czy coś w tym rodzaju. Nie można przecież...

— Zdobędę to wszystko — przerwałem mu. Gniew nie opuszczał mnie ani przez chwilę. — Znajdę to wszystko natychmiast.

Wyszedłem z tunelu i skierowałem się do miejsca, gdzie siedziała stewardesa.

— Zapomnieliśmy o czymś, panno Ross — powiedziałem do niej. — Zapomnieliśmy o żywności znajdującej się w samolocie. Od tego może zależeć nasze życie. Co ma pani w swojej spiżarni?

— W mojej spiżarni? Właściwie niewiele. Mam tylko produkty, z których można przygotować kanapki. Tak zwaną „lekką żywność”, na wypadek gdyby ktoś z pasażerów był głodny. Proszę nie zapominać, że był to nocny lot, doktorze Mason, i pasażerowie byli po kolacji.

— No cóż, trudno. Niezależnie jednak od tego, ile jej jest naprawdę, jest ona bardzo cenna.

Chciałbym, żeby pani poszła ze mną i pokazała, gdzie się ta żywność znajduje.

— Czy nie można z tym poczekać? — zaprotestowała Maria le Garde. — Czy nie widzi pan, że

to biedne dziecko przemarzło do kości?

— A czy nie widzi pani, że ze mną nie jest lepiej? — wrzasnąłem. Naprawdę musiałem być bardzo zdenerwowany, jeśli pozwoliłem sobie na taki ton w stosunku do Marii le Garde. — Proszę za mną, panno Ross!

Posłuchała. Tym razem nie chciałem ryzykować. Wziąłem ze sobą przenośny reflektor z akumulatorem oraz silną latarkę elektryczną. Stewardesie dałem całe naręczce bambusowych palików. Kiedy byliśmy już na górze, stanęła w oczekiwaniu, że pójde przodem i będę pokazywał drogę. Kazałem jednak, aby ona ruszyła jako pierwsza. Chciałem ją obserwować.

Śnieg padał ciągle, ale już nie tak gęsty. Widzialność była trochę lepsza. Szliśmy wzdłuż anteny radiowej, potem, wbijając po drodze paliki, skręciliśmy na północny wschód. Po dziesięciu minutach znaleźliśmy się obok samolotu.

— Doskonale — odezwałem się. — Pani pierwsza. Proszę wejść!

— Wejść? — spytała obracając się do mnie. Nie widziałem jej twarzy, gdyż nosiła maskę śniegową, ale w jej głosie zabrzmiało zdziwienie. — W jaki sposób?

— Tak jak ostatnim razem — odpowiedziałem głucho, ledwie hamując gniew. — Proszę skakać!

— Jak ostatnim... — umilkła i spojrzała na mnie. — Co pan chce przez to powiedzieć? — szepnęła.

— Proszę skakać! — powtórzyłem stanowczo.

Powoli nabrała rozpędu i skoczyła. Jej palce o dobre dwanaście centymetrów minęły się z ramą okienną. Spróbowała jeszcze raz. Z takim samym skutkiem. Za trzecim razem podniosłem ją.

Uchwyciła ramę i przez chwilę wisiała na niej nieruchomo. Potem próbowała wciągnąć się, uniosła się na kilka centymetrów, a następnie z jękiem spadła ciężko na lód. Powoli, jak ogłuszona, podniosła się i spojrzała na mnie. Znakomita komediantka!

— Nie mogę tego zrobić — powiedziała słabym głosem.

— Przecież widzi pan, że nie mogę! — Milczałem. Wówczas odezwała się ponownie: — Nie mogę tu pozostać. Wracam do baraku.

— Później. — Próbowwała odsunąć się ode mnie. Ująłem ją brutalnie za ramię. — Proszę pozostać tam, gdzie pani stoi.

Skoczyłem, wsunąłem się do kabiny pilotów i bez słowa wciągnąłem ją do środka. W milczeniu wskazałem wejście do pomieszczenia stewardów.

— Przechowalnia żywności, prawda? — spytałem. — To chyba bardzo bezpieczne miejsce? — Zdjęła maskę śniegową, a ja, widząc, że otwiera usta, by odpowiedzieć, podniosłem rękę gestem, który miał ją powstrzymać od mówienia. — Tak, chodzi mi o narkotyk, panno Ross. Wie pani, o czym mówię... — Patrzyła mi prosto w oczy, nie wypowiadając ani słowa. — Była pani tutaj w chwili katastrofy — ciągnąłem. — Może siedziała pani na tym niskim stołeczku?

Potwierdziła skinieniem głowy, nie odzywając się.

— I naturalnie została pani rzucona na tę ścianę? Proszę mi teraz odpowiedzieć, panno Ross, gdzie znajduje się przedmiot, który zranił panią w plecy.

Powoli obrzuciła spojrzeniem szafeczki. Jej wzrok zatrzymał się na mnie.

— Czy... czy po to przyprowadził mnie pan tutaj...?

— A więc gdzie jest ten okrwawiony występ, który spowodował ranę?

— Nie wiem. — Cofnęła się o krok, kręcąc głową. — Jakie to ma znaczenie? A... narkotyki... o co chodzi? Co się dzieje? Proszę mi powiedzieć!

Bez słowa wziąłem ją za ramię i zaprowadziłem do pomieszczenia radiotelegrafisty.

Skierowałem latarkę na górny, wgnieciony róg skrzynki nadajnika.

— Krew, panno Ross. I nitki granatowego materiału. Krew pochodzi z pani pleców, a nitki z pani munduru. Właśnie tutaj się pani znajdowała, siedząc czy stojąc w chwili wypadku. Pech, że

straciła pani równowagę. Ale rewolweru z rąk pani nie wypuściła. — Przyglądała mi się teraz przerażonym wzrokiem, a jej twarz przywodziła na myśl papierową maskę. — Zapomniała pani o czymś, panno Ross, zapomniała pani o swojej roli. Powinna była pani spytać, o jaki rewolwer chodzi. Powiem pani. O ten, z którego pani wymierzyła do drugiego pilota. Żałuje pani, że nie udało się zastrzelić go wówczas, prawda? Ale poradziła pani sobie z tym później. Bo przecież znacznie prościej jest udusić kogoś później, prawda?

— Udusić! — Trzykrotnie się zachłysnęła, nim udało jej się wykrztusić to słowo.

— Brawo! Nareszcie się zgadzamy. Tak, udusić. Czy pani przypomina sobie tę chwilę, kiedy podczas ostatniej nocy zadusiła pani drugiego pilota?

— Pan zwariował! — powiedziała półgłosem. Jej wargi, zadziwiająco czerwone, kontrastowały z twarzą, która nabrała szarego koloru. Wielkie, ciemne oczy powiększały się z każdą chwilą. — Pan zwariował! — powtórzyła z przerażeniem.

— Dziwnie zwariowany, prawda? — zasyczałem. Chwyciłem ją za ramię i zaciągnąłem do kabiny pilotów. Wskazałem na plecy kapitana statku.

— Naturalnie to również stanowi dla pani zupełną tajemnicę! — Pochyliłem się i podniosłem marynarkę na plecach trupa, by mogła zobaczyć otwór po kuli. Nagle omal nie straciłem równowagi. Z westchnieniem upadła na mnie. Instynktownie podtrzymałem ją, potem ułożyłem na podłodze, klnąc, że dałem się schwytać w pułapkę. Była to jednak tylko chwila. Brutalnie uderzyłem ją po twarzy.

Nie zareagowała. Była nieprzytomna, naprawdę nieprzytomna.

Następne kilka minut spędziłem siedząc przy niej na fotelu w kabinie pasażerskiej i czekając na moment, kiedy przyjdzie do siebie. Były to niezwykle ciężkie minuty. Poczucie winy, wyrzuty — trzeba by było użyć słów tysiąc razy silniejszych, aby oddać to, co czułem, przeklinając moje szaleństwo i zaślepienie oraz brutalność, z jaką traktowałem tę nieszczęśliwą młodą kobietę, leżącą

obok mnie bez zmysłów. Nie mogłem sobie darować okrucieństwa z ostatnich kilku minut. O ile można było wybaczyć mi moje pierwsze podejrzenia, o tyle trudno było przejść do porządku nad moimi ostatnimi czynami i słowami. Gdybym się lepiej nad tym zastanowił, gdybym nie uniósł się gniewem, prawdopodobnie zdałbym sobie sprawę, że nie mogła być osobą, która pół godziny temu wyskoczyła z kabiny. Fizycznie nie była w stanie ani wejść do samolotu, ani zeń wyskoczyć. Jako lekarz powinienem był uświadomić sobie, że ani rana, ani jej ramiona i ręce, które oglądałem podczas opatrunku, nie pozwoliłyby jej na taki wyczyn akrobatyczny, jak przejście przez ramę okienną. Z pewnością nie grała komedii, kiedy upadła przy mnie na lód. Teraz zdawałem sobie z tego doskonale sprawę. Powinienem być o tym pomyśleć wcześniej.

Kląłem siebie najgorszymi słowami, kiedy zaczęła się poruszać. Westchnęła głęboko i wyprostowała się na ramieniu, którym ją podtrzymywałem. Jej oczy otwierały się powoli. Patrzyły na mnie. Wyczułem, że instynktownie próbuje odsunąć się ode mnie.

— Wszystko w porządku, panno Ross — powiedziałem łagodnie. — Proszę się nie bać. Nie jestem wariatem, naprawdę nie jestem wariatem... Jestem tylko największym idiotą, jakiego pani w życiu spotkała i jakiego prawdopodobnie nigdy już pani nie spotka. Jest mi bardzo przykro i bardzo żałuję tych wszystkich słów, które pani powiedziałem, oraz tego, co zrobiłem. Wybacz mi pani?

Wydawało mi się, że mnie nie zrozumiała. Możliwe jednak, że ton mojego głosu trochę ją uspokoił. Drżała ciągle i próbowała odwrócić głowę w kierunku kabiny pilotów.

— Zamordowany! — Głos jej był tak cichy, że ledwie mogłem zrozumieć, co mówi. Nagle krzyknęła: — Został zamordowany! Kto... go zabił?

— Proszę się uspokoić. Nie wiem. Wiem tylko, że pani nie ma z tym morderstwem nic wspólnego.

— Nie! — Opuściła głowę. — Nie wierzę. Nie mogę w to uwierzyć. Kapitan Johnson. Dlaczego?... Ten człowiek nie miał ani jednego wroga, doktorze Mason.

— Pułkownik Harrison prawdopodobnie również nie miał wrogów — powiedziałem, wskazując głową w głąb kabiny. — A przecież i jego dosięgli. — Odwróciła się, jej oczy znów rozszerzyły się z przerażenia. Usta drżały. Milczała. — Jego również dosięgli — powtórzyłem. — Tak samo, jak zamordowali kapitana statku, drugiego pilota i mechanika.

— Oni?... — wyszeptała. — Oni?

— Nie wiem kto. Wiem tylko, że to nie pani.

— Nie... — Wstrząsnęły nią dreszcze. Odruchowo przytuliłem ją do siebie. — Boję się, doktorze Mason. Bardzo się boję.

— Nie ma... — Chciałem powiedzieć, że nie należy się bać, ale zdałem sobie sprawę, że byłby to czysty idiotyzm.

Przebywając z nieznanym mordercą można było się lękać. Ja sam się bałem. Nie mogłem tego jednak pokazać tej młodej, przerażonej dziewczynie. Takie stwierdzenie z pewnością nie uspokoiłoby jej. Aby złagodzić jej doznania, zacząłem mówić. Opowiedziałem jej wszystko, co odkryłem, nasze podejrzenia, to, co mi się przydarzyło.

Kiedy skończyłem, spojrzała na mnie i spytała:

— Ale dlaczego zaciągnięto mnie do pomieszczenia radiotelegrafisty? Gdyż z pewnością tak się stało, prawda?

— Prawdopodobnie tak — odpowiedziałem. — A dlaczego? Przypuszczalnie dlatego, żeby ktoś mógł panią sterroryzować, gdyby drugi pilot, Jimmy Waterman, odmówił wykonania tego, co mu kazali. Nie ma chyba innej przyczyny.

— Rzeczywiście, chyba nie ma innej przyczyny — powtórzyła za mną jak echo. Patrzyła na mnie, nie spuszczając wzroku z moich oczu. Widziałem, jak ogarnia ją coraz większy gniew.

Wreszcie szepnęła: — Kto jeszcze?

— Jak to: kto jeszcze?

— Pan nie rozumie? Jeżeli ktoś celował w Jimmy’ego Watermana, ktoś inny musiał sterroryzować pozostałych pilotów. Zdaje pan sobie chyba sprawę, że nie można kontrolować dwóch pomieszczeń równocześnie. Kapitan Johnson także robił to, co mu kazano. Jak Jimmy. Było to tak ewidentne, że pojęłoby to dziecko. A ja nie zdałem sobie z tego sprawy! Naturalnie, że musiało być ich dwóch. Inaczej nie mogliby opanować samolotu i zmusić załogi do wykonywania ich rozkazów. Jasne niebo! Było to dwukrotnie, ba, dziesięciokrotnie poważniejsze niż to, o czym myślałem na początku! Dziesięć osób w naszym baraku, a między nimi dwaj mordercy, mordercy bez litości, którzy z pewnością nie cofną się przed niczym. Nie miałem pojęcia, kim są...

— Ma pani niewątpliwie rację — starałem się mówić spokojnym głosem, tak jakby chodziło o coś bardzo prostego. — Byłem zupełnie ślepy. Powinienem był zdać sobie z tego sprawę. — Przypomniałem sobie, że ciało człowieka siedzącego w głębi samolotu kula przeszła na wylot. Miałem w ręku wszystkie szczegóły. Powinienem był tylko dodać dwa do dwóch. Pułkownik Harrison i kapitan Johnson zostali zabici przy użyciu różnej broni; jeden za pomocą pistoletu dużego kalibru, drugi za pomocą znacznie lżejszej broni, na przykład z damskiego rewolweru. Przestałem mówić. Damski rewolwer! Przecież mogła posłużyć się nim również kobieta. I mogła nią być ta młoda, siedząca obok mnie osoba. Jej współnikiem mógł być człowiek, który szedł za mną aż do samolotu. Wszystko to zgadzałoby się doskonale... Ale nie. To niemożliwe. Nie można tracić przytomności na zamówienie. A mimo to... ten damski rewolwer! Wydawałoby się, że rozmyślam głośno, gdyż Margaret Ross zrozumiała mnie doskonale.

— Może znów ja... A może jeszcze ja? — powiedziała z dziwnym spokojem. — Naprawdę nie mogę mieć do pana pretensji. Na pańskim miejscu też podejrzewałabym wszystkich.

Zdjęła rękawiczkę z lewej ręki, zsunęła pierścionek i podała mi go. Obejrzałem go w świetle latarki. Na wewnętrznej stronie zobaczyłem literki „J.W. — M.R. 28 września 1958”. Spojrzałem

na nią. Skinęła głową. Jej twarz przybrała wyraz zmęczenia.

— Jimmy i ja zaręczyliśmy się dwa miesiące temu. To był mój ostatni lot... Mieliliśmy się pobrać w grudniu. — Wyjęła mi z ręki pierścioneł i włożyła go na palec. Kiedy podniosła na mnie oczy, zobaczyłem, że były pełne łez. — Czy teraz mi pan wierzy? — spytała łkając. — Czy wierzy mi pan wreszcie?

Po raz pierwszy od dwudziestu czterech godzin zareagowałem w sposób inteligentny, to znaczy zamilkłem. Nie odzywałem się przez dłuższą chwilę. Nie myślałem już o jej dziwnym zachowaniu. To, co mi powiedziała, tłumaczyło wszystko. Siedziałem cicho, przyglądając się jej. Patrzyła przed siebie, dłonie miała zaciśnięte, po jej policzkach płynęły łzy. W pewnej chwili pochyliła się i ukryła twarz w dłoniach. Odruchowo przytuliłem ją do siebie. Nie opierała się. Ukryła głowę w futrze mojego skafandra, płacząc tak, jakby pękło jej serce.

Wydawałoby się, że najbardziej nieodpowiednim momentem do zakochania się w młodej dziewczynie jest chwila, w której dowiaduje się ona o śmierci swego narzeczonego. A mimo to tak się właśnie stało. Uczucia nigdy nie liczą się z ogólnie przyjętymi konwencjami czy też logiką. Moje serce zabiło mocniej po raz pierwszy od tego strasznego dnia, kiedy cztery lata temu moja żona, z którą przeżyłem zaledwie trzy miesiące, zginęła w wypadku samochodowym. Wtedy to właśnie rzuciłem medycynę, aby powrócić do mojej pierwszej wielkiej pasji — do geologii. Skończyłem pisanie pracy doktorskiej, którą przerwała mi druga wojna światowa, i wykorzystując każdą naukową okazję, zacząłem przemierzać cały świat w poszukiwaniu zapomnienia o przeszłości. Dlatego teraz, przyglądając się tej małej główce z ciemnymi, rozsypanymi na moim ramieniu włosami, czułem, że moje serce umiera i zmartwychwstaje jednocześnie... Prócz wspaniałych ciemnych oczu nie miała nic szczególnego. Nie była piękną, a w dodatku nic o niej nie wiedziałem. Trudno byłoby mi powiedzieć, skąd wzięła się we mnie ta szczególna tliwość dla niej. Może była po prostu normalną reakcją po poprzedniej wrogości, a być może spowodowały

ją tylko wyrzuty sumienia, że pozwoliłem jej tak straszliwie cierpieć... Złączył nas okrutny los.

Teraz oboje znaleźliśmy tajemnicę, która groziła nam śmiertelnym niebezpieczeństwem.

Niewykluczone również, że mój stosunek do niej zmienił się tak radykalnie tylko z tego powodu, że wydała mi się taka słaba, taka delikatna i maleńka w olbrzymim skafandrze Jossa... Dałem jednak spokój tym rozmyślaniom. Byłem żonaty bardzo krótko, ale wystarczająco długo, by wiedzieć, że nader trudno jest określić przyczyny narodzin uczucia.

Powoli przestawała płakać. Wyprostowała się, kryjąc przede mną ciągle jeszcze zalaną łzami twarz.

— Jest mi bardzo przykro — szepnęła. — Bardzo panu dziękuję.

— To jest moje ramię specjalne, przeznaczone wyłącznie dla przyjaciół. Drugie służy dla pacjentów.

— I za to również panu dziękuję, ale nie o tym chciałam mówić. Dziękuję panu przede wszystkim za to, że nie próbował pan mnie pocieszać. Wydaje mi się, że nie mogłabym znieść słów współczucia. — Wytarła twarz i spojrzała na mnie oczyma, w których ciągle błyszczały łzy. — Co teraz zrobimy, doktorze Mason?

— Pójdziemy prosto do baraku.

— Nie to miałam na myśli.

— Wiem. Cóż mam pani powiedzieć? Jestem zupełnie zagubiony. Krążą mi po głowie tysiące pytań, ale nie umiem znaleźć na nie odpowiedzi.

— Nie znam nawet tych wszystkich problemów, które stoją przed nami — wyszeptała. — Zaledwie od pięciu minut wiem, że nie chodzi o wypadek. — Pokiwała głową.

— Czy ktoś kiedyś słyszał o porwaniu samolotu przy użyciu broni?

— Ja. Przez radio, zaledwie miesiąc temu. Na Kubie jacyś rebelianci przeciwko Castro zmusili samolot do lądowania... tyle że w jeszcze gorszym miejscu. Przeżyły chyba tylko dwie osoby.

Może ci nasi przyjaciele stamtąd czerpali inspirację. Wcale by mnie to nie zdziwiło.

Nie słuchała mnie. Jej umysł pracował już nad inną zagadką.

— Dlaczego zabili pułkownika Harrisona?

Wzruszyłem ramionami.

— Być może jego organizm był bardziej odporny na środek odurzający, a może za dużo wiedział lub zbyt wiele widział. Niewykluczone, że i jedno, i drugie.

— A teraz wiedzą, że pan zbyt wiele widział i zbyt wiele wie. — Wolałbym, żeby tak na mnie nie patrzyła. Jej oczy mogłyby wyprowadzić z równowagi nawet samego pastora Smallwooda podczas wygłaszania najbardziej płomiennego kazania. Jeśli pastor Smallwood kiedykolwiek wygłaszał płomienne kazania...

— Ma pani rację, to bardzo niepokojące. Myślałem już o tym wiele razy.

— Dajmy temu spokój! Prawdopodobnie boi się pan tak samo jak i ja! — powiedziała drżącym głosem.

— Chodźmy już stąd. To miejsce działa straszliwie przygnębiająco. Cicho!... — powiedziała nagle. — Co to było?

— O czym pani mówi? — Próbowałem zachować spokój, co jednak nie przeszkadzało mi się rozglądać.

— Jakiś dźwięk... na zewnątrz — szepnęła i zacisnęła palce na futrze mojego skafandra.

Usłyszałem głucho stuknięcie, jakby ktoś potknął się o kadłub czy skrzydło.

— Ależ skąd znowu — odpowiedziałem przytłumionym głosem. Czulem, że znów ogarnia mnie napięcie. — Pani...

Zamilkłem w połowie zdania. Teraz nie miałem już wątpliwości, że ktoś jest na zewnątrz.

Skierowałem głowę w stronę, z której dochodził ów odgłos. Uczyniła to również Margaret Ross. A potem powoli odwróciła się do mnie. Na jej twarzy malowało się przerażenie.

Odsunąłem ją od siebie, wziąłem do ręki pistolet i latarkę i ruszyłem naprzód. Jednym spojrzeniem ogarnąłem kabinę pilotów. Mój Boże! Popełniłem niewybaczalny błąd. Pozostawiłem przed samolotem, skierowany prosto na ramę okienną, zapalony reflektor, który nie tylko, że mnie oślepił, ale także wystawiał na cel osobie znajdującej się na zewnątrz i posiadającej broń. Mimo to nie wahałem się ani przez chwilę. Albo teraz, albo nigdy! Nie mogłem pozostać tutaj przez całą noc, czekając aż akumulator wyładuje się i reflektor sam zgaśnie. Wskoczyłem przez rozbite okno i natychmiast położyłem się na śniegu.

Przeczekałem kilka sekund, nasłuchując uważnie. Dochodził mnie tylko jęk wichru i monotony szmer lodowego pyłu, trącego o powierzchnię lodu. Nagle wstałem. Oświetlając sobie drogę, dwa razy biegiem okrążyłem samolot, raz w jednym, raz w drugim kierunku. Nie zauważyłem nikogo. Zatrzymałem się przed kabiną pilotów i cichym głosem przywołałem Margaret Ross, która natychmiast pojawiła się w ramie okiennej.

— Wszystko w porządku. Nie ma nikogo. Proszę zejść na dół. — Podniosłem ramiona i schwyciwszy ją, postawiłem na lodzie.

— Dlaczego zostawił mnie pan tam na górze? Dlaczego pan to zrobił? — Drżała na całym ciele, jękając się z gniewu i ze strachu. — To było straszne... Te trupy... Dlaczego pan mnie tam zostawił?

— Proszę mi wybaczyć. Jest mi bardzo przykro — powiedziałem. — Nie powinienem był tego zrobić... Nie pomyślałem o tym. — Objąłem ją i przytuliłem. Powoli się uspokajała.

W jedną rękę wziąłem reflektor i akumulator, drugą ująłem dłoń Margaret i oboje ruszyliśmy w stronę baraku.

PONIEDZIAŁEK, SIÓDMA WIECZOREM — WTOREK, SIÓDMA RANO

Jackstraw i inni kończyli właśnie montaż kabiny traktora; kilku mężczyzn wracało już do baraku. Nie zadałem sobie trudu, by sprawdzić, jak postępuje praca. Kiedy Jackstraw zajmował się

czymkolwiek, można było spać spokojnie.

Domyślałem się, że brakowało mu mnie w ciągu tej godziny, nie był jednak człowiekiem, który zadaje pytania przy świadkach. Zaczekałem, aż wszyscy wejdą do baraku, wziąłem go pod ramię i pociągnąłem za sobą. Chciałem być pewien, że nikt nas nie usłyszy. Odeszliśmy dość daleko, nie tracąc jednak z oczu słabego światła, które sączyło się z naszych okien. Zabłądzić w ciągu jednej nocy dwa razy byłoby to trochę za dużo.

Jackstraw wysłuchał mnie z właściwym spokojem, a kiedy skończyłem opowieść, spytał:

— Co teraz zrobimy, doktorze Mason?

— To zależy. Czy rozmawiał pan z Jossem?

— Piętnaście minut temu, w tunelu.

— Co mówi o nadajniku?

— Zdechł, tak mu się wydaje. Brak mu kondensatorów i lamp. Szukał wszędzie, twierdzi, że z pewnością je skradziono.

— Może je jeszcze znajdziemy — powiedziałem bez przekonania.

— Kilka już znalazł. Były rozbite w głębi tunelu.

— Nasi mili przyjaciele myślą o wszystkim. — Zakląłem cicho. — No cóż, to załatwia sprawę, Jackstraw. Nie możemy dłużej czekać. Wyruszymy natychmiast, jak tylko będzie to możliwe. Ale przede wszystkim trzeba się wyspać. W tej chwili to jest najważniejsze.

— Uplawnik? Wierzy pan, że tam dotrzemy?

Była to nasza główna baza. Leżała tam, gdzie kończył się lodowiec Strömsund.

Nie robił żadnych uwag na temat bezpieczeństwa, trudów podróży, tego wszystkiego, co nas czekało, nie powiedział ani słowa o naszym antycznym traktorze. Obaj myśleliśmy wyłącznie o towarzystwie, które miało z nami odbyć tę podróż. Jednego byliśmy pewni — mordercy, kimkolwiek są, nie mogą ujść sprawiedliwości.

— Nie chciałbym się zakładać, ale jeśli pozostaniemy, nie mamy szans przeżycia. Śmierć z głodu nie należy do przyjemności, a tu, na miejscu, jest to nieuniknione.

— Tak, to prawda. — Przez chwilę milczał, a potem szybko zmienił temat: — Mówił mi pan, że próbowali pana dziś zabić. Czy nie uważa pan, że to ciekawe? Wydawałoby się, że pan i ja możemy czuć się bezpieczni, przynajmniej przez kilka najbliższych dni.

Wiedziałem, co chciał powiedzieć. Oprócz mnie i Jackstrawa nie było na tym przeklętym lodowcu zbyt wielu osób, które potrafiłyby uruchomić i prowadzić starego grata. Poza tym tylko Jackstraw umiał powozić psim zaprzęgiem. Było również pewne, że żaden z pasażerów nie orientuje się w nawigacji gwiazdnej czy magnetycznej. Te właśnie umiejętności powinny być dla nas gwarancją bezpieczeństwa.

— Słusznie. Nie ulega wątpliwości, że ma pan rację — powiedziałem. — Wydaje mi się jednak, że po prostu nie pomyśleli o tym. A przyczyna jest prosta... nie zdawali sobie z tego sprawy.

Musimy uświadomić im wagę naszego życia. Wtedy obaj będziemy bezpieczni. Poza tym przed wyruszeniem w drogę musimy załatwić jeszcze kilka spraw. Naturalnie, że nie zyskamy przez to większej popularności, ale nie mamy wyboru. — Wytłumaczyłem mu, o czym myślę. Zgodził się ze mną.

Zaczekałem, aż zejdzie po pomoście do baraku. Po trzech minutach wszedłem i ja. Ośmiu rozbitków wpatrywało się w Marię le Garde, która rozdzielała zupę. Przyglądałem im się przez dłuższą chwilę, nie mówiąc ani słowa. Po raz pierwszy w życiu patrzyłem na grupę podobnych sobie istot, próbując odgadnąć, które z nich mogą być mordercami. Było to wyjątkowe jak dla mnie doświadczenie, a przy tym niezwykle nieprzyjemne.

W pierwszej chwili wszyscy ci mężczyźni wydali mi się mordercami, a kobiety — potencjalnymi zabójczyniami.

Zdałem sobie jednak sprawę, że to niesłychane doznanie wypłynęło z automatycznego

połączenia ze sobą morderstwa i anormalnej sytuacji, w jakiej ci ludzie się znaleźli. Przedziwne otoczenie i jeszcze dziwniejsza odzież tworzyły z nich niemal groteskowe postacie. Gdyby jednak dłużej im się przyjrzeć i abstrahować od miejsca i odzienia, to trzeba by było przyznać, że są po prostu maleńką grupą drżących z zimna ludzi, nieszczęśliwych i właściwie zupełnie zwykłych. Czy jednak naprawdę takich zwykłych? Na przykład Zagero. Miał wspaniałą postawę, olbrzymią siłę fizyczną oraz szybkość reakcji i temperament charakteryzujący boksera ciężkiej wagi i wielkiej klasy, a jednocześnie był najbardziej niecodziennym bokserem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Nie tylko z powodu doskonałego wychowania, wykształcenia i kultury — takich bokserów spotykało się już — ale dlatego, że na jego twarzy nie było widać żadnych śladów po uderzeniach; nawet jego łuki brwiowe były nienaruszone. W dodatku nigdy o nim nie słyszałem. Bogiem a prawdą, nie był to jednak argument. Jako lekarz nie interesowałem się specjalistami od brutalnych ciosów, w ogóle mało zajmowałem się sportem.

Zagadkową postacią był również jego menażer, Solly Levin, oraz pastor Joseph Smallwood. Solly nie wyglądał na menażera z Nowego Jorku, takiego typowego menażera znad Hudsonu. Był raczej karykaturą menażera, był przeciwieństwem menażerów, o których czytałem w książkach. Był zbyt naturalny, by mógł być prawdziwy. To samo można było powiedzieć o pastorze Smallwoodzie, który sprawiał wrażenie portretu idealnego sługi bożego. Był słodki, blady, anemiczny. Jeśli chodzi o jego reakcje, jego słowa, można je było z góry przewidzieć, nie popełniając przy tym omyłki. Ale przecież z drugiej strony zbrodniarze byli z pewnością ludźmi bardziej inteligentnymi od innych i staraliby się nie tworzyć tak karykaturalnych postaci, choćby po to, aby nie zwracać na siebie uwagi. Chyba że był to właśnie ich sposób maskowania się.

Wiele pytań nasuwało mi się także w związku z Corazzinim. Stany Zjednoczone wyspecjalizowały się w seryjnej produkcji tego typu administratorów i dyrektorów fabryk, inteligentnych, odważnych i bezwzględnych. Corazzini był doskonałym reprezentantem tej

kategorii ludzi. Ale refleks charakteryzujący ludzi przemysłu dotyczy wyłącznie sfery umysłowej, a Corazzini łączył go z odpornością fizyczną i odwagą, którymi umiał posługiwać się w sytuacjach nie mających nic wspólnego z jego specjalnością. W pewnej chwili zawstydziłem się, zdając sobie sprawę, że podejrzewałem go z powodów dokładnie przeciwnych tym, które kazały mi obawiać się Levina i Smallwooda. Corazzini nie mieścił się w żadnej ramie. Nie pasował do żadnej koncepcji, które do tej pory stworzyłem.

Wreszcie dwaj pozostali mężczyźni: Teodor Mahler i senator Brewster. Najbardziej prawdopodobnym podejrzanym wydawał mi się ten pierwszy, ale kiedy zastanowiłem się, dlaczego tak uważam, nie umiałem na to odpowiedzieć. Był chudy, niskiego wzrostu, miał czarne włosy i zawsze zgorzkniałą twarz. Nie wiedziałem o nim absolutnie nic. Jeśli chodzi o senatora Brewstera, wydawał się poza wszelkimi podejrzeniami. Nagle ogarnęła mnie szaleńcza myśl, że gdy chce się stworzyć doskonałe alibi, to najlepiej pożyczyć sobie czyjąś osobowość, na przykład człowieka, którego nie można podejrzewać. Skąd mogłem wiedzieć, czy on rzeczywiście jest senatorem Brewsterem? Przecież wystarczyłoby kilka fałszywych dokumentów, wąsy i siwa peruka, aby natychmiast zmienić się w senatora Brewstera. Oczywiście, byłoby to przebranie, którego nie można nosić zbyt długo, ale czyż obaj mordercy mieli zamiar korzystać z przebrań i z czyichś osobowości w nieskończoność?

Z każdą chwilą stawałem się coraz bardziej niespokojny i podejrzliwy. Zacząłem obawiać się nawet kobiet. Młoda dziewczyna, Helena, mówiła, że pochodzi z Monachium. To blisko krajów bloku wschodniego, a ci zza żelaznej kurtyny potrafią człowieka zmusić do wszystkiego. Ale na jej korzyść przemawiało to, że miała zaledwie siedemnaście lat i w dodatku złamany obojczyk. Nie mogła więc brać udziału w zbrodniczych akcjach. Pani Dandsby–Gregg? Należała do świata, który znałem bardzo słabo, jedynie z fragmentarycznych informacji, jakich udzielali mi kiedyś moi koledzy psychiatrzy, łowiący w mętnych, ale połączonych wodach tak zwanego londyńskiego

towarzystwa. Ale nerwice, zachwiana równowaga psychiczna, nawet okresowy brak środków materialnych — wszystko to groźne, zgoda, nie musi jednak prowadzić do przestępstwa. Przede wszystkim wszakże uniemożliwiało temu środowisku popełnienie tego typu zbrodni brak tych cech, które mieli Zagero i Corazzini. O pani Dandsby–Gregg jako o człowieku również nie mogłem nic powiedzieć.

Pozostawała już tylko Maria le Garde, ale ona w tym oceanie niepewności była prawdziwą skałą. Była moim spokojnym portem. Gdybym pomylił się w jej ocenie, to przede mną musiałyby mylić się miliony widzów. Są pewne sprawy, które nie mogą budzić żadnych wątpliwości. Tak właśnie było z uczciwością Marii le Garde. Wielka aktorka była poza wszelkimi podejrzeniami. Z zamyślenia wyrwał mnie odgłos obracających się w zwolnionym tempie skrzydełek anemometru. Wiatr uciszył się. Płomień wielkiej, zawieszanej u sufitu lampy buzował z trzaskiem. Poza tym w baraku panowała absolutna cisza. Wszyscy wpatrywali się we mnie. W ich spojrzeniach widziałem niepewność i ciekawość. Z mojej twarzy nie można było jednak wyczytać nic, co niewątpliwie zapewniało mi nad nimi przewagę. Nie czułem się speszony tym zainteresowaniem. Umożliwiło ono Jackstrawowi wejście do pomieszczenia tak, żeby go nikt nie zauważył. Nikt go nie zauważył. Nawet wówczas, gdy uniósł w rękę gotowy do strzału sztucer. — Proszę mi wybaczyć — powiedziałem. — Przyglądanie się ludziom w taki sposób, jak to zrobiłem kilka minut temu, nie jest zaliczane do dobrego tonu. Ale teraz na państwa kolej. — Ruchem głowy wskazałem Jackstraw. — Każda ekspedycja zabiera ze sobą jeden albo dwa karabiny, by bronić się przed niedźwiedziami i wilkami, które w każdej chwili mogą zaatakować obozowisko. Broń potrzebna jest również do polowania na foki, które stanowią pokarm dla psów. Nigdy jednak nie pomyślałem, że nasze sztucery mogą posłużyć do innych celów, że okażą się tak cenne, właśnie tutaj, w sercu grenlandzkiego lodowca. Być może obronią nas przed zwierzyną jeszcze groźniejszą. Ostrzegam, że pan Nielsen jest niezrównanym strzelcem. A teraz, żadnych

zbędnych ruchów! Proszę podnieść ręce do góry i skrzyżować je nad głowami. Wszyscy, bez wyjątku!

Wszystkie oczy, wlepione do tej pory w Jackstraw, jak na komendę zwróciły się w moją stronę. Znalazłem dość czasu, by wyciągnąć pistolet — wyjętą z kabury pułkownika Harrisona berettę kalibru dziewięć milimetrów. Tym razem nie zapomniałem o odbezpieczeniu jej. Suchy trzask repetowanej broni rozległ się głośno w śmiertelnej ciszy, która zapanowała w baraku po moich słowach. Nie trwała ona jednak zbyt długo.

— Cóż to za nowa komedia... — zaczął senator Brewster wściekłym głosem, z twarzą wykrzywioną gniewem. Skoczył na nogi, zrobił krok w moim kierunku i nagle zatrzymał się, jakby uderzył o mur.

Strzał Jackstraw rozległ się jak grom z nieba, tym głośniejszy, że oddany w małym pomieszczeniu. Kiedy ucichło echo detonacji, a dym rozszedł się po kątach, ujrzeliśmy, że senator Brewster przygląda się przerażonymi oczyma dziurze w podłodze u swoich stóp. Jackstraw prawdopodobnie źle ocenił szybkość senatora, gdyż kula naruszyła mu podeszwę buta. Cokolwiek jednak się stało, efekt nie mógł być większy. Senator cofnął się gwałtownie, uderzając o koję, która stała tuż za nim. Usiadł na niej ciężko. Był tak przerażony, że zapomniał nawet o podniesieniu rąk do góry. Nie zwróciłem na to uwagi, byłem przekonany, że z jego strony nie grozi już żadna niespodzianka.

— Świetnie! Jest pan konsekwentny i poważnie traktuje to, co mówi. Wszyscy jesteśmy o tym przekonani — odezwał się Zagero z nonszalancją w głosie i wysoko nad głową uniesionymi rękami. — Zdajemy sobie doskonale sprawę, że nie urządziłby pan tego widowiska, gdyby nie zaistniały poważne powody. Doktorze, co tu się dzieje?

— Dwie osoby spośród was to zbrodniarze. Dwaj mężczyźni albo mężczyzna i kobieta. Mają broń. Chcę tę broń dostać.

— No tak, wszystko jasne — powiedziała Maria le Garde, cedząc słowa. — Pan zwariował.

— Może pani opuścić ręce, nie ma pani nic wspólnego z tą całą historią. A ja naprawdę nie jestem wariatem.

Mam tak samo zdrowe zmysły jak pani. Dowody świadczące o moim dobrym stanie psychicznym i pełnej poczytalności może pani znaleźć w samolocie, a także pod lodem. Kapitan statku ma w kręgosłupie kulę, a pułkownikowi Harrisonowi, temu pasażerowi siedzącemu w głębi samolotu, kula przeszła serce; drugi pilot został uduszony. Tak, uduszony. To nie był wylew krwi do mózgu, jak oświadczyłem. Zaduszono go podczas snu. Czy pani mi wierzy? A może chce pani, żebym zaprowadził panią do samolotu i pokazał dowody?

W pierwszej chwili nie odpowiedziała. Wszyscy mieli zamknięte usta. Wszyscy byli zbyt przerażeni albo zajęci pokonywaniem trudności, jakie niewątpliwie nasunęły im się przy próbie zrozumienia tego, co powiedziałem, oraz przy wyciąganiu z tego wniosków. Wszyscy z wyjątkiem dwóch osób. Przyglądałem się ośmiu twarzom z niesłychaną uwagą, ale nie zauważyłem na nich najmniejszej reakcji. Nie zauważyłem tego, na co czekałem: wymiany spojrzeń, które zdradziłyby winnych. Nie osiągnąłem właściwie nic. Kimkolwiek byli mordercy, panowali nad sobą w sposób zdumiewający. Czuję, że ogarnia mnie zniechęcenie. Po raz pierwszy poznałem gorzkość porażki.

— Muszę panu wierzyć — Maria le Garde znów cedziła słowa. Jej głos stał się chrapliwy, a twarz jeszcze bardziej zbladła. Odwróciła się do Margaret Ross. — Czy pani wiedziała o tym?

— Od pół godziny. Doktor Mason myślał, że ja jestem winowajczynią.

— Mój Boże, co za okropność!... Dwoje spośród nas... mordercami! — Przyglądała się wszystkim po kolei, wreszcie spojrzała na mnie. — Doktorze Mason, czy może nam pan wszystko opowiedzieć?

Opowiedziałem. Wracając z samolotu z Margaret Ross zastanawiałem się nad tym, co mam zrobić. Czy zachować tajemnicę, czy ją ujawnić. I wreszcie zdałem sobie sprawę z tego, że należy

wszystko powiedzieć. Moje milczenie nie zmyliłoby morderców. Oni wiedzieli, że ja wiem. Opowiedzenie wszystkiego umożliwiłoby pasażerom wzajemne pilnowanie się i utrudnienie zadania mordercom.

— Wstaniecie jeden po drugim — rozkazałem. — Pan London przeprowadzi rewizję. Proszę pamiętać, że zdaję sobie sprawę z tego, iż mam do czynienia z ludźmi gotowymi na wszystko.

Będę działał konsekwentnie. Proszę stać bez najmniejszego podejrzanego ruchu. Nie jestem dobrym strzelcem i dlatego, żeby nie popełnić błędu, będę strzelał w sam środek celu.

— Sądzę, że jest pan do tego absolutnie zdolny — powiedział Corazzini głosem, w którym wyczuwało się zamyślenie.

— To, co pan sądzi, nie ma żadnego znaczenia — odpowiedziałem chłodno. — Życzę panu jednak, żeby nie stał się pan tym celem.

Joss rozpoczął od Zagera. Zrewidował go dokładnie, ale nic przy nim nie znalazł. Następny był Solly Levin.

— Czy mogę wiedzieć, dlaczego mam być uprzywilejowana? — spytała Maria le Garde.

— Pani? — zawołałem nie spuszczając wzroku z Levina. — Maria le Garde? Niech pani da spokój!

— Można używać różnych słów i różnego tonu w stosunku do mnie — powiedziała głosem przyjaznym, ale drżącym. — Domagam się jednak, abym została zrewidowana. Nie chcę, żeby przyglądano mi się podejrzliwie, jeśli nie znajdzie pan tej broni.

Nie znaleźliśmy jej. Joss zrewidował mężczyzn, Margaret Ross — kobiety. Bez rezultatu.

— Bagaze — odezwałem się. — Małe walizki. Spróbujemy z tej strony.

— Traci pan czas, doktorze Mason — zauważył Corazzini spokojnie. — Ludzie, którzy wiedzą, że zostali zdemaskowani, bez trudu domyślają się, iż czeka ich rewizja. Tego spodziewałoby się nawet dziecko. Ta broń, o której pan mówi, może być ukryta w traktorze albo na saniach, może być

schowana pod śniegiem. Nie ma pan jednak żadnych szans, żeby znaleźć ją tam, gdzie pan szuka.

Mogę założyć się o tysiąc dolarów przeciwko jednemu.

— Być może ma pan rację — powiedziałem powoli. — Ale gdybym był zbrodniarzem i ukrył rewolwer w walizce, odpowiedziałbym tak samo jak pan.

— Wydaje się, że mówi pan głupstwa! — Podniósł się i ruszył w kierunku kąta baraku.

Jackstraw i ja śledziliśmy go uważnie. Przyniósł kilka waliz i położył je na podłodze u moich nóg.

Jego była najbliższa. — Od której chce pan rozpocząć? Ta jest moja, to walizka pastora, a ta — dodał pokazując na inicjały — walizka senatora. Nie wiem, czyją własnością jest czwarta.

— Moją — odpowiedziała pani Dandsby–Gregg lodowatym tonem.

Corazzini skrzywił się.

— Aha, wytworne stroje! A więc doktorze... — przerwał nagle i powoli się wyprostował. Jego oczy spoczęły na jednym z okien. — Co to jest... Co tam się dzieje na górze?

— Uwaga, żadnych nierozważnych ruchów, Corazzini! — zawołałem. — Sztucer Jackstrawa...

— Do diabła ze sztucerką Jackstrawa! — przerwał z niecierpliwością. — Niech pan sam zobaczy...

Odsunąłem go i spojrzałem. Dwie sekundy później oddałem pistolet Jossowi i wyskoczyłem z baraku. Samolot był wielką płonąca pochodnią wśród ciemnej nocy. Mimo siedmiuset metrów, które mnie od niego dzieliły, mimo lekkiego wiatru, który niósł dźwięki w innym niż nasz barak kierunku, słyszałem wyraźnie wściekły trzask szalejących płomieni. Ogień ogarnął oba skrzydła i środek kadłuba. Wznosił się wysoko, jasny, bez dymu, bez żadnych iskier. Śnieg wokół tego strasznego ogniska zabarwił się purpurą. Topniał lód. Tworzyły się pagórki i wklęsnięcia, które niczym tysiące luster odbijały jaskrawy odblask pożaru. Był to zaiste przepiękny w swej grozie widok. Ale trwał bardzo krótko. Ognisko zamieniło się nagle w białą błyskawicę, a centralny płomień zdawał się wznosić aż do gwiazd. Po chwili do moich uszu doszedł straszliwy huk

eksplodujących zbiorników. Płomienie opadły i krwawa plama na śniegu zaczęła się błyskawicznie zmniejszać.

Wszedłem do baraku, zamykając za sobą starannie drzwi. Spojrzałem na Jackstrawę.

— Jak się panu wydaje, Jackstraw, czy wszyscy nasi przyjaciele mogliby potwierdzić swoją obecność w baraku podczas ostatniej półgodziny?

— Obawiam się, że nie, doktorze Mason. Wszyscy spędzili ten czas na wchodzeniu i wychodzeniu z baraku, na pracach remontowych przy traktorze, na przenoszeniu żywności i blaszanek z benzyną, na mocowaniu ładunku na saniach. — Spojrzał w kierunku okienka i powiedział: — To był samolot, prawda?

— Tak, to był samolot. — Odwróciłem się do stewardesy. — Proszę mi wybaczyć panno Ross, pani rzeczywiście coś słyszała.

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że to nie był przypadek? — spytał Zagero.

— Nie, to nie był przypadek.

— A więc pańskie dowody poszły z dymem — zauważył Corazzini. — Chciałem powiedzieć: pilot i pułkownik Harrison.

— Nie. Dziób i ogon samolotu są ciągle nienaruszone. Nie wiem, z jakich przyczyn... Może pan odnieść te walizki, Corazzini. Jak pan stwierdził, nie mamy do czynienia ani z dziećmi, ani z amatorami.

Zapadła cisza. Joss przyglądał mi się.

— Mamy wreszcie odpowiedź na jedno z naszych pytań — powiedział. — Nieporządek wśród materiałów wybuchowych.

— Nieporządek w środkach wybuchowych? — Przypomniałem sobie dziwny dźwięk, który niedawno słyszałem przy samolocie, a do którego nie przywiązywałem wtedy zbyt wiele uwagi. Nie ulegało wątpliwości, że ktoś, kto doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co robi, podłączył

działający z opóźnieniem zapalnik do przewodów paliwa lub zbiorników.

— Cóż to za historia ze środkami wybuchowymi i zapalnikami? — spytał senator Brewster.

Były to pierwsze słowa, które wypowiedział od momentu strzału Jackstrawa. Jego twarz nie odzyskała jeszcze normalnego koloru.

— Ktoś ukradł zapalniki i podłożył ogień pod samolotem. Tym kimś może być także pan. —

Podniosłem rękę, aby powstrzymać jego odpowiedź, którą miał już na ustach, i kontynuowałem zmęczonym głosem: — Moje stwierdzenie może odnosić się również do pozostałych siedmiu osób.

Wszystko, co wiem, to tyle, że osoba czy też osoby odpowiedzialne za morderstwa są również sprawcami kradzieży zapalników, zapasowych kondensatorów oraz lamp radiowych, które znaleziono rozbite.

— Również za kradzież cukru — dodał Joss. — Bóg wie, co mają zamiar z nim zrobić.

— Cukier? — zawołałem i głos zamarł mi w gardle.

Spoglądałem w tym momencie na Teodora Mahlera. Jego nagłe drgnięcie, kiedy usłyszał słowa Jossa, było dla mnie zupełnie jasne. Natychmiast odwróciłem wzrok, aby nie zorientował się, że wszystko widziałem.

— To był ostatni piętnastokilogramowy worek cukru — powiedział Joss. — Nie mamy już ani grama. Wszystko, co znalazłem, to zaledwie garść; i to zmieszana z odłamkami szkła lamp radiowych.

Opuściłem głowę bez słowa. Sens tej kradzieży był dla mnie zupełnie niezrozumiały.

Tego wieczora nasz posiłek trwał bardzo krótko. Zupa, kawa i na dodatek po dwa biszkopty na osobę. Zupa była bezbarwna i rzadka, biszkopty wilgotne, a kawa, przynajmniej dla mnie, nie do spożycia bez cukru.

Kolacja przebiegała w milczeniu. Rozbitkowie spoglądali na siebie podejrzliwie. Zapewne każdy zastanawiał się, czy jego sąsiad nie jest mordercą. Było to dziwne zgromadzenie. W tej

sytuacji trudno mówić o zachowaniu towarzyskich form. Nie przejmowałem się tym jednak, miałem na głowie znacznie poważniejsze kłopoty.

Po posiłku wstałem, włożyłem skafander i rękawice, wziąłem reflektor i poprosiłem Jackstrawę i Jossę, by wyszli razem ze mną z baraku. Kiedy otwierałem drzwi, rozległ się głos Zagera:

— Dokąd pan idzie, doktorze?

— Nie pańska sprawa. O co chodzi, pani Dandsby–Gregg?

— Czy... czy nie powinien pan wziąć ze sobą sztucera?

— Proszę się nie niepokoić — odpowiedziałem z uśmiechem. — Jeżeli państwo pozostaną tutaj i będą się nawzajem pilnować, nie będzie żadnego ryzyka ani dla nas, ani dla pozostawionego tu sztucera.

— Ale przecież... ktoś mógłby nim zawładnąć — powiedziała nerwowo — i napaść na pana w chwili, kiedy będzie pan wchodził do baraku...

— Pan Nielsen i ja jesteśmy jedynymi osobami, których nie zamordują. Bez nas nie potrafią przebyć nawet jednego kilometra. Potencjalni kandydaci do otrzymania kolejnej kuli znajdują się wśród was. Dla mordercy jesteście tylko zbędnymi współnikami do zapasów żywności.

Wyszedłem.

Wiatr ucichł zupełnie. Skrzydełka anemometru zatrzymały się. Zarzewie wygasającego pożaru było już ledwie widoczne. Śnieg przestał padać. Na niebie poprzez oddalające się chmury ukazały się pierwsze gwiazdy. Było to typowe dla Grenlandii — szybkie zmiany pogody, bardzo szybkie zmiany temperatury. Wiedziałem, że w ciągu najbliższych godzin temperatura znacznie spadnie. Oświetliwszy reflektorami traktor i sanie, zrewidowaliśmy je bardzo dokładnie. Naszej uwagi nie uszłaby nawet szpilka. Nie znaleźliśmy jednak nic.

Wyprostowałem się i przyglądałem się światłu, które ukazało się na horyzoncie, po wschodniej stronie. Kiedy tak stałem nieruchomo, mając obok siebie Jossę i Jackstrawę, olbrzymi księżyc

powoli wytoczył się nad lodowiec i oświetlił swoim bladym, niesamowitym światłem jego powierzchnię. Przyglądaliśmy się mu w milczeniu. Wreszcie Jackstraw otworzył usta. Wiedziałem, o czym myśli.

— Uplavnik — szepnął. — Jutro ruszamy do Uplavnika. Ale przedtem musimy się wyspać.

— Wiem — odpowiedziałem — ale świeci księżyc...

— Świeci księżyc — powtórzył jak echo. — Księżyc dla podróżnych.

Miał rację. Decydującą rolę w podróżach arktycznych odgrywa nie dzień, lecz właśnie księżyc.

Tego wieczora świecił on dla naszej trójki, niebo było jasne, wiatr ustał i przestał padać śnieg.

Zwróciłem się do Jossa:

— No i jak, da pan radę sam?

— O to jestem spokojny — zapewnił. — Ale czy nie może pan zabrać mnie ze sobą?

— Dziękuję za pomoc, ale przecież pan wie, że ktoś musi tutaj pozostać. Ma pan tu do spełnienia określone obowiązki. Może jakimś cudem uda się panu uruchomić nadajnik.

— Tym razem nie będzie cudów — odpowiedział. Odwrócił się od nas i wszedł do baraku.

Jackstraw ruszył w stronę traktora. Nie mieliśmy sobie nic więcej do powiedzenia. Poszedłem za Jossem. W baraku nic się nie zmieniło. Wszyscy siedzieli na swoich miejscach. Jak na komendę podnieśli na mnie wzrok.

— Doskonale — stwierdziłem bez dodatkowych komentarzy. — Proszę zebrać wszystkie swoje rzeczy i włożyć na siebie całą odzież. Wyruszamy natychmiast.

W rzeczywistości ruszyliśmy dopiero po godzinie. Nie uruchamialiśmy traktora od dobrych dwóch tygodni i namęczyliśmy się porządnie, nim zapuściliśmy silnik. Wreszcie motor zagrał z hukiem. Wszyscy pasażerowie z niepokojem przyglądali się hałasującej maszynie. Wiedziałem, o czym myślą. Mieli przebywać w tym hałasie przez wiele dni i nocy. Nie wzruszyło mnie jednak ich przerażenie. I tak będą w lepszej sytuacji niż ja. Będą siedzieli w drewnianej kabinie, gdy

tymczasem ja, prowadząc pojazd, prawie cały czas będę przebywał na zewnątrz.

Pożegnaliśmy się z Jossem. Uścisnął rękę Jackstrawowi, mnie, Margaret Ross i Marii le Garde.

Ostentacyjnie nie pożegnał się z innymi. Pozostawiliśmy go stojącego obok pomostu. Jego samotna sylwetka była jeszcze długo widoczna w bladej poświacie księżyca. Ruszyliśmy na północny zachód, w kierunku odległego o pięćset kilometrów Uplavnika.

Zastanawiałem się, czy mam prawo wystawiać Jackstrawa na niebezpieczeństwa, które nas niewątpliwie czekają. Siedział obok mnie, w milczeniu spoglądając na tarczę księżyca. Kątem oka widziałem jego szlachetną twarz, która gdyby nie wystające kości policzkowe, przypominałaby oblicza legendarnych wikingów. Dostrzegłem, że niepotrzebnie robiłem sobie wyrzuty. Mimo że Jackstraw był moim podwładnym, to podobnie jak wszyscy Grenlandczycy znajdujący się na innych stacjach badawczych był zaangażowany przez rząd duński w charakterze oficera naukowego. Miał dyplom wydziału geologii uniwersytetu w Kopenhadze i znał dużo więcej tajemnic lodowców, niż ja mógłbym kiedykolwiek poznać. Wiedziałem, że w krytycznych chwilach zrobi wszystko, dużo więcej niż ja. Wiedziałem również, że nie pozostałby w baraku nawet wówczas, gdybym wydał mu takie polecenie. Był zbyt lojalny w stosunku do mnie i doskonale zdawał sobie sprawę, że tylko i wyłącznie on może mi pomóc w groźnych chwilach, które niewątpliwie czekały nas podczas tej podróży. Pamiętałem o tym wszystkim, a mimo to trudno mi było wymazać z pamięci jego młodą żonę i małą córeczkę, jego mały domek z czerwono — białej cegły, w którym — zaproszony przez niego ubiegłego lata — spędziłem kilka tygodni. Nie wiedziałem, o czym w owej chwili myśli. Siedział nieruchomo, jakby był wyrzeźbiony z kamienia. Żył tylko jego oczy, badawczo spoglądające na lód i śnieg. W tej chwili reagował wyłącznie instynktownie. Niebezpieczny, poprzecinany szczelinami rejon znajdował się w odległości trzystu pięćdziesięciu kilometrów od nas, w miejscu, gdzie lodowiec zaczynał spływać do oceanu.

Temperatura spadła już do trzydziestu pięciu stopni poniżej zera, ale noc była idealna do podróży: bez wiatru, księżycowa, z niebem pełnym gwiazd i nadzwyczajną widocznością. Przed nami rozciągała się olbrzymia lodowa przestrzeń. Silnik pracował regularnie. Gdyby nie przenikający całe ciało mróz i ogłuszający huk motoru, prowadzenie pojazdu sprawiałoby mi nawet przyjemność.

Obszerna drewniana kabina nie pozwalała mi dostrzec tego, co dzieje się z tyłu, ale Jackstraw co dziesięć minut zeskakiwał na lód i czekał, aż go minimy.

Za traktorem i kabiną, w której marzli rozbitkowie — pod podłogą kabiny był umieszczony zbiornik z benzyną, a za nią blaszanki i z tego powodu nie rozpalano w czasie drogi pieca — posuwały się wielkie sanie ze wszystkimi naszymi zapasami, na które złożyło się pięćset litrów benzyny, żywność, pneumatyczne materace i śpiwory, namioty, liny, topory, łopaty, chorągiewki do sygnalizacji, akumulatory do kuchni, mięso focze dla psów, różnego rodzaju lampy, ekwipunek medyczny, radiosondy, rakiety świetlne i cała masa innych rzeczy, jak chociażby butle zawierające wodór do balonów sygnalizacyjnych oraz same balony, które zostały zapakowane do specjalnych zasobników. Urządzenia te niejednokrotnie już ratowały ekspedycje, które zabłądziły na lodowcu z powodu rozregulowania się kompasów.

Za tymi ciężkimi, wielkimi saniami posuwały się przyczepione do nich małe i w tej chwili puste sanki, do których przywiązano na długich rzemieniach psy. Wyjątek stanowił tylko Balto, który biegał swobodnie raz przed, raz znów za traktorem. Kiedy ostatni pies mijał Jackstrawę, ten pędem ruszał za traktorem, doganiał go i wskakiwał na siedzenie obok mnie.

Pierwsze trzydzieści pięć kilometrów minęliśmy bez żadnych przeszkód. Kiedy cztery miesiące temu odbywaliśmy podróż w odwrotnym kierunku, ustawialiśmy co osiemset metrów maszty z wielkimi chorągiewkami. Podczas tak jasnej nocy jak obecna, jaskrawopomarańczowe chorągwie, umocowane na głęboko w śniegu zakotwiczonych aluminiowych masztach, były widoczne z

daleka. Zawsze widzieliśmy dwie naraz, czasami nawet trzy. Doliczyliśmy się dwudziestu ośmiu chorągwi kierunkowych; kilkunastu brakowało. Mogliśmy zgubić je z oczu w związku z nagłym obniżeniem się terenu, ale niewykluczone, że zostały zniesione przez wicher.

— No cóż, Jackstraw — odezwałem się pozbawionym wesołości głosem — jednemu z nas będzie naprawdę zimno.

— Było nam już zimno, doktorze Mason. Mnie pierwszemu w szczególności.

Zdjął kompas z podstawy i rozkręcając umieszczony pod deską rozdzielczą kabel elektryczny, zeskoczył na ziemię. Zszedłem także, aby mu pomóc.

Biegun magnetyczny nie pokrywa się z biegunem geograficznym, ale leży o ponad tysiąc pięćset kilometrów na południowy zachód od bieguna geograficznego. Wiedzieliśmy, że pod tymi szerokościami kompas magnetyczny może oddać olbrzymie usługi tylko pod warunkiem, że umie się wprowadzać doń poprawki. Ale naturalnie w związku z oddziaływaniem wielkiej masy metalu kompas ten był zupełnie bezużyteczny na traktorze. Działaliśmy więc w sposób następujący: jeden z nas siadał z busołą na psich saniach, jadących w odległości jakichś dwudziestu metrów za traktorem, i z tego miejsca — używając urządzeń niezbyt skomplikowanego systemu sygnalizacyjnego — prowadził kierowcę, wskazując mu przez zapalenie na desce rozdzielczej traktora czerwonego bądź zielonego światełka, czy ma skręcić w lewo czy w prawo. Była to stara i często w Arktyce używana metoda.

Jackstraw usadowił się na saniach, a ja powróciłem do traktora, odchylając po drodze brezentową zasłonę zamykającą kabinę. W bladym świetle małej żaróweczki zobaczyłem moich pasażerów, stłoczonych, straszliwie bladych, szczękających zębami. Ich oddechy utworzyły pokrywającą wszystkie ściany grubą powłokę szronu. Nie byłem jednak w nastroju, aby widok ten, z pewnością przykry, mógł mnie poruszyć.

— Musieliśmy się zatrzymać, ale za chwilę ruszamy dalej — powiedziałem. — Potrzebny mi

jest ktoś z was do pomocy.

Zagero i Corazzini zaproponowali natychmiast swoje usługi. Pokręciłem głową.

— Śpijcie albo odpoczywajcie. Przydacie mi się później. A może pan, panie Mahler?

Był bardzo blady i sprawiał wrażenie chorego, ale podniósł się bez protestu.

— Corazzini i ja jesteśmy prawdopodobnie bardziej podejrzani? — odezwał się spokojnym głosem Zagero.

— Nie umieściłbym was na ostatnim miejscu mojej listy — odpowiedziałem sucho.

Zaczekałem, aż Mahler wyjdzie z kabiny, opuściłem zasłonę i zająłem miejsce przy kierownicy.

Teodor Mahler stał się bardzo rozmowny, co — przyznam szczerze — zdziwiło mnie ogromnie.

Być może zmusiła go do tego samotność albo ocena sytuacji, a może w ten sposób próbował odwrócić od siebie podejrzenie...

Dopiero znacznie później zdałem sobie sprawę z tego, jak źle go oceniałem.

— No cóż, panie Mahler, wydaje mi się, że pańska podróż do Europy nie będzie taka prosta.

— Nie do Europy, doktorze Mason, do Izraela — sprostował. Zęby szczękały mu jak karabin maszynowy.

— Pan tam mieszka?

— W życiu tam nie byłem. — Zamilkł, a po chwili mruknął coś, z czego wyłowiłem tylko jedno słowo: dom.

— Więc co, na starość zaczyna pan nowe życie, panie Mahler?

— Jutro kończę sześćdziesiąt dziewięć lat. Chcę pobyć jeszcze w kraju swoich przodków.

— I chce się pan tam zadomowić po sześćdziesięciu dziewięciu latach spędzonych w innym kraju?

— Miliony Żydów robią to od dziesięciu lat. A zresztą nie spędziłem całego życia w Stanach Zjednoczonych. Wiele lat przeżyłem w Europie.

Opowiedział mi swoją historię. Był jednym z milionów rosyjskich Żydów — największego skupiska Żydów na świecie, uwięzionych w Rosji przez lata. W 1905 roku, gdy ostatni z carów, szukając kozła ofiarnego po przegranej wojnie z Japonią, urządził krwawą masakrę Żydów, zdążył uciec wraz z ojcem, pozostawiając w Rosji matkę i braci. Jak się później dowiedział, matka zaginęła bez śladu, bracia zaś przeżyli po to tylko, by po latach umrzeć w męczarniach w komorach gazowych Trebłinki i Oświęcimia. On sam zaczepił się w Nowym Jorku do pracy w przemyśle tekstylnym, skończył studia wieczorowe, znalazł pracę w przemyśle naftowym, ożenił się, a kiedy żona umarła wiosną tego roku, postanowił wypełnić odwieczne posłanie swej rasy i na starość wrócić do świętej ziemi. Słyszałem tę historię sto razy, w stu wariacjach.

Była okropnie wzruszająca i patetyczna, tyle że nic a nic w nią nie wierzyłem.

Zmieniałem się z Jackstrawem co dwadzieścia minut i w ten sposób mijały nam długie nocne godziny. Mróz był coraz silniejszy. Gdy księżyc znikł na horyzoncie i mroki arktycznej nocy spowiły nas niby całun, zwolniłem bieg traktora, a w końcu zatrzymałem go. Cieszyłem się.

Nareszcie cisza, cisza, która dla mnie stała się słodyczą i rozkoszą.

Kiedy wypiliśmy kawę bez cukru, oznajmiłem pasażerom, że zatrzymaliśmy się tylko na trzy godziny i dobrze byłoby, gdyby spróbowali spać, naturalnie, jeżeli potrafią. Wszyscy mieliśmy czerwone oczy i dosłownie padaliśmy ze zmęczenia, ale mogliśmy sobie pozwolić tylko na trzy godziny odpoczynku, ani minuty więcej. Taka pogoda była w Grenlandii rzadkością i należało maksymalnie wykorzystać ten szczęśliwy przypadek.

Wypiłem kawę, siedząc obok Teodora Mahlera. Był wyraźnie nie w formie, nerwowy, roztargniony. Nietrudno było odgadnąć dlaczego. Opróżniwszy filiżankę szepnąłem mu, że chcę z nim porozmawiać na osobności.

Spojrzał zdumiony, przez chwilę wahał się, wreszcie skinął głową, wstał i wyszedł ze mną.

Zatrzymałem się sto metrów za traktorem, zapaliłem latarkę i oświetliwszy jego twarz,

wyciągnąłem moją beretę tak, żeby zobaczył jej lufę w jasnym świetle. Oddychał gwałtownie, patrząc na mnie przerażonymi oczami.

— Niech pan pozostawi tę komedię dla sądu, Mahler — powiedziałem ponurym głosem. — To mnie nie interesuje. Chcę tylko dostać pański rewolwer.

WTOREK, SIÓDMA RANO — ŚRODA, PÓLNOC

— Mój rewolwer? — Mahler powoli podniósł ręce do góry. Głos, który wydobywał się z jego krtani, drżał z niepewności. — Nie rozumiem, doktorze Mason. O co panu chodzi? Ja nie mam rewolweru.

— No, tak. To oczywiste! — Poruszyłem pistoletem, aby podkreślić to, co powiedziałem. — Proszę się odwrócić!

— Co pan chce zrobić! Czy pan chce mnie...

— Proszę się odwrócić!

Odwrócił się posłusznie. Zbliżyłem się na dwa kroki, oparłem lufę pistoletu o jego plecy i zrewidowałem go. Miał na sobie dwa palta, marynarkę, kilka szalików, dwie pary spodni i olbrzymią ilość bielizny. Zrewidowanie go nie należało do rzeczy łatwych. Straciłem ponad minutę, aby przekonać się, że nie miał żadnej broni. Cofnąłem się. Wówczas odwrócił się powoli i spojrzał na mnie.

— Mam nadzieję, że jest pan teraz zadowolony, doktorze Mason?

— Zobaczmy jeszcze, co pan ma w swojej walizce. Jeśli zaś chodzi o inne sprawy, rzeczywiście jestem usatysfakcjonowany. Mam wszystkie dowody, których szukałem. — Skierowałem światółko latarki na dłoń pełną cukru, znalezionej w kieszeni jego drugiego palta. Miał go tam ponad pół kilograma. — Może mi pan wytłumaczyć, skąd pan to ma, panie Mahler?...

— Czy koniecznie muszę panu mówić? — szepnął. — Ukradłem go, doktorze Mason.

— Tak, ukradł pan. Przejawia pan zadziwiającą aktywność, jak na osobę w pańskim wieku. Tę

rewizję zawdzięcza pan czystemu przypadkowi. Spojrzałem na pana w chwili, kiedy oznajmiono o kradzieży cukru. Nie miał pan również szczęścia w kabinie traktora. Gdy piliśmy kawę, udało mi się, korzystając z ciemności, skosztować pańskiej. Była tak słodka, że nie mogłem jej wypić. Cóż, taki drobiazg też może skompromitować człowieka. Wydaje mi się nawet, że zawsze tak się dzieje.

Nie ma przestępców, którzy nie potknęliby się na drobnych omyłkach. Gdyby pan nie wziął tego cukru w tym samym czasie, gdy rozbijał pan zapasowe części do radia, nie spostrzegłbym niczego.

A tak między nami, co pan zrobił z resztą cukru? Czy pan go schował? A może wyrzucił go pan?

— Popełnia pan olbrzymi błąd, doktorze Mason — Mahler mówił teraz bardzo spokojnym głosem. — Nie dotknąłem tych lamp radiowych. Wziąłem tylko kilka garści cukru z worka, który wówczas był jeszcze nienaruszony.

— Naturalnie, naturalnie — odpowiedziałem grożąc mu pistoletem. — Wracamy do kabiny, zobaczymy, co pan ma w swoich walizkach.

— Nie!

— Niech pan nie będzie śmieszny. — Przyłożyłem lufę do jego piersi. — Mam pistolet i proszę mi wierzyć, że jeśli zajdzie potrzeba, nie zawaham się go użyć.

— Wierzę panu. Wiem, że potrafi pan być gwałtowny, jeśli wymaga tego sytuacja. Niech pan się uspokoi, doktorze. Jestem przekonany, że jest pan twardym, upartym i wybuchowym człowiekiem, ale niezbyt dobrym psychologiem. Wobec tego jednak, że szanuję pańskie stanowisko, niezwykle trudne, i doceniam sytuację, w jakiej pan się znalazł, postaram się uczynić tak, by się pan nie ośmieszył publicznie. — Wsunął prawą rękę do wewnętrznej kieszeni palta. — Czy pozwoli pan, że panu coś pokażę?

Zacisnąłem palec na spuście. Gest ten okazał się jednak zupełnie niepotrzebny. Spokojnie podał mi skórzany portfelik. Cofnąłem się kilka metrów, otworzyłem go i rzuciłem okiem na zawartość.

Wystarczyło mi krótkie spojrzenie. W mojej karierze lekarskiej widziałem takie karty już setki

razy, ale tej przyglądałem się tak, jakby mi pokazano coś takiego po raz pierwszy w życiu.

Wyłoniła się przede mną zupełnie nowa okoliczność, obalając wszystkie moje dotychczasowe domniemania. Potrzebowałem trochę czasu, aby zrozumieć i uspokoić się, a także pokonać obawę, która mnie nagle ogarnęła. Pojąłem to, co powinienem był pojąć. Powoli zamknąłem portfelik i podniosłem śniegową maskę. Następnie podszedłem do Mahlera i również podniosłem mu maskę.

Jego twarz była sina z zimna, mięśnie napięte. Usiłował opanować szczękanie zębów.

— Proszę chuchnąć.

Zrobił, co mu kazałem. Trudno było się pomylić. Poczulem słodkawy zapach acetonu, charakterystyczny dla bardzo zaawansowanego stadium choroby. Bez słowa zwróciłem mu portfelik i schowałem pistolet. Kiedy się odezwałem, głos mój był spokojny:

— Jak długo pan już choruje, panie Mahler?

— Trzydzieści lat.

— To bardzo zaawansowane stadium.

Nie musiałem szukać wybiegów i kierować się ostrożnością w zadawaniu pytań, jak to czynią moi koledzy.

Diabetyk w pewnym wieku może pozostać przy życiu tylko pod warunkiem skrupulatnego przestrzegania diety oraz przyjmowania przepisanych mu przez lekarza środków. Zazwyczaj ludzie ci zdają sobie doskonale sprawę ze swojego stanu zdrowia.

— Mój lekarz z pewnością zgodziłby się z pańską opinią. — Kiedy opuszczał na twarz maskę śniegową, zauważyłem na jego wargach uśmiech. Był to jednak uśmiech pozbawiony wszelkiej radości. — Również moje zdanie jest identyczne.

— Dwa zastrzyki dziennie?

— Tak, dwa. — Skinął głową. — Jeden przed śniadaniem, drugi wieczorem.

— Ale przecież nie ma pan ze sobą strzykawki i...

— Zazwyczaj mam — przerwał. — Ale tym razem rzeczywiście nie. Lekarz w Gander zrobił mi zastrzyk i na ogół znoszę kilka godzin opóźnienia bez większych sensacji. Myślałem, że w Londynie zrobią mi drugi zastrzyk. — Uderzył się w piersi i dodał: — Ten dokument jest ważny wszędzie, na całym świecie.

— Tylko nie na lodowcu w sercu Grenlandii — powiedziałem niechętnie. — Ale nie wyobrażam sobie, żeby mógł pan przewidzieć tę dodatkową przerwę. Co pan otrzymuje?

— Proteinę i amidon.

— I dlatego cukier? — Patrzyłem na kryształki cukru, które przylepiły się do mojej dłoni.

— Nie — odpowiedział wzruszając ramionami. — Wiem jednak, że używa się cukru, żeby nie zapaść w śpiączkę.

Pomyślałem, że może dobrze będzie, jeżeli objem się nim... W każdym razie wie pan już, dlaczego zostałem złodziejem.

— Tak. Wiem. Proszę mi wybaczyć moje zachowanie, panie Mahler. Mam nadzieję, że zdaje sobie pan sprawę z tego, że muszę się wszystkich strzec. Ale dlaczego pan mi o tym nie powiedział? Przecież wie pan chyba, że jestem lekarzem.

— Prawdopodobnie musiałbym panu o tym powiedzieć wcześniej lub później, ale teraz ma pan tyle własnych kłopotów, że nie chciałem zawracać panu głowy moimi. Domyślam się, że nie ma pan w swoich zapasach insuliny.

— To prawda; nie jest nam potrzebna. Każdy z nas musi przejść przed wyjazdem bardzo dokładne badania.

Rzadko się zdarza, by diabetyk przyjeżdżał do nas z wizytą na okres czterdziestu ośmiu godzin... Podziwiam pański spokój. Chodźmy, wracajmy do traktora!

Przybyliśmy tam w minutę później. Odciągnąłem ciężki brezent. Natychmiast buchnęła biała chmura, powstała na skutek zetknięcia się ciepłego powietrza wnętrza z mroźnym z zewnątrz.

Pomachałem ręką, aby rozbić mgiełkę, i zajrzałem do środka. Wszyscy jeszcze pili kawę. Był to jedyny artykuł, którego mieliśmy pod dostatkiem. Z trudem uświadomiłem sobie, że Mahler wraz ze mną opuścił kabinę zaledwie kilka minut temu.

— Proszę się pospieszyć — powiedziałem bez wstępu. — Ruszamy za pięć minut. Jackstraw, niech pan zapuści motor! Nie chcę, żeby za bardzo ostygł.

— Już ruszamy!?! — Protestowała naturalnie pani Dandsby–Gregg. — Przyjacielu, przecież dopiero się zatrzymaliśmy! Obiecał pan trzy godziny snu.

— Obiecałem, nie znając stanu zdrowia pana Mahlera. — W krótkich słowach przekazałem im to, co uznałem za stosowne. — Być może nie należy tego mówić w obecności pana Mahlera — powiedziałem — ale fakty są brutalne. Osoba, która spowodowała wypadek samolotu i ukradła cukier, naraża pana Mahlera na największe niebezpieczeństwo. Tylko dwa środki mogłyby go uratować: insulina albo kaloryczne odżywianie, które w pewnym stopniu mogłoby zastąpić insulinę. Nie mamy ani jednego, ani drugiego. Wszystko, co możemy zrobić, to spróbować dostarczyć panu Mahlerowi albo jedno, albo drugie, i to jak najszybciej. Od tego miejsca aż do wybrzeża silnik traktora nie zatrzyma się ani na chwilę, chyba że rozpęta się burza śnieżna albo ostatni kierowca spadnie z siedzenia. Czy są jakieś sprzeciwy?

Było to pytanie żalosne, brutalne w swojej głupocie, zupełnie niepotrzebne. Demaskowało stan napięcia nerwowego, w jakim się znajdowałem. Sądzę, że byłbym zadowolony, gdyby ktoś zaprotestował. Miałbym wtedy ofiarę, przeciw której mógłbym skierować cały swój gniew. W ten sposób choć w części mógłbym zemścić się na tych, którzy dolali jeszcze jedną kroplę do kielicha rozpacz. Czułem, że wszystkie nasze wysiłki ratowania Mahlera zostaną zniweczone, gdy nadejdzie moment, w którym mordercy postanowią sami się zdemaskować. Opanowała mnie szaleńcza myśl, aby związać ich wszystkich razem wewnątrz kabiny. Sądzę, że gdyby nie fakt, iż znajdowaliśmy się w tym przeklętym miejscu, zamiar swój zrealizowałbym bez wahania. Nie

mogłem tego jednak uczynić. Unieruchomiona osoba nie przeżyłaby w tym zimnie dłużej niż dwie godziny.

Nie spotkałem się z żadnym głosem protestu, prawdopodobnie dlatego, że było im zbyt zimno i byli zbyt głodni oraz zbyt zmęczeni, by zdobyć się na jakikolwiek opór. Z powodu szybkiego parowania, na które jest narażone stosunkowo ciepłe i wilgotne ciało ludzkie, pragnienie w tym niezwykle suchym i mroźnym klimacie stanowi problem. Rozbitkowie, ludzie nie znający Arktyki, wyobrażali sobie zapewne, że osiągnęli już szczyt cierpień i nic gorszego nie może już ich spotkać.

Miałem nadzieję, że dopiero później zdadzą sobie sprawę, iż to jeszcze nie wszystko.

Nie było więc żadnych sprzeciwów, jedynie Nick Corazzini wystąpił z dwiema propozycjami.

— Panie doktorze — powiedział — żeby zachować konieczny reżim żywnościowy pana Mahlera, trzeba dać mu maksimum kalorii. Przecież możemy podwoić jego rację żywności?...

Wydaje mi się jednak, że nawet wówczas stanowiłoby to porcję wystarczającą dla wróbelka! Czy nie byłoby lepiej, gdyby każdy z nas po prostu oddał mu jedną czwartą swojej normy? W ten sposób pan Mahler miałby prawie cztery razy więcej niż dotychczas.

— O, nie! — zaprotestował Mahler. — Dziękuję, panie Corazzini, ale nie mogę na to pozwolić!

— To doskonała myśl — przerwałem. — Właśnie tak sobie to wyobrażam.

— Świetnie! — stwierdził z uśmiechem Corazzini.

— Przyjęte jednogłośnie. Uważam również, że posuwalibyśmy się znacznie szybciej, gdybyśmy razem z panem Zagero mogli pana zastępować przy kierownicy. — Podniósł rękę, jakby tym gestem pragnął powstrzymać mój protest. — Być może on i ja jesteśmy tymi ludźmi, których pan szuka, być może jesteśmy pańskimi mordercami, bo przecież chodzi o dwóch mężczyzn, prawda?

Orientuje się pan jednak, że jeśli nawet jestem jednym z tych morderców, to wobec tego, że zupełnie nie znam Arktyki i nie mam pojęcia o nawigacji, a również o pracy tego przeklętego traktora, nie jestem w stanie przedsięwziąć czegokolwiek, przynajmniej dopóty, dopóki nie znajdę

się w pobliżu wybrzeża. Zgadza się pan chyba ze mną, doktorze?

— Zgoda — odpowiedziałem i w tej samej chwili usłyszałem huk. To Jackstraw zapuścił silnik, który na szczęście nie zdążył jeszcze ostygnąć. Spojrzałem na Corazziniego. — Doskonale. A teraz proszę za mną, zaczniemy pierwszą lekcję prowadzenia.

Ruszyliśmy o godzinie siódmej trzydzieści rano, przy doskonałych warunkach meteorologicznych. Na lodowcu panowała zupełna cisza. Czarne niebo nie nosiło śladu choćby najmniejszej chmurki. Gwiazdy wydawały się bardzo odległe. Były blade, drżały nierealnie, sprawiając wrażenie powoli spadających z firmamentu kryształów. Nie można sobie było wymarzyć lepszej widzialności. Potężne reflektory Citroena, które niosły na odległość co najmniej trzystu metrów, przesywały ciemności. Mróz był duży i rósł z godziny na godzinę. Traktorowi to jednak nie przeszkadzało.

Od samego początku podróży dopisywało nam szczęście. Balto, który cały czas biegł wolno, bez upręży, pojawił się nagle i zatrzymał obok sań z zapasami, poszczekując głośno na swego pana. Jackstraw dał mi sygnał do zatrzymania się. Dwie minuty później podszedł do mnie, by powiedzieć, że Balto znalazł jedną z zagubionych chorągwi sygnalizacyjnych. Był to dobry znak. Oznaczał on, że nasze obliczenia, poczynione podczas poprzedniej nocy, były niezwykle dokładne, i że byliśmy na dobrej drodze. Oznaczało to również, oczywiście wówczas, gdyby dwie pierwsze chorągwie zapowiadały całą ich serię, że możemy obyć się bez nawigatora i zdrzemnąć się wreszcie. Naturalnie, jeśliby można było spać przy tym mrozie i w trzęsącej się kabinie. Gdyby chorągiew ta była pierwszą z niezliczonej ilości, która miałaby prowadzić nas przez cały dzień, wówczas Jackstraw, Zagero, Corazzini i ja moglibyśmy się zmieniać przy kierownicy, podczas gdy senator, pastor Smallwood i Solly Levin pełniliby straż. Tak się też stało.

Po ośmiu godzinach — nasze zmiany były godzinne — pozostawiłem przy kierownicy Corazziniego, który doskonale dawał sobie z nią radę. Wszedłem do kabiny i poprosiłem, aby

senator zajął miejsce obok kierowcy.

Postanowiłem złagodzić środki ostrożności zachowywane na tego typu traktorach i rozpałiłem na nim ogień podczas jazdy. Nawet najbardziej surowe przepisy mogą być stosowane tylko do pewnego momentu. Czasami trzeba o nich zapomnieć. Uznałem, że taka chwila nadeszła. Nie chodziło mi bynajmniej o ciepło i komfort pasażerów. Nie chodziło mi również o to, aby stworzyć stałą rezerwę ciepłej wody, która mogłaby posłużyć jako ratunek w wypadku powstania odmrożeń. Chodziło mi wyłącznie o życie Teodora Mahlera. Postępując nawet tak, jak radził Corazzini, dawaliśmy mu dużo za mało. Nie mogliśmy mu zapewnić wyżywienia, które zastąpiłoby insulinę. Jediną szansę przeżycia, nawet jeśli była ona bardzo mała, stwarzało zapewnienie mu ciepła i odpoczynku. Aby to osiągnąć, należało chronić go przed jakąkolwiek pracą, nawet najlżejszą. Musiał leżeć nieruchomo. Dałem mu śpiwór, ułożyłem na pościeli i okryłem dwoma grubymi kocami. Była to moja pierwsza czynność, jaką wykonałem, gdy tylko znalazłem się w kabynie. Wiedziałem, że leżąc nieruchomo, nie będzie mógł opanować ogarniającego całe ciało zimna. Dlatego postanowiłem zapewnić mu ciepło z pieca oraz gorące napoje, których przygotowaniem obarczyłem Margaret Ross. Miała mu je podawać co dwie godziny. Mahler wprawdzie protestował, ale jednocześnie był na tyle inteligentny, by zdawać sobie sprawę, że była to dla niego jedyna szansa ratunku. Wiedział, że musi wykonywać wszystkie moje polecenia.

W pierwszym momencie nie mogłem pojąć, dlaczego wszyscy pasażerowie zaczęli nagle troszczyć się o los Teodora Mahlera. Niedługo musiałem się jednak zastanawiać, aby zrozumieć, że przyczyną tego zainteresowania nie była bynajmniej miłość bliźniego, która dla wielu z nich była czymś nowym, lecz jedynie egoizm. Przecież Mahler jako człowiek chory dostarczał im wszystkim powodu, przyjętego zresztą z radością, dzięki któremu można było zapomnieć o własnych troskach i niepokojach, jakie ogarnęły wszystkich w ciągu ostatnich godzin.

Atmosfera panująca od wyruszenia z bazy sprawiła, że pasażerowie podzielili się na małe

grupki. Rozmawiano ze sobą tylko z konieczności.

Maria le Garde i Margaret Ross, które zdawały sobie sprawę, że nie są podejrzane, trzymały się na uboczu, rozmawiając wyłącznie ze sobą. Podobnie zachowywali się Zagero i Solly Levin, jak również — co było zupełnym zaskoczeniem — pani Dandsby–Gregg i jej pokojówka Helena.

Winne czy też nie, rozumiały, że mogą się nie obawiać wyłącznie siebie. Mogły naturalnie mieć, jak zresztą i inni pasażerowie, zaufanie do Marii le Garde i Margaret Ross, ale fakt, że obie te panie nie mogły ufać im, sprawił, iż zachowywały się tak a nie inaczej. Jeżeli chodzi o Corazziniego, pastora Smallwooda, senatora i Mahlera, każdy z nich pozostawał w swoim kącie.

W takiej sytuacji było zupełnie oczywiste, że wszyscy ucieszyli się, mając temat do rozmów oraz wspólny obiekt zainteresowania. Teodor Mahler, byłem tego pewien, stał się najlepiej pielęgnowanym chorym, jakiego kiedykolwiek spotkałem.

Rozpałiłem piecyk naftowy i regulowałem jego płomień, gdy Zagero zawołał mnie ze swego miejsca na przodzie traktora.

— Dzieje się coś niezwykłego, doktorze! Pan będzie łaskaw tu przyjść!

Wyskoczyłem z kabiny, żeby zobaczyć, co się stało. Wysoko nad horyzontem rozciągała się olbrzymia, oświetlona bladym światłem, falująca przestrzeń. Zanikała i ukazywała się ponownie.

Rosła, wznosząc się za każdym pojawieniem się coraz wyżej. Z początku wyglądała jak blada plama na granatowym niebie, stopniowo jednak nabierała wyraźnych kształtów i kolorów.

— To zorza polarna, panie Zagero — wyjaśniłem. — Czy widzi ją pan po raz pierwszy?

Potwierdził skinieniem głowy.

— Tak. Wspaniała, prawda?

— O, to jeszcze nic, to załedwie początek — odpowiedziałem. — Dziś wieczorem zobaczy pan prawdziwą zasłonę. Bywają różne, w kształcie firanek, łuków, koron. To, co pan widzi w tej chwili, to zorza w kształcie piramid. Ma pan szczęście, te są najpiękniejsze.

— Często je pan widywał, doktorze?

— Zawsze wtedy, kiedy jest zimno, jasno i nie ma wiatru. Można do nich tak przywyknąć, że nie zwraca się na nie uwagi.

— Nie mogę w to uwierzyć, przecież to nadzwyczajne! Czy można się tym zmęczyć?

Chciałbym, żeby ukazywała się codziennie! Nie musi jej pan oglądać, doktorze.

— Jeżeli ma pan ochotę wydostać się stąd, lepiej byłoby, żebyśmy jej zbyt często nie widywali

— odpowiedziałem poważnie.

— Ależ dlaczego?

— Dlatego, że podczas zorzy polarnej odbiór radiowy jest zupełnie niemożliwy.

— Odbiór radiowy? — powtórzył marszcząc czoło. — Cóż mamy do stracenia? Radio w baraku jest nie do użytku, a pańscy towarzysze są coraz dalej od nas. Nie można się skontaktować ani z barakiem, ani z drugą grupą ekspedycji.

— Wiem o tym, ale będziemy mogli skontaktować się z naszą bazą w Uplavnik, kiedy znajdziemy się bliżej wybrzeża — odparłem.

W ułamku sekundy zdałem sobie sprawę z tego, co powiedziałem. Powinienem był zachować tę informację dla siebie. Było bardzo mało prawdopodobne, by Uplavnik znajdował się w odpowiednim dla nas momencie na nasłuchu i na dobrej częstotliwości. Szansa taka była właściwie minimalna, ale istniała. Gdyby się tak zdarzyło, moglibyśmy poprosić ich, żeby ogłosili alarm, żeby przyszli nam z pomocą, nim zbrodniarze zdecydują się na działanie. Teraz jednak Zagero — jeżeli był jednym z morderców — z pewnością postara się, by stacja nadawcza, umieszczona na traktorze, była nie do użycia, gdy znajdziemy się w zasięgu Uplavnika.

Przekląłem swoją głupotę i rzuciłem szybkie spojrzenie na boksera, ale jego twarz miała zupełnie normalny wyraz. Nie oznaczało to naturalnie niczego. Był z pewnością na tyle inteligentny, żeby zachować się jak doskonały aktor, który zawsze umie zapanować nad swoimi

uczuciami. Pomyślałem, że prawdopodobnie obaj mordercy muszą być doskonałymi aktorami.

Odwrociłem się. Tym razem Johnny Zagero znalazł się na pierwszym miejscu mojej listy.

Dotknąłem ręką ramienia Margaret Ross.

— Chciałbym z panią pomówić. Naturalnie, jeżeli nie przeraża pani mróz.

Spojrzała na mnie zdziwiona, przez chwilę wahała się, wreszcie dała znak, że się zgadza.

Zeskoczyłem z traktora, podałem jej rękę i pomogłem usadowić się na wielkich saniach, które właśnie przejeżdżały obok nas. Przez kilkanaście sekund siedzieliśmy na nich nieruchomo.

Zastanawiałem się, od czego rozpocząć rozmowę. Przyglądałem się zorzy, która rosła z każdą chwilą; mimo swego piękna nie sprawiała na mnie większego wrażenia, ale Margaret Ross wpatrywała się w nią jak urzeczona. Kiedy wreszcie odwróciła do mnie głowę, spytałem:

— Co pani sądzi o ostatnich wydarzeniach?

— Pan Mahler? — Podniosła maskę śniegową. Pochyliłem się, by usłyszeć, co mówi cichym, spokojnym głosem, zagłuszonym w dodatku przez warkot silnika. — Cóż można powiedzieć na temat tak straszliwych wypadków? Co można w ogóle mówić o sytuacji, w jakiej znajduje się Mahler? Proszę mi powiedzieć, doktorze, czy ten biedny człowiek ma jakiegokolwiek szanse ocalenia?

— Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Odgrywa tu rolę zbyt wiele czynników. Nie mogę nic przewidzieć. Czy wie pani, że kiedy panią wykreśliłem z mojej listy podejrzanych, jego umieściłem na pierwszym miejscu?

— Nie!

— Tak, to prawda. Wydaje mi się, że jako detektyw niewiele jestem wart. Nawet przy jakich takich zdolnościach empirycznych, które pozwoliły mi zmniejszyć o dwóch liczbę podejrzanych, absolutnie nic nie potrafię wydedukować.

Opowiedziałem jej o scenie, jaka rozegrała się między mną a Mahlerem podczas postojów.

— W tej chwili jest pan znów w bardzo niewygodnej sytuacji, właściwie w identycznej jak poprzednio — zauważyła, kiedy zakończyłem swoją opowieść. — Wydaje mi się, że jedyne, co można zrobić, to czekać na rozwój wypadków.

— Czy mamy czekać, aż ostrze miecza spadnie nam na szyję? — powiedziałem rozgoryczony.

— Nie mogę się z panią zgodzić. Ale aby dedukować, należy znać fakty, dlatego poprosiłem tu panią, licząc, że pomoże mi pani zorientować się w tym wszystkim.

— Zrobię, co tylko będę mogła. Obiecuję panu. — Podniosła głowę. Zorza znów zapłonęła. — Nie wiem dlaczego — powiedziała — ale ogarnia mnie coraz większy chłód... wydaje mi się, że opowiedziałam już panu wszystko, co wiem, wszystko, co mogłam sobie przypomnieć, doktorze Mason.

— Jestem tego pewien. Być może jednak zapomniała pani o pewnych sprawach z tej prostej przyczyny, że nie wydały się pani tak bardzo ważne. Dotychczas trzy pytania pozostały bez odpowiedzi. W jaki sposób została spowodowana katastrofa? W jaki sposób zatruto kawę? W jaki sposób zniszczono nadajnik? Jeżeli potrafimy znaleźć odpowiedź choćby na jedno z tych pytań, zbliżymy się znacznie do celu.

Po dziesięciu minutach rozmowy, a było to dziesięć minut, podczas których nasze ciała przenikał straszliwy mróz, byliśmy ciągle jeszcze bardzo dalecy od znalezienia jakiegokolwiek rozwiązania. Uważnie słuchałem relacji Margaret Ross o tym, jak po odprawie celnej zaznajomiła się z pasażerami, jak zaprowadziła ich do samolotu i wskazała właściwe miejsca. W myślach towarzyszyłem każdemu jej krokowi na pokładzie samolotu. W czasie lotu do Gander, podczas lądowania i startu z Gander. Wraz z nią podawałem posiłki, a mimo to ciągle nie mogłem znaleźć nic, co mogłoby mi pomóc w zrozumieniu przyczyn katastrofy. Nagle, kiedy opowiadała mi, co działo się podczas spożywania posiłku, jej głos zmienił się w szept. Odwróciła się gwałtownie i spojrzała mi w oczy.

— Co się stało? — spytałem zdziwiony.

— Naturalnie... — powiedziała szeptem. — Naturalnie! Jestem kompletną idiotką! Teraz rozumiem...

— Co pani rozumie?

— Kawa... W jaki sposób zatruto kawę! Obsługiwałam pułkownika Harrisona. Siedział w głębi kabiny. Był ostatnim pasażerem, którym się zajmowałam. Kiedy podeszłam, skrzywił nos i spytał, czy nie czuję zapachu spalenizny. Nic nie czułam. Obróciłam jego pytanie w żart, mówiąc, że prawdopodobnie pozostawiłam jakieś naczynie na maszynie elektrycznej. Gdy wróciłam już do pomieszczenia służbowego, pułkownik zawołał mnie. Spojrzałam w jego kierunku. Pan Harrison przytrzymał otwarte drzwi prawej toalety, z której wydostawała się mała smuga dymu.

Zawiadomiłam natychmiast kapitana, który udał się do tylnej części samolotu, żeby sprawdzić, co się stało. Nie było to na szczęście nic szczególnego, tliło się kilka kawałków papieru.

Prawdopodobnie ktoś pozostawił palący się papieros.

— I wtedy wszyscy wstali i udali się w kierunku toalety? — spytałem.

— Tak. Kapitan Johnson polecił im powrócić na miejsca, gdyż mogli spowodować utratę równowagi samolotu.

— Widzi pani, nie pomyślała pani o tym, żeby mi to powiedzieć wcześniej — powiedziałem poważnie. — Prawdopodobnie uważała pani, że jest to drobiazg bez specjalnego znaczenia.

— Jest mi bardzo przykro. Naprawdę myślałam, że to nic szczególnego. Nie sądziłam, by mogło to mieć najmniejszy choćby związek... Było to przecież na wiele godzin przed katastrofą...

— To nic nie znaczy. Kto mógł w tym czasie wejść do pomieszczenia służbowego?

Prawdopodobnie ktoś siedzący na przodzie...

— Tak. Wydawało mi się, że oni wszyscy wstali ze swoich foteli...

— Wszyscy oni? To znaczy kto?

— Nie wiem. Dlaczego pan o to pyta?

— Dlatego, że jeżeli ustalimy, kto wstał i udał się do tyłu, będziemy wiedzieli, kto nie jest winien.

— Naprawdę jest mi bardzo przykro — powtórzyła głosem, w którym brzmiała nuta poczucia winy. — Byłam zdenerwowana, a potem znalazł się obok mnie kapitan Johnson, który zażądał, żeby wszyscy usiedli. Przesłonił mi widok.

— Chodziło, jak myślę, o toaletę męską?

— Tak, toaleta dla pań znajdowała się po lewej stronie.

— Czy mogłaby pani przypomnieć sobie, kto korzystał z toalety w ciągu godziny, która poprzedziła ten mały pożar?

— Godziny? Ale przecież niedopałek papierosa...

— Czy pani już teraz wierzy, że ten pożar nie był przypadkowy? — spytałem.

— Naturalnie. — Przyjrzała mi się z uwagą.

— Doskonale. Mamy do czynienia z zawodowymi mordercami, którzy działają bez żadnych skrupułów. Sukces ich przedsięwzięcia zależał od tego pożaru. Czy sądzi pani, że zapalili gazetę lub posłużyli się papierosem? Oczywiście nie...

— A więc w jaki sposób?

— To bardzo proste. Istnieją małe plastikowe tubki, podzielone na dwie części. W jednej znajduje się kwas, a w drugiej szklana kapsułka z innym kwasem. Wszystko, co trzeba zrobić, to zgnieść tubkę, połamać kapsułkę i pozostawić ten maleńki przedmiot w miejscu, gdzie pragnie się wywołać pożar. Po upływie pewnego czasu kwas, który znajduje się w szklanej kapsułce, przeżera ściankę dzielącą obie części tuby i łączy się z drugim kwasem. Wybuch pożar. Takimi urządzeniami posługiwano się w czasie wojny tysiące razy. Jeżeli chce pani podłożyć pod coś ogień i znaleźć się w chwili wybuchu pożaru w odległości wielu kilometrów od tego miejsca, jest

to sposób idealny.

— Ma pan rację. Poczulałam naprawdę dziwny zapach — powiedziała.

— Wyobrażam sobie! Czy może pani sobie przypomnieć, kto był w toalecie?

— Nie, nie mogę. Przez cały czas znajdowałam się w pomieszczeniu służbowym, gdzie przygotowywałam dania.

— Kto siedział na dwóch przednich fotelach?... Najbliższych pomieszczenia służbowego.

— Pani le Garde i pan Corazzini. Obawiam się jednak, że to nam nic nie da. Wiemy doskonale, że pani le Garde nie ma nic wspólnego z tą całą sprawą, a pan Corazzini jest jedyną osobą, która nie opuściła swego fotela przed kolacją. Zaraz po starcie wypił kieliszek dżinu, zgasił lampkę nad fotelem, zasłonił głowę gazetą i usnął.

— Czy jest pani tego absolutnie pewna?

— Absolutnie. Od czasu do czasu spoglądałam przez otwarte drzwi mojego pomieszczenia, żeby sprawdzić, co się dzieje w kabinie pasażerskiej. Widziałam go cały czas na tym samym miejscu...

— Wydaje się, że to go wyłącza — powiedziałem w zamyśleniu. — W ten sposób mielibyśmy o jednego podejrzanego mniej... Chociaż z drugiej strony, ładunek zapalający mógł umieścić w toalecie jego wspólnik... — Nagle olśniła mnie pewna myśl. — Proszę mi powiedzieć, czy ktoś przedtem pytał panią, o której godzinie będzie podana kolacja?

Spojrzała na mnie z zaciekawieniem.

— Pytała mnie o to pani Dandsby–Gregg.

— To mnie nie dziwi. Czy ktoś jeszcze?

— Tak. Teraz sobie dobrze przypominam... pułkownik Harrison, ale on się już nie liczy... i pan Zagero.

— Zagero? — Byłem tak podniecony, że głośno spytałem, czy jest tego pewna.

— Absolutnie. Powiedziałam mu wtedy, że chyba ma doskonały apetyt, a on na to: — „Moja

droga, zawsze mam doskonały apetyt i zawsze lubię jeść...”

— To bardzo ciekawe.

— Czy pan myśli, że to Zagero?

— Zaczynam się już obawiać tego, o czym mogę myśleć. Zbyt często się myliłem. Może jednak teraz będzie inaczej, może ten dym poprzedzi wielki pożar... Czy znajdował się obok pani w chwili, gdy aparat radiowy spadł na podłogę? A może stał za panią wówczas, gdy pani wstawała i uderzyła się o stół?

— Nie. Z całą pewnością był wtedy obok drzwi prowadzących z baraku na pomost. Czy mógłby?...

— Nie. Razem z Jossem odtworzyliśmy ten wypadek. Ktoś usunął jedną płytę, drugą wepchnął głęboko i kiedy pani się podniosła, wystarczyło lekko dotknąć stolika, aby się przechylił. To zostało wykonane z oddali. Prawdopodobnie szczotką. Znaleźliśmy ją na podłodze obok stolika i z początku nie zdawaliśmy sobie sprawy z jej znaczenia... Kiedy pani wyczuła, że aparat spada na ziemię, obejrzała się pani za siebie, prawda?

Potwierdziła ruchem głowy.

— Kogo pani zobaczyła?

— Pana Corazziniego...

— Tak. Wiemy, że skoczył, żeby przytrzymać aparat. Ale z tyłu, za sobą, kogo pani widziała?

— Ktoś tam był... — Jej głos znów przeszedł w szept. — Ale nie, to nie mógł być on. Był na wpół śpiący, siedział na podłodze i kiedy aparat runął, podskoczył jak wariat...

— Kto? Na miłość boską, kto?

— Solly Levin.

Minęło południe. Mróz potęgował z minuty na minutę. Pod koniec dnia wydawało się nam, że jedziemy traktorem już całe wieki. Zatrzymywaliśmy się tylko dwa razy i wyłącznie po to, aby

napęłnić zbiorniki; raz o czwartej po południu i drugi raz o ósmej wieczorem. Wybrałem te godziny, ponieważ umówiliśmy się z Jossem, że właśnie o tej porze będę próbować nawiązać z nim kontakt. Corazzini kręcił korbką dynama przez dziesięć minut, podczas gdy ja wystukiwałem sygnał alfabetem Morse'a. Niestety, nie uzyskaliśmy odpowiedzi. Zresztą nie oczekiwałem jej. Nawet gdyby Joss jakimś cudem odremontował aparat, zmiany w jonosferze występujące przy zorzy polarnej były tak silne, że nie mieliśmy żadnych szans na nawiązanie łączności. Obiecałem jednak Jossowi, że będę to robił, i musiałem dotrzymać słowa.

Kiedy usiłowałem po raz drugi porozumieć się z Jossem, wszyscy, nie wyłączając Jackstrawa i mnie, trzęśli się z zimna. My obaj zazwyczaj nie odczuwaliśmy mrozu, ale ponieważ oddaliśmy część naszej odzieży Corazziniemu i Zagerowi, którzy nie wytrzymaliby długo w swoich ubraniach na przednim siedzeniu traktora, teraz, podobnie jak inni, kostnieliśmy z zimna.

Od czasu do czasu któryś z pasażerów zeskakiwał na lód i biegł przez chwilę obok traktora, aby choć w ten sposób się rozgrzać. Byliśmy jednak tak wyczerpani brakiem snu, głodem, mrozem i długotrwałym wysiłkiem fizycznym, że każdy krok stawał się męczarnią. Po takich rundach ludzie siadali nieruchomo, a pot na ich ciałach zmieniał się w szron. Mimo że wszyscy czuli się dużo gorzej niż rano, byłem zmuszony zabronić im wychodzenia z kabiny.

Trudno jest decydować wbrew temu, co nakazuje rozsądek. Wiedziałem jednak, że człowiek ma określoną wytrzymałość i ten koszmarny wysiłek nie może trwać dłużej. Wydałem polecenie zatrzymania się. Było dziesięć minut po północy. Jechaliśmy dwadzieścia siedem godzin.

ŚRODA, CZWARTA RANO — ÓSMA WIECZOREM

Wątpię, czy ktokolwiek z nas — mimo krańcowego wprost wyczerpania i bezwzględnej potrzeby snu — spał tej nocy. Mróz był tak straszliwy, że sen równał się niemal śmierci. Jeszcze nigdy nie odczuwałem tak przejmującego zimna. Dwanaście osób, stłoczonych niczym śledzie w maleńkiej kabinie, przeznaczonej co najwyżej dla pięciorga, tak głośno szczękało

zębami, że słyhać to było mimo huku silników. Naftowy piec szumiał przez całą noc, każdy z nas dwa razy wypijał po dużym kubku wrzącej kawy, a jednak cierpieliśmy niewypowiedziane męki. Przez cały czas wszyscy tarli ręce, twarze, nogi, aby przywrócić krążenie krwi. Do tej pory nie rozumiem, w jaki sposób Maria le Garde i chory Mahler przetrzymali tę noc.

Przetrwaliśmy jednak wszyscy. Kiedy spojrzałem na zegarek i stwierdziłem, że jest już czwarta, zdecydowałem, że zabawa trwała i tak zbyt długo. Zapaliłem małą lampkę i spostrzegłem, że wszyscy mieli otwarte oczy. Nikt nie spał. Lampka świeciła bardzo słabo. Był to niepokojący sygnał. Oznaczał, że akumulatory traktora zaczynają marznąć.

— Cierpi pan na bezsenność, doktorze? — odezwał się Corazzini drżącym z zimna głosem. — A może zapomniał pan włączyć elektryczną kołdrę?

— Zawsze wstaję wcześniej, panie Corazzini.

Spytałem pasażerów, czy ktokolwiek z nich spał. Odpowiedziały mi przeczące ruchy głowy.

— Czy ktokolwiek z was mógłby usnąć?

Identyczna odpowiedź.

— No, to mamy sprawę załatwioną — powiedziałem, próbując wstać. — Jest teraz czwarta rano, ale jeśli mamy już marznąć, to lepiej, żebyśmy przy tym posuwali się naprzód. I jeszcze jedno: jeżeli silnik traktora pozostanie bez ruchu przez dalsze kilka godzin, nie uruchomimy go na tym mrozie. Co pan o tym myśli, Jackstraw?

— Pójdę poszukać lampy lutowniczej — powiedział i zniknął natychmiast po drugiej stronie zasłony. Kilka sekund później usłyszałem, że głośno kaszle.

Jego oddech był coraz bardziej chrapliwy. Gdy chwilę potem ruszyliśmy za nim z Corazzinim, kaszleliśmy i krztusiliśmy się jak on. Mroźne powietrze boleśnie raniło gardło i płuca, mimo że twarze mieliśmy ukryte za śniegowymi maskami, a oczy osłonięte okularami. Spojrzałem na termometr alkoholowy, przymocowany do deski rozdzielczej. Nie wierzyłem własnym oczom.

Słupek alkoholu skurczył się gwałtownie i znajdował się tuż obok zbiorniczka. Wskazywał dokładnie minus sześćdziesiąt osiem stopni Celsjusza. Była to temperatura o osiem stopni niższa od tej, jaką dotychczas udało mi się odnotować i odczuć na własnym ciele. I pomyśleć, że musiało się to wydarzyć właśnie teraz, kiedy znajdowałem się ponad trzysta kilometrów od najbliższej siedziby ludzkiej, a w dodatku z dwoma ciągle nie ujawnionymi zbrodniarzami na karku, umierającym człowiekiem i całą resztą towarzystwa, słabnącego z minuty na minutę, oraz antycznym traktorem, który w każdej chwili mógł wyzionąć ducha. Było tego trochę za dużo, nawet dla nas — doświadczonych badaczy Arktyki.

Godzinę później przekonałem się, że moje obawy co do traktora były w pełni uzasadnione. Sprawiał wrażenie, jakby rzeczywiście oddał ducha. Że jest coś nie w porządku, zdałem sobie sprawę, gdy włączyłem sygnał. Nie było go słychać nawet z odległości kilkunastu metrów.

Zamarznięte akumulatory nie mogły uruchomić nawet ciepłego silnika, który podobnie jak skrzynia biegów oraz dyferencjał był właściwie jakby zespawany gęstym olejem. Olej ten, zamieniając się w gęstą, prawie twardą masę, całkowicie stracił swoje właściwości smarownicze. Próbowaliśmy za pomocą korby poruszyć kołem zamachowym. Nie drgnął nawet choćby jeden tłok.

Chcieliśmy zapalić wszystkie lampy lutownicze, które ze sobą mieliśmy, ale i one nie nadawały się do użytku. Ropa marznie w temperaturze minus pięćdziesięciu stopni. W temperaturze minus czterdziestu stopni jest tak samo gęsta, jak olej w skrzyni biegów. Musieliśmy więc ogrzać je lampą benzynową, a następnie, aby znów nie zamarzły, okryć kocami i umieścić pod karterem silnika, skrzynią biegów i tylnym mostem. Po godzinie udało nam się za pomocą korby poruszyć wał i tłoki. W tym samym czasie ogrzaliśmy wielki akumulator, ustawiając go w kabinie obok pieca. Połączyliśmy go ze starterem i spróbowaliśmy jeszcze raz uruchomić traktor. Silnik nie dał jednak znaku życia.

Żaden z nas, nawet Corazzini, którego traktory były wyposażone w silniki Diesla, nie był

specjalistą od silników. Przeżyliśmy kilka niezmiernie trudnych minut. Nie wolno nam było jednak tracić nadziei. Wiedzieliśmy o tym. Lampy lutownicze ciągle ogrzewały silnik. Akumulator ponownie przenieśliśmy do kabiny. Wykręciliśmy świece, zdrapaliśmy szron ze szczotek prądnicy, rozebraliśmy przewody benzynowe, rozgrzaliśmy je i przedmuchiśmy powietrzem, aby usunąć zamrożone krople wody, które mogły znaleźć się w paliwie. Wreszcie oczyściliśmy gaźnik i znów zmontowaliśmy wszystko. Większą część tych delikatnych operacji musieliśmy wykonać gołymi rękami. Nasze dłonie były w straszliwy sposób poparzone mrozem. Skóra przyklepała się do zimnego metalu i pozostawała na nim. Spod paznokci tryskała krew, która zresztą natychmiast krzepła. Była to mordercza praca, ale na szczęście nie bez efektów. O godzinie szóstej piętnaście wielki silnik kaszlnął, zachrypiał, kaszlnął jeszcze raz i... zaczął pracować. Gdy usiłowałem się uśmiechnąć, poczułem, że pękają mi wargi. Poklepałem z radości Jackstrawa i Corazziniego, zapominając na chwilę, że może on być jednym z morderców. Zaproponowałem zjedzenie śniadania, a właściwie namiastki śniadania. Nie było tego zbyt wiele: kawa, suchary i dwa pudełka konserw wołowych dla dwunastu osób, z czego lwia część została przekazana Mahlerowi. Pozostało nam tylko około pięciu kilogramów suchych owoców, zamrożona ryba, cztery puszki konserw z wołowiny, cztery puszki jarzyn, małe pudełko biszkoptów, trzy paczki płatków owsianych oraz dwadzieścia puszek niesłodzonego mleka skondensowanego. Był to nasz cały zapas żywności, nie licząc kawy; tej było ciągle pod dostatkiem. Mieliśmy też oczywiście mięso focze dla psów. Smażona skóra młodej foki nadaje się do jedzenia, ale pierwszeństwo do niej miały psy, których zdrowie było ważniejsze od naszego. One stanowiły jedyną naszą nadzieję, gdyby traktor odmówił posłuszeństwa.

Ruszyliśmy kilka minut przed zachodem księżyca. Przy kierownicy siedział teraz Corazzini. Na szczęście pogoda była zupełnie bezwietrzna. Postanowiłem, że będziemy zmieniać się przy prowadzeniu traktora co piętnaście minut. Było to wszystko, co można było znieść na tym mrozie.

Słyszałem kiedyś o przypadku, który przytrafił się pewnemu kierowcy na Antarktydzie. Otóż trzymając długo kierownicę przymarzył on do niej i trzeba ją było zdemontować, aby człowiek ten mógł się od niej uwolnić. Nie chciałem, żeby któregoś z nas spotkał podobny los.

Kiedy znajdowaliśmy się już w ruchu, zbadałem Mahlera. Jego wygląd nie rokował nadziei na to, że przetrzyma trudy podróży. Mimo że był ubrany we wszystko, co miał, że znajdował się w śpiworze, że okrywały go grube koce, jego twarz nabrała koloru sinobiałego. Drżał z zimna, gryząc chusteczkę, aby powstrzymać szczekanie zębami. Wziąłem go za rękę. Puls był bardzo szybki, ale ciągle jeszcze wydawał się dość regularny. Nie byłem jednak tego pewny; moje palce były pokaleczone, straciły czucie. Uśmiechnąłem się do niego.

— Jak się pan czuje, panie Mahler?

— Wydaje mi się, że nie gorzej od innych, doktorze.

— To znaczy, że nie za dobrze. Czy jest pan głodny?

— Głodny, ja? — zawołał. — Wszyscy tak o mnie dbają. Naprawdę nie mógłbym zjeść nawet kruszynki więcej.

Było to typowe dla tego odważnego starszego pana. Odpowiadało jego zachowaniu w ciągu ostatnich godzin. Mimo stosunkowo obfitego śniadania, które zjadł z niezwykłą łapczywością, był głodny. To było oczywiste. Jego organizm, pozbawiony insuliny, domagał się nie takiego pożywienia, jakie otrzymywał.

— Czy ma pan pragnienie?

Skinął głową, przypuszczając zapewne, że niczego nie ryzykuje przyznając się do tego. W rzeczywistości był to jeszcze jeden symptom nasilania się choroby. Jego wygląd świadczył, że czuje się o wiele gorzej niż trzydzieści sześć godzin temu. Wiedziałem, że w najbliższym czasie zacznie tracić na wadze, a potem wypadki potoczą się już bardzo szybko. Podobnie działo się z innymi, a przede wszystkim z Marią le Garde, która mimo odwagi i niezwykle dobrego humoru

wyglądała w tej chwili już nie tylko na osobę starszą, lecz także chorą i zmęczoną. Nie byłem w stanie nic dla niej zrobić.

— A pańskie nogi? — spytałem Mahlera. — Czy pan je czuje?

— Nie mogę panu odpowiedzieć. Nie mam już ich — odpowiedział z uśmiechem świadczącym o zażenowaniu.

— Proszę mi je pokazać — ton mego głosu był stanowczy.

Protestowałem, ale nie zwracałem na to uwagi. Widok trupiej skóry wystarczył mi w zupełności.

— Pani Ross — odwróciłem się w stronę stewardesy — od tej chwili staje się pani aniołem stróżem pana Mahlera.

Na saniach mamy dwa kauczukowe worki. Chcę, żeby przez cały czas były one napełniane gorącą wodą i podłożone pod stopy pana Mahlera.

Mahler zaprotestował jeszcze raz. Udałem, że tego nie słyszę. Nie mogłem mu przecież powiedzieć — przynajmniej w tej chwili — że odmrożenie kończyn u diabetyka, który nie jest troskliwie leczony, może doprowadzić szybko do gangreny i amputacji. Obrzuciłem spojrzeniem wszystkich obecnych w kabinie. Wydawało mi się, że gdybym znał osobę odpowiedzialną za to wszystko, zastrzeliłbym ją na miejscu bez żadnych skrupułów.

W tej samej chwili do kabiny wszedł Corazzini. Prowadził traktor zaledwie piętnaście minut. Przed chwilą przekazał kierownicę Jackstrawowi. Był w opłakanym stanie. Twarz, pozbawiona kropli krwi, nabrała sinożółtej barwy, co było oznaką odmrożenia. Zarówno wargi, jak i paznokcie miał popękane; w strasznym stanie były też jego ręce. Jackstraw, Zagero i ja nie wyglądaliśmy lepiej, ale Corazzini prowadził traktor właśnie podczas największego mrozu. Drżał na całym ciele jak człowiek w ataku febry. Kulał. Zrozumiałem, że jego nogi nic nie odczuwają. Pomogłem mu usiąść obok pieca.

— Czy czuje pan cokolwiek poniżej kolan? — spytałem.

— Zupełnie nic. — Próbował się uśmiechnąć. Zrezygnował z tego jednak, gdyż pękające wargi zaczęły krwawić. — Na zewnątrz jest okropnie, doktorze. Powiniennem chyba natrzeć nogi śniegiem, prawda? — Pochylił się do przodu i próbował sztywnymi palcami rozsznurować buty. Zanim udało mu się zrobić choćby najmniejszy ruch, Margaret Ross uklękła przed nim i zaczęła rozwiązywać sznurowadła. Kiedy spojrzałem na nią jeszcze raz, zdumiałem się, że mogłem ją posądzić o tyle zbrodni.

— Używając pańskiego języka, Corazzini — powiedziałem — śnieg przy temperaturze, jaka w tej chwili panuje, to bujda. To środek stosowany przez starsze panie. Dałby on panu tyle, co potarcie skóry papierem ściernym. Przy temperaturze poniżej pięćdziesięciu stopni śnieg staje się bardzo twardy, zamienia się w kryształy, jak piasek, i kiedy wciera się go w skórę, może ją tylko poranić. — Wskazałem ruchem głowy stojące na piecyku wiadro ze śniegiem. — Gdy temperatura wody dojdzie do trzydziestu stopni, proszę włożyć do niej nogi i trzymać tak długo, aż skóra stanie się czerwona. To nie jest przyjemny zabieg, ale za to bardzo skuteczny. Jeżeli będzie pan miał pęcherze, przetnę je jutro i zdezynfekuję.

Spojrzał mi prosto w oczy.

— I ta zabawa będzie trwała przez całą podróż?

— Obawiam się, że tak.

Niestety, przez następne dziesięć godzin, podczas których temperatura jeszcze bardziej spadła, a potem ustabilizowała się, by w końcu powolutku i bardzo nieznacznie zacząć się podnosić, wszystko działo się tak, jak przewidziałem. Przez te dziesięć godzin kubły ze śniegiem ani na chwilę nie schodziły z pieca, przez dziesięć godzin pani Dandsby–Gregg, Helena, a następnie Solly Levin ogrzewali wiadra lampami lutowniczymi, aby przyspieszyć topnienie śniegu, przez dziesięć godzin my, kierowcy, podlegaliśmy regularnie torturom odmrażania zmarzniętych kończyn. Było to dziesięć godzin, podczas których przeżywaliśmy patologiczny strach na myśl o chwili, w której

będziemy musieli jeszcze raz wsadzić nogi do gorącej wody. Podczas tych dziesięciu godzin Mahler słabł, a milcząca Maria le Garde po raz pierwszy osunęła się na podłogę w kącie i zamknęła powieki. Dziesięć godzin nieopisanych cierpień, piekielnej męki. Po dziesięciu godzinach nastąpiło nowe wydarzenie, które zupełnie odwróciło sytuację.

W południe zatrzymałem traktor. Podczas gdy panie podgrzewały cienką zupę, zainstalowałem wraz z Jackstrawem nadajnik. Wyciągnęliśmy antenę i zaczęliśmy nadawać nasz sygnał rozpoznawczy: GFK. Zazwyczaj nadajnikami o mocy ośmiu watów, zasilanymi przez ręczną prądnicę, nadaje się alfabetem Morse'a, a odbiera się za pomocą słuchawek. Jednak dzięki pewnym zmianom wprowadzonym przez Jossa, który zdawał sobie sprawę, jak skomplikowany jest dla wielu osób alfabet Morse'a, nadawano nim tylko sygnał rozpoznawczy. Po nawiązaniu łączności przechodzono na kontakt słowny.

Wzywanie Jossa nie było trudną sprawą. Obiecałem mu, że będę to robił, i dotrzymałem obietnicy. Teraz znajdowaliśmy się w odległości mniej więcej dwustu kilometrów od niego, prawie na granicy zasięgu naszego aparatu. Nie wiedziałem, jaki wpływ będzie miał ten straszliwy mróz na transmisję radiową, ale byłem pewien, że nie będzie dobrze. Tego ranka nie było wprawdzie zorzy polarnej, ale perturbacje w jonosferze mogły trwać, a prócz tego Joss oświadczył przecież, że jego nadajnik absolutnie nie nadaje się do naprawienia.

Jackstraw cierpliwie kręcił korbką, a ja nadawałem seriami sygnał rozpoznawczy, następnie czekałem kilka sekund na odpowiedź i znów nadawałem sygnał. Minęło dziesięć minut. Wysłałem ostatni sygnał i przeszedłem na odbiór. Słuchałem kilka sekund, wreszcie wstałem dając znak Jackstrawowi, aby zaprzestał kręcenia korbką. I właśnie w tej chwili, dosłownie w ostatniej sekundzie, głośniczek w moim ręku odezwał się.

— GFX wzywa GFK... GFX wzywa GFK. Słyszemy was słabo, ale wyraźnie. Proszę powtórzyć. Słyszemy was. Koniec.

Byłem tak podniecony, że mało nie wypuściłem z ręki mikrofonu, służącego jednocześnie za głośnik.

— GFK wzywa GFX, GFK wzywa GFX — ryczałem do mikrofonu, aż w końcu zobaczyłem, że Jackstraw pokazuje mi palcem na przełącznik, który znajdował się ciągle w pozycji na odbiór.

Natychmiast przekręciłem go. Powtórzyłem wezwanie jeszcze raz, a potem zapominając o normalnej procedurze, obowiązującej przy transmisjach radiowych, zacząłem wołać:

— Tu doktor Mason. Tu doktor Mason. Słyszę pana głośno i wyraźnie. Czy to pan, Joss?

Odbiór!

— Tak, doktorze. Jestem szczęśliwy, że pana słyszę! — Zakłócenia zniekształcały słowa, które dochodziły do moich uszu. — Jak się pan czuje? Jaką macie pogodę? Ile kilometrów przebyliście?

— Wszystko w porządku — odpowiedziałem. — Jest bardzo zimno, pięćdziesiąt sześć stopni poniżej zera. Przebyliśmy dwieście kilometrów, Joss, to prawdziwy cud! W jaki sposób naprawił pan nadajnik?

— Nie zreperowałem go. — Nastąpiła krótka cisza, wreszcie Joss odezwał się: — Kapitan Hillcrest chce z panem mówić, doktorze.

— Kapitan Hillcrest! W jaki sposób... — Zamilkłem. Nie dlatego, że dowiedziałem się o obecności Hillcresta w naszej stacji, gdy powinien on znajdować się, jak myślałem, w odległości trzystu kilometrów na północ od niej, ale z powodu ostrzegawczego spojrzenia Jackstrawa.

— Pozostańcie na nasłuchu — powiedziałem. — Zawołam was za kilka minut.

Nadajnik był ustawiony tuż za kabiną traktora. Wiedziałem doskonale, że wewnątrz kabiny nie było słycać tego, co mówiłem, ani tego, co do mnie mówiono. Ale w chwili gdy zbierałem się do przejścia w inne miejsce, brezentowa zasłona uniosła się nieco i ukazały się dwie głowy:

Corazziniego i Zagera. Udałem, że tego nie widzę. Nigdy nie przejmowałem się swoim zachowaniem. Wziąłem aparat, prądnicę i podczas gdy Jackstraw demontował antenę, oddaliłem

się od traktora. Zatrzymałem się w odległości dwustu metrów.

Ci, którzy znajdowali się w kabinie, mogli nas ciągle widzieć w bladej poświacie południa, nie mogli jednak nas słyszeć.

Ponownie ustawiliśmy aparat. Chciałem nadać sygnał rozpoznawczy, lecz nie mogłem sobie z tym poradzić. Zbyt długo przebywaliśmy na zewnątrz i moja ręka, dotykając klucza, drżała. Na szczęście odbierający domyślili się tego, gdyż w momencie, gdy przeszedłem na odbiór, natychmiast rozległ się spokojny, pełen otuchy głos Hillcresta.

— Zadziwiające — usłyszałem. — No cóż, doktorze Mason, z tego, co opowiedział mi Joss, i z przerwy, która nastąpiła, domyślam się, że oddalił się pan od traktora. Przy temperaturze pięćdziesięciu sześciu stopni poniżej zera nie może pan zbyt długo pozostawać na otwartej przestrzeni. Wydaje mi się, że najlepszym rozwiązaniem będzie, jeśli pozwoli pan mówić mnie. Postaram się streszczać. Czy pan mnie odbiera?

— Głośno i wyraźnie. A teraz słucham.

— Dziękuję. Dowiedzieliśmy się w poniedziałek po południu z komunikatów nadawanych przez stacje angielskie i amerykańskie, że zaginął samolot pasażerski. We wtorek rano — to znaczy wczoraj — skontaktowaliśmy się z bazą w Uplavniku. Według ich zdania rządu brytyjski i amerykański są przekonane, że samolot nie wpadł do morza, lecz wylądował gdzieś w Grenlandii albo też na Ziemi Baffina. Niech mnie pan nie pyta, dlaczego są o tym przekonane, nie mam pojęcia. W każdym razie zorganizowali jedną z największych operacji ratunkowych, jakie widział świat po wojnie. Bierze w niej udział marynarka i lotnictwo. Zmieniono trasy wielu samolotów pasażerskich, należących do różnych towarzystw. Statki amerykańskie, angielskie, francuskie i kanadyjskie przeczesują przybrzeżne wody Grenlandii. Naturalnie zachodnie, gdyż wschodnie są zablokowane przez lody. Ponad tuzin bombowców wystartowało z Thule i Sondre Strömfiordu. Postawiono w stan alarmu kanonierki amerykańskiej obrony przybrzeżnej, zaalarmowano

znajdującą się na Atlantyku flotyllę niszczycieli kanadyjskich. Podążają one, ile mocy w silnikach, w kierunku Cieśniny Davisa. Będą tam w ciągu trzydziestu sześciu godzin. W tym samym kierunku zdąży lotniskowiec brytyjski. Nie wiadomo, jak daleko na północ uda mu się przedostać, gdyż w okolicach Ziemi Baffina morze pokryte jest lodem. W tej chwili jest ono jeszcze wolne aż do Dysku u wybrzeży Grenlandii. Wszystkie naukowe stacje arktyczne otrzymały polecenie wzięcia udziału w poszukiwaniach. I to jest powód, dla którego natychmiast wróciliśmy do baraku, aby zaopatrzyć się w odpowiednie zapasy paliwa.

Nie mogłem już dłużej milczeć. Przekręciłem włącznik nadajnika.

— Cóż za historia? — spytałem. — Mogłoby się wydawać, że tym samolotem leciał prezydent Stanów Zjednoczonych i połowa angielskiej rodziny królewskiej. Dlaczego Uplavnik nie podał innych szczegółów?

Przeszedłem na odbiór i czekałem chwilę, by znów usłyszeć głos Hillcresta:

— Nie mieliśmy połączeń radiowych w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Teraz wezwiemy ich, żeby zakomunikować, że odnaleźliśmy zaginiony samolot i że pan, doktorze, podąża w stronę wybrzeża. Czy mam im coś przekazać od pana?

— Nie, nic. Przepraszam, poprawka: jeden z naszych pasażerów, niejaki Mahler, to diabetyk w bardzo ciężkim stanie. Zakomunikujcie, żeby postarali się natychmiast o insulinę. Mają ją w bazie w Godthaab.

— Zgoda — powiedział Hillcrest. Nastąpiła dłuższa przerwa, podczas której słyszałem jakieś szepty. Wreszcie rozległ się znów głos Hillcresta: — Najlepiej by było, gdybyście zawrócili i pojechali z powrotem. Mamy ze sobą duży zapas paliwa i sporo żywności. Jeżeli będziemy pełnić straż w osiem osób, a nie we dwie, nic nie może się wydarzyć. Zrobiliśmy już od rozpoczęcia rozmowy sześćdziesiąt kilometrów. — Spojrzałem na Jackstrawę i zobaczyłem, że jego oczy się śmieją. Była to dla niego tak samo radosna niespodzianka, jak i dla mnie. — W tej chwili

powinniśmy być od was nie więcej niż jakieś sto dwadzieścia kilometrów. Możemy spotkać się za pięć, sześć godzin.

Ogarnęło mnie uczucie niesłychanej ulgi. To, co się stało, było więcej niż cudem, przed paroma minutami nie mogłem o tym nawet marzyć. Nareszcie skończą się wszystkie nasze strapienia... Ale kiedy minęła chwila upojenia, umysł zaczął pracować chłodno i zrozumiałem, że koniec naszych kłopotów jest bardzo odległy.

— To niemożliwe — odpowiedziałem. — W ten sposób zdradzilibyśmy się. Jeżeli zawrócimy, zmusimy morderców, żeby się zdemaskowali. Choć wydaje mi się, że zdecydują się na działanie również wtedy, gdy nie zawrócimy, bo — jak sądzę — zrozumieli, iż nawiązaliśmy kontakt. Mimo to musimy jechać dalej. Jedźcie więc naszym śladem najszybciej, jak to tylko możliwe. —

Milczałem chwilę, a potem dodałem: — Podkreślcie w waszym komunikacie dla Uplavnika, że ze względu na nasze bezpieczeństwo koniecznie musimy wiedzieć, dlaczego zniknięcie tego samolotu jest aż tak ważne. Przekażcie im, żeby sprawdzili listę pasażerów. To jest konieczne, kapitanie Hillcrest! Niech pan się nie godzi na żadną odmowę. Musimy wiedzieć, co się dzieje.

Rozmawialiśmy ze sobą mniej więcej minutę, ale powiedzieliśmy sobie dosłownie wszystko. Na zakończenie postanowiliśmy, że ponownie połączymy się o ósmej. Po sprawdzeniu zegarków przerwaliśmy kontakt.

W kabinie ciekawość osiągnęła punkt kulminacyjny. Trzeba było jednak co najmniej trzech minut, aby krew w żyłach Jackstrawa i moich zaczęła normalnie krążyć. Byliśmy przemarznięci do kości. Pierwsze pytanie zadał naturalnie senator, tym razem spokojnie, bez zagniewania. Jego twarz utraciła normalną czerwień, spod zarostu wyzierała biała, chora skóra. Fakt, że to właśnie on pierwszy przemówił, przekonał mnie, iż nie uważa siebie za podejrzanego.

— Skontaktował się pan ze swoimi przyjaciółmi, doktorze Mason, prawda? Z tymi, którzy wyruszyli na wyprawę? — W jego głosie wyczuwało się niepewność i wahanie.

— Tak — potwierdziłem. — Joss, to znaczy pan London, zreperował nadajnik po trzydziestu godzinach wytężonych wysiłków. Skontaktował się z kapitanem Hillcrestem i spełnił rolę przekaźnika. — Nie myślałem o tym, czy tego rodzaju wyjaśnienie może coś dać, ale było ono dość przekonujące. — Zwijają obóz i jadą nam na pomoc.

— Czy to są dobre wieści? — spytał senator głosem pełnym nadziei. — Chcę powiedzieć, czy długo potrwa, zanim do nas dotrą...

— Nie mogę dokładnie przewidzieć — przerwałem. — Hillcrest jest w odległości około czterystu kilometrów od nas i jego traktor nie porusza się dużo szybciej od naszego. — W rzeczywistości był trzykrotnie szybszy. — Będzie mógł do nas dotrzeć za pięć, sześć dni.

Brewster ze smutkiem kiwnął głową i umilkł. Był rozczarowany, ale bez zastrzeżeń przyjął moje wyjaśnienie. Zastanawiałem się, kto spośród tych ludzi wiedział, że kłamię. Był to oczywiście ten sam człowiek, który zniszczył lampy i kondensatory, nie pozostawiając Jossowi najmniejszej szansy na zreperowanie aparatu.

Długi, ciężki, nie kończący się dzień, straszliwy mróz, cierpienia, których nie można było nawet ściśle określić, wibracje i łoskot silnika — wszystko to było jak agonia bez końca. O godzinie drugiej trzydzieści po południu, kiedy zgasło ostatnie światło polarnego południa i kiedy na mroźnym niebie zaczęły pojawiać się gwiazdy, temperatura osiągnęła pięćdziesiąt osiem stopni poniżej zera. Towarzystwo temu wiele dziwnych i niepokojących zjawisk: zapalone pochodnie gasły w ciągu minuty: guma sztywniała tak, że lekko trącona pękała jak szkło; oddech zamieniał się w gęstą białą mgłę, która natychmiast po wyjściu ludzi z kabiny przekształcała się w osiadający na głowach szron; lód nabrał takiej twardości, że gaśnice traktora ślizgały się po nim, nie pozostawiając żadnych śladów; psy, które zazwyczaj bez szwanku przetrzymywały śmiertelne dla człowieka burze, jęczały i wyły przez cały czas. Ten mróz również dla nich był sygnałem końca. Oczywiście, zaczął także kaprysić traktor. Prawdę mówiąc, dziwiłem się, że pracował do tej

pory. Najbardziej obawiałem się tego, aby jakaś pracująca część nie splatała nam figła, rozlatując się w drobny mak, co niewątpliwie zatrzymałoby nas na amen. Gdyby cokolwiek połamało się czy pękło w silniku, zatrzymalibyśmy się bez żadnej nadziei.

Na szczęście los oszczędził nam takiego wypadku. A mimo to problemów było coraz więcej. W gaźniku tworzył się lód. Marzły drążki kierownicze i trzeba je było co pewien czas podgrzewać lampami lutowniczymi. Łamały się szczotki dynamo, ale tych mieliśmy pod dostatkiem. Najwięcej kłopotu sprawiała nam chłodnica. Okręciliśmy ją kilkoma kocami, a mimo to mróz przechodził przez nie jak przez papier. Metalowe rurki deformowały się, wreszcie zaczęły przeciekać. O trzeciej po południu gubiliśmy już poważne ilości płynu. Postanowiłem wykorzystać nasze cenne kompresy rozgrzewające do ocieplania nóg Mahlera, a cały topniejący śnieg zachować dla chłodnicy. Ten jednak rozpuszczał się bardzo wolno. Było to niepokojące, choć znacznie groźniejszy był fakt, że z każdą kroplą cieczy, która wydobywała się z chłodnicy, wyciekał również płyn przeciwko zamarzaniu. A niewielka butelka z etylenem glikolu, którą mieliśmy ze sobą, stawała się coraz lżejsza.

Od wielu już godzin nikt, poza kierowcą, nie obserwował trasy. Jackstraw, Zagero, Corazzini i ja troszczyliśmy się wyłącznie o stan traktora. Z nas czterech tylko Jackstraw miał szansę uniknięcia odmrożeń, które mogłyby spowodować trwałe szramy czy nawet amputację. Zagero prawdopodobnie nigdy jeszcze nie miał na twarzy tyłu śladów co obecnie. Zbyt późno zaczęliśmy stosować kompresy z chłodnej wody na jego prawe ucho, które bez wątpienia będzie wymagało interwencji chirurga. Na stole operacyjnym znajdzie się z pewnością także Corazzini, którego dwa palce u nóg były fatalnie odmrożone. Moje dłonie przypominały krwawą, pełną bólu masę, palce nie miały czucia, a paznokcie dawno już straciły życie. Również osoby znajdujące się przez cały czas w kabinie nie były w lepszym stanie. Szybko zaczęły dawać o sobie znać pierwsze rezultaty zimna — chęć do spania, absolutne zubożenie na wszystko, co działo się dookoła. Wiedziałem,

że później przyjdzie bezsenność, anemia, zaburzenia układu trawiennego, napięcie nerwowe, prowadzące czasami do szaleństwa. Wszystko to czytałem w twarzach pasażerów, kiedy po moim dyżurze przy kierownicy wchodziłem do kabiny, aby ogrzać w gorącej wodzie przemarznięte do szpiku kończyny. Za każdym razem wygląd pasażerów był taki sam. Senator siedział skulony na podłodze, Mahler wyglądał jakby spał, a pani Dandsby–Gregg i Helena — widok doprawdy niezwykły, choć tu u nas zupełnie zrozumiały — tuliły się do siebie. Arktyka niweluje wszelkie uprzedzenia towarzyskie. Wiedziałem, że jeśli pani Dandsby–Gregg wróci do świata cywilizowanego, godziny fraternizacji z pokojówką będą dla niej z pewnością niemiłym wspomnieniem. Chwilami nie znośłem jej. Była dla mnie typowym przedstawicielem pełnej zakłamania grupy snobów.

Maria le Garde, wspaniała, niepokonana Maria le Garde, była już tylko starą, chorą, słabnącą z godziny na godzinę kobietą. Jej dobry humor, do którego zmuszała się od czasu do czasu, sprawiał na mnie bolesne, nieprzyjemne wrażenie. Wiedziałem, że był to trud ponad jej siły. Niestety, nic nie mogłem dla niej zrobić.

Zbliżała się do końca swej wędrówki. Życie ją opuszczało... Jeszcze dzień, dwa i odejdzie z tego świata.

Solly Levin opiekował się lampami lutowniczymi. To on grzał wodę w wiadrach. Opatulony we wszystko, co miał, z jednym tylko widocznym okiem wyglądał jak żywy obraz nieszczęścia. Nie troszczyłem się jednak o Solly'ego Levina. Dla mnie był podejrzanym.

Margaret Ross drzemała obok pieca. Starałem się na nią nie patrzeć. Jej blada twarz wywoływała we mnie ból; nie tylko moralny, także fizyczny.

Niezwykłą osobą był pastor Smallwood. Początkowo sądziłem, że to on będzie tym, który załamie się pierwszy. Potem musiałem zmienić zdanie. Wszystko wskazywało na to, że będzie ostatni. Trzy godziny temu podszedł do znajdujących się za traktorem sań, na których właśnie

siedziałem, i wziął swoją walizkę. Otworzył ją i wóczas zobaczyłem czarną sutannę z czerwono-fioletową pelerynką. Wyjął z walizki Biblię, włożył okulary na nos i pogрузił się w lekturze. Wyglądał na człowieka zupełnie spokojnego, zdolnego czytać swoją Biblię w nieskończoność. Jako lekarz i naukowiec jestem racjonalistą, ale gdy patrzyłem na niego, wydawało mi się, że jest coś, co go moralnie podtrzymuje, coś, czego nam wszystkim brakowało. Mogłem mu tylko zazdrościć.

Wieczorem spadły na nas dwa ciosy. Pierwszy był ciosem fizycznym. Znak po nim noszę na czole do dziś. Zatrzymaliśmy się kilka minut przed ósmą, aby, tak jak się umówiliśmy, nawiązać łączność z Hillcrestem. Pod pretekstem konieczności ochłodzenia przegrzanego silnika naszego traktora — mróz wyraźnie zelżał — chciałem przeciągnąć postój najdłużej, jak tylko możliwe, aby podążająca za nami grupa Hillcresta mogła zbliżyć się maksymalnie. Temperatura podniosła się o dwanaście stopni, ale z powodu głodu i zmęczenia ciągle było nam straszliwie zimno. Cierpieliśmy tak samo, jak kilka godzin temu. Wiatr ustał. Daleko na południowym zachodzie można było dostrzec ciągnące się poprzez stu pięćdziesięciokilometrową przestrzeń, którą mieliśmy przebyć, grzbiety pagórków Windeby Nunatak. Ostre szczyty rysowały się wyraźnie na horyzoncie. Wyłączyłem silnik, poszedłem do kabiny i uprzedziłem pasażerów o postoju. Poprosiłem Margaret Ross, żeby przygotowała nam kolację: zupę, suche owoce i jedną z czterech ostatnich puszek wołowiny. Jackstrawowi poleciłem zmontować antenę radiową, a sam wróciłem do traktora. Pochyliłem się i otworzyłem kurek spustowy, by zebrać do podstawionej bańki płyn przeciwko zamarzaniu. Zdawałem sobie sprawę, że w chłodnicy jest go już bardzo mało i że przy panującej temperaturze wszystko zamarznie w ciągu pół godziny, a przy okazji może pęknąć blok silnika. Prawdopodobnie z powodu ściekającego do bańki płynu nic nie słyszałem aż do ostatniej chwili. A kiedy wreszcie usłyszałem, ani przez moment nie pomyślałem, że powinienem się tego czegoś obawiać. Wstałem i odwróciłem się, ale było już za późno. Zauważyłem jakiś ruch w

ciemności, w oczach stanęły mi błyskawice i poczułem ostry ból. Twardy przedmiot uderzył mnie w czoło ponad prawą brwią, tuż nad okularami. I to było wszystko.

Straciłem przytomność.

Bez przesady mogę powiedzieć, że otarłem się wówczas o śmierć. Mogłem łatwo usnąć snem, z którego nie można się obudzić. Na szczęście ocknąłem się. Ktoś mną potrząsał.

— Doktorze Mason, doktorze Mason! — Jackstraw trzymał moją głowę w ramionach. Mówił do mnie cichym, ale przekonującym głosem. — Niech się pan obudzi, doktorze Mason. Brawo, brawo! Ostrożnie. Ostrożnie, doktorze!

Kręciło mi się w głowie. Podtrzymywany silnym ramieniem Jackstrawa, wyprostowałem się i usiadłem. Bolesny płomień parzył mi czoło. Poczulem, że po raz drugi ogarnia mnie słabość. Oparłem się jej jednak i niewiele rozumiejąc, podniosłem oczy na Jackstrawa. Nie widziałem dobrze. Dopiero po sekundzie zdałem sobie sprawę, że to spływająca z czoła krew zalała mi oczy. Na prawej powiece zdążyła już się utworzyć zakrzepła skorupa.

— Czy wie pan, kto to zrobił, doktorze Mason? — Jackstraw nigdy nie zadałby idiotycznego pytania w rodzaju „Co się stało?”

— Nie mam pojęcia — odpowiedziałem, usiłując wstać. — A pan?

— Również nie wiem. Kiedy zatrzymał pan silnik, wyszło ich trzech czy czterech z kabiny. Nie wiem, dokąd poszli. Montowałem antenę i byłem kilkaset kroków od traktora.

— Aparat, Jackstraw! — wrzasnąłem. — Gdzie jest aparat radiowy?

— Niech się pan nie niepokoi, doktorze Mason. Mam go tutaj, ze sobą... Ale jaki może być motyw tego napadu?

— Nie mam pojęcia... — Wsunąłem rękę do kieszeni skafandra i znów spojrzałem na Jackstrawa. — Mój pistolet jest ciągle na miejscu...

— A inne rzeczy... Czy nic panu nie brakuje?

— Nie... Chwileczkę! Zapasowy magazynek? — Ten także był na miejscu. — Prawda... — powiedziałem powoli — papier... Wycinek prasowy z portfela pułkownika Harrisona. Nie ma go.

— Wycinek prasowy? Co w nim było, doktorze Mason?

— Ma pan przed sobą największego durnia, Jackstraw! — Potrząsnąłem ze złością głową. — Nawet nie przeczytałem tego przeklętego papieru.

— Gdyby pan przeczytał — zauważył filozoficznie Jackstraw — wiedziałby pan, dlaczego go odebrano.

— Ale co to ma znaczyć? — spytałem zdziwiony. — Mogłem to przecież przeczytać dziesiątki razy. Nie mogli wiedzieć, że nie zrobiłem tego.

— Wydaje mi się, że oni doskonale zdają sobie z tego sprawę — powiedział powoli Jackstraw.

— Gdyby go pan przeczytał, z pewnością musiałby pan powiedzieć coś albo uczynić...

Prawdopodobnie sytuacja zmusiła ich do takiego ryzyka, jak napaść na pana. Szkoda... Nie wierzę, doktorze, żeby kiedykolwiek zobaczył pan jeszcze ten wycinek.

Pięć minut później przemyłem ranę i założyłem opatrunek.

Kiedy Zagero spytał mnie, co się stało, odpowiedziałem, że uderzyłem się o jedną z rur w traktorze, i wyszedłem z kabiny w towarzystwie Jackstrawa.

Na horyzoncie ukazał się księżyc; widzialność była dużo lepsza. Naturalnie, spóźniliśmy się na nasze spotkanie w eterze, ale mimo to, gdy tylko włączyłem odbiornik, usłyszałem wyraźnie sygnał Jossa.

Potwierdziłem go i spytałem bez wstępu:

— Jakie wiadomości z Uplavnika?

— Dwie sprawy, doktorze Mason. — Przed mikrofonem był Hillcrest. Niezależnie od zniekształceń spowodowanych przez nasz przypadkowy głośnik, jego głos wydał mi się dziwny. Był to głos osoby, która stara się mówić spokojnie, kipiąc jednocześnie z gniewu. — Uplavnik jest

w kontakcie z lotniskowcem HMS „Triton”, który płynie przez Cieśninę Davisa. „Triton” jest w stałym kontakcie z admiralicją i rządem. Tyle zrozumiałem. A oto odpowiedź na wasze pytania.

Przede wszystkim lista pasażerów nie została jeszcze przekazana przez biuro towarzystwa lotniczego w USA. W każdym razie z dzienników wiadomo, że na pokładzie samolotu znajdowały się trzy znane osoby: gwiazda musicali Maria le Garde, amerykański senator Brewster i pani Phyllis Dandsby–Gregg z Londynu.

W tym nie było nic ciekawego. Nigdy nie podejrzewałem Marii le Garde. Nigdy nie stawiałem znaku zapytania przy pani Dandsby–Gregg ani przy jej pokojówce, Helenie Fleming. Wiedziałem również, że senator Brewster nie może być jednym ze zbrodniarzy.

— Druga sprawa. Admiralicja nie chce poinformować, dlaczego samolot został zmuszony do lądowania, ale wydaje mi się, że ten akt piractwa został spowodowany bardzo ważnym wydarzeniem. Uplawnik informuje tylko o tym, że przyczyna musiała być bardzo poważna.

Pozwolono im przekazać jedynie tyle, iż któryś z pasażerów samolotu miał przy sobie coś tak ważnego, że nie należy podawać tego do wiadomości publicznej. Proszę mnie nie pytać, co to jest. Być może chodzi o jakiś mikrofilm, wzór chemiczny, względnie o dane, których ktoś nauczył się na pamięć. Może się to panu wydać nieprawdopodobne, ale nie mogę powiedzieć nic więcej. Jest możliwe, że tę tajemniczą rzecz miał pułkownik Harrison.

Spojrzeliśmy z Jackstrawem na siebie. Człowiek, który mnie uderzył, spieszył się. Zdawałem sobie sprawę, że walczę jak ślepiec z przeciwnikami, którzy przewyższali mnie i przebiegłością, i bezwzględnością. Wiedzieli, że Joss nie mógł naprawić swojego nadajnika. W konsekwencji zrozumieli, że rozmawiałem z Hillcrestem. Wiedzieli o tym, gdyż sam im powiedziałem, że nasz aparat znajdujący się na traktorze ma maksymalny zasięg stu pięćdziesięciu kilometrów. Wniosek nasuwał się więc sam: albo Hillcrest rozmawiał ze mną z baraku stacji, albo znajdował się jeszcze bliżej. Powiedziałem im również, że Hillcrest i jego ekipa nie powrócą wcześniej jak za dwa lub

trzy tygodnie. Jego nagły powrót był więc wydarzeniem, którego nie można było przewidzieć, wydarzeniem nadzwyczajnym. Nietrudno zgadnąć, co było przyczyną. Przypuszczam, że wiedzieli, iż poprosiłem Hillcresta, aby zbadał przyczyny katastrofy.

Zdumiewała mnie bezczelność bandytów, którzy byli pewni, że władze nie podadzą żadnych motywów tłumaczących wypadek, i dlatego pozbawili mnie jedyne dowodu, pozwalającego zrozumieć, o co chodzi. Niestety, za późno było na lamenty.

Przeszedłem na nadawanie.

— Dziękuję. Proszę jeszcze raz skontaktować się z Uplawnikiem i zażądać za wszelką cenę, żeby podali nam prawdziwe przyczyny wypadku... W jakiej odległości znajdujecie się od nas? My od południa zrobiliśmy tylko trzydzieści pięć kilometrów. Mróz trzyma. Mamy poważne trudności z chłodnicą. Koniec.

— Zrobiliśmy zaledwie dwanaście kilometrów od południa. Wydaje mi się...

Przekręciłem gałkę.

— Dwanaście kilometrów? — powtórzyłem głuchym głosem. — Czy dobrze usłyszałem?

— Dobrze pan słyszał! — W głosie Hillcresta brzmiała wściekłość. — Czy pan sobie przypomina cukier, który znikł z baraku? Odnalazł się! Pańscy kochani przyjaciele wrzucili go do paliwa. Jesteśmy zupełnie sparaliżowani.

ŚRODA, ÓSMA WIECZOREM — CZWARTEK, CZWARTA PO POŁUDNIU

Ruszyliśmy kilka minut po dziewiątej. Początkowo miałem zamiar, posługując się wszelkiego rodzaju wybiegami, a nawet uszkodzając silnik, pozostać na miejscu przez wiele godzin, w każdym razie dopóty, dopóki mordercy, zaniepokojeni celowo przeciąganym postojem, nie przeszliby do ataku. Zaplanowałem, że po godzinie czy dwóch Jackstraw weźmie swój sztucer, z którym nie rozstawał się ani przez chwilę, a ja pistolet i będziemy pilnować wszystkich aż do przybycia Hillcresta. Gdyby sprawy ułożyły się tak, jak myślałem, dotarłby do nas około północy. I wtedy

nasze kłopoty zakończyłyby się.

Niestety, stało się inaczej. Nowoczesny traktor był unieruchomiony. Mahler słabł z każdą chwilą, a Maria le Garde znajdowała się w stanie zupełnego wycieńczenia. Nie mogłem pozostać na miejscu. Gdybym był twardszy, a przede wszystkim gdybym nie był lekarzem, mógłbym przyjąć, że zarówno Mahler, jak i Maria le Garde są co najwyżej drobnymi pionkami w tej wielkiej grze. Ich życie nie miałyby wtedy żadnego znaczenia. Podejrzanych mógłbym trzymać pod lufami aż do przybycia Hillcresta, nawet gdyby miało to trwać dwadzieścia cztery godziny. Stan moich chorych nie pozwalał jednak na to. Wiem, że była to z mojej strony słabość, ale słabość, z której byłem dumny i którą dzieliłem z identycznie myślącym Jackstrawem.

Wsypanie cukru do benzyny — ze złości przegryzłem wargi, przypominając sobie chwilę, w której powiedziałem, że Hillcrest ma bardzo mały zapas paliwa — to był diabelski pomysł! Zacząłem podejrzewać, że mordercy potrafią zapobiec wszelkim ewentualnościom. Nie przeszkadzało mi to oczywiście wierzyć, że Hillcrest będzie umiał wybrnąć z sytuacji, w jakiej się znalazł, i przybędzie. Olbrzymia kabina jego pojazdu mieściła cały warsztat z narzędziami potrzebnymi do zrobienia nawet kapitalnego remontu. Hillcrest powiedział mi, że jego kierowca zdążył już rozebrać i przemyć silnik. Byłem prawie pewien, iż pozostali członkowie ekipy zbudowali coś w rodzaju aparatu destylacyjnego i próbują oczyścić benzynę. Wszak Hillcrest wiedział o różnicy temperatur wrzenia benzyny i cukru, a także i o tym, że pary, które powstaną w czasie podgrzewania tej mieszanki, będą parami czystej benzyny. Łatwo je było skroplić i zebrać w odpowiednim pojemniku.

Ale to była tylko teoria. Hillcrest w rozmowie ze mną nie był zbyt pewien, czy ta operacja powiedzie się. Chciał, żebym mu coś doradził. Wydawało mi się, że nijak nie mogę mu pomóc. Niestety, myliłem się, i to w sposób niewybaczalny. Wiedziałem przecież o czymś, o czym nikt inny nie miał pojęcia, ale podczas naszej rozmowy radiowej nie pomyślałem o tym. I dlatego nic

nie mogło nas ustrzec od tragedii, która miała nastąpić. Nieświadomie zmarnowałem szansę uratowania życia tych, którym los przeznaczył śmierć.

Traktor z ogłuszającym warkotem posuwał się powoli w kierunku południowo–zachodnim.

Byłem pogrążony w czarnych myślach, ogarnęła mnie zupełna depresja, a jednocześnie wściekłość jeżyła mi włosy. Instynktownie czułem, że spotka nas w najbliższym czasie jakaś straszliwa klęska.

Własna bezradność doprowadzała mnie do pasji.

Jak obronić niewinnych, którzy oddali się pod moją opiekę: chorego Mahlera, wyczerpaną Marię le Garde, młodą, cichą Helenę, Margaret Ross... Zdawałem sobie sprawę, że mordercy mogą uderzyć w każdej chwili. Mogli sobie przecież wyobrazić, że Hillcrest przekazał mi już to, co powinienem był wiedzieć, i czekam teraz na odpowiedni moment, aby ich zdemaskować i unieszkodliwić. Z drugiej strony oni również wyczekiwali sposobnego momentu, nie mogąc dokładnie odgadnąć tego, co wiedziałem. Chcieli, by traktor ciągle posuwał się naprzód, by wciąż zbliżał się do im tylko znanego celu, w którym pragnęli zadać mi decydujący cios. Kto? Bezsilność wobec niemożności udzielenia sobie odpowiedzi na to dręczące pytanie była więcej niż męcząca. Chyba po raz setny przemyślałem wszystko od początku. Spośród dziesięciu pasażerów, których transportowaliśmy, sześć osób było poza podejrzeniami. Margaret Ross i Maria le Garde nie miały z tą sprawą nic wspólnego. Nie miałem także żadnych konkretnych zastrzeżeń w stosunku do pani Dandsby–Gregg i Heleny. Senatorzy amerykańscy mają swoje słabostki, ale nie wyobrażałem sobie, aby senator mógł być aż tak blisko powiązany z zawodowymi mordercami, a nawet brać udział w tego typu przestępstwie. Jeżeli chodzi o Mahlera, nie mógł być przestępcą nie tylko dlatego, że był diabetykiem, ale z tej prostej przyczyny, że znajdował się właściwie na krawędzi śmierci.

Wobec tego pozostawały tylko cztery osoby — Zagero, Solly Levin, Corazzini i pastor

Smallwood. Pastor był zbyt prawdziwy, aby być fałszywym. Przez ostatnie dni ani przez chwilę nie

rozstawiał się ze swoją Biblią. Ktoś przebrany może przez pewien czas grać komedię, aby przekonać innych o swojej tożsamości, ale sposób zachowania się Smallwooda daleko wykraczał poza taką możliwość. Byłoby śmieszne podejrzewać go. Tak mi się wydawało.

Miałem powody, aby podejrzewać Corazziniego. Ten specjalista od traktorów w rzeczywistości nie znał się na nich zupełnie. Uczciwie jednak trzeba przyznać, że między naszym traktorem a tymi, które on produkował, istniała różnica dwudziestu pięciu lat, a więc ćwierć wieku postępu technicznego. Corazzini był też jedynym zupełnie przytomnym pasażerem w kabinie samolotu. To on właśnie zadawał mi wiele pytań na temat działalności grupy Hillcresta. On także pomagał Jackstrawowi i Zagerowi w wyjmowaniu z magazynu baniek z benzyną. Jemu było najłatwiej wsypać do nich cukier. Prócz tego wyglądał na człowieka, który potrafi być bezlitosny. Na jego korzyść przemawiała tylko ciągle zabandażowana ręka. Była to pamiątka chwili, w której próbował podtrzymać spadający radioaparat. Poza tym Margaret Ross twierdziła, iż Corazzini nie opuszczał ani przez chwilę fotela w samolocie. To oczywiście nie tłumaczyło go w sposób absolutny. Mógł mieć współnika. Ale kogo?

Miałem dużo więcej powodów, by podejrzewać Zagera oraz Solly'ego Levina. Zagero pytał w samolocie stewardesę, o której godzinie będzie podana kolacja. To źle o nim świadczyło. Solly Levin był osobą znajdującą się w chwili wypadku najbliżej radioaparatu. Było mu łatwiej wysunąć spod niego płożę. Zagero również nosił bańki z benzyną. A co najważniejsze, Zagero tak był podobny do boksera, jak Solly Levin do menażera.

Wśród tych rozważań po raz pierwszy przyszło mi na myśl, że zbrodniarzy jest, być może, więcej, na przykład trzech. Corazzini, Zagero i Solly Levin mogli być współnikami. Pomyślałem nad konsekwencjami takiej hipotezy. Przeraziłem się. Gdyby tak było, groziło nam dużo większe niebezpieczeństwo, niż byłem w stanie dotąd sobie to wyobrazić. Nawet jeśli pracowali oddzielnie, z pewnością łączył ich wspólny cel.

Posuwaliśmy się ciągle wzdłuż trasy wytyczonej przez chorągwie. O trzeciej nad ranem traktor zaczął kapryścić. Właściwie nie było to kapryśzenie w dosłownym tego słowa znaczeniu. Silnik wyraźnie słabł. Jackstraw, który właśnie siedział za kierownicą, zmienił bieg. Osiągaliśmy pierwszy stopień wzniesienia, które prowadziło poprzez łańcuch wzgórz Nunatak. Mogliśmy je ominąć, ale stracilibyśmy przez to dzień drogi, a tak pozostawało nam do przebycia zaledwie piętnaście kilometrów.

Dwie godziny później, kiedy stromizna wzrosła, gąsienice traktora zaczęły się ślizgać, zrzucając pojazd. Stabilność uzyskaliśmy dopiero wówczas, gdy wszystko, co znajdowało się na saniach, przenieśliśmy do wnętrza kabiny. Jechaliśmy zakosami. Potrzeba nam było pełnej godziny, aby pokonać ostatnie dzielące nas od szczytu półtora kilometra. Tam zatrzymaliśmy się. Była siódma rano. Droga przez lodowy wąwóz była dość niebezpieczna i dlatego postanowiłem, że ruszymy dopiero około południa.

Podczas przygotowywania śniadania zbadałem Mahlera i Marię le Garde. Wzrost temperatury — było już tylko trzydzieści pięć stopni poniżej zera — nie na wiele im się przydał. Maria le Garde wyglądała, jakby nie jadła od tygodni. Jej twarz przeraźliwie wychudła, a oczy straciły cały blask. Były zapuchnięte, przekrwione. Od dziesięciu godzin leżała cicho w swoim kącie. Tylko od czasu do czasu odzyskiwała przytomność. Patrzyła wtedy przed siebie niewidzącymi oczyma. Mahler był w stosunkowo lepszym stanie od niej. Wiedziałem jednak, że kiedy jego odporność osłabnie, załamie się w ciągu kilku godzin. Mimo wszystkich naszych wysiłków nie zdołaliśmy go uchronić przed odmrożeniem nóg. Cierpiał też na straszliwy katar. Zaraził się nim prawdopodobnie jeszcze w Nowym Jorku — w Arktyce nie można złapać kataru. Nie miał już tej energii, która pozwalałaby mu walczyć z mrozem, z katarą, z pękającymi na jego ciele wrzodami. Jego ciężki oddech coraz mocniej było czuć acetonem. Sprawiał co prawda wrażenie zupełnie przytomnego, ale wiedziałem, że w każdej chwili grozi mu śpiączka.

O ósmej oddaliłem się z Jackstrawem od traktora, aby nawiązać kontakt z Hillcrestem. Serce zamarło mi w piersi, gdy usłyszałem, że przez dwanaście godzin posunął się zaledwie trzy kilometry. Wiedziałem, że doprowadzenie dwudziestopięciolitrowej bańki benzyny do stanu wrzenia zabiera na tym mrozie wiele czasu, zwłaszcza gdy można posługiwać się tylko naftowym piecykiem i lampami lutowniczymi. Poza tym nie wydarzyło się nic nowego. Uplawnik nie przekazał żadnych wiadomości. Bez słowa zdemontowaliśmy aparat i wróciliśmy do traktora. Jeszcze nigdy dotąd tradycyjny dobry humor, tak typowy dla Eskimosów, nie opuścił Jackstrawa. Teraz przestał się uśmiechać. Wydawało się, że ostatnia nadzieja uleciała bezpowrotnie.

O jedenastej uruchomiliśmy traktor i ruszyliśmy prosto na przełęcz. Siedziałem za kierownicą. Byłem sam na traktorze. Mahler i Maria le Garde, okryci stertą odzieży, leżeli na saniach. Reszta szła pieszo. Traktor był szeroki, a przełęcz bardzo wąska. Każdy, kto znajdowałby się w kabinie, byłby narażony na uderzenia, które mogły zakończyć się tragicznie.

Początek drogi był raczej łatwy. Wąwóz szerokości trzech metrów nie miał zbyt wielu zakrętów, tak że posuwaliśmy się dość szybko. W południe — powiadomiłem przedtem Hillcresta, że nie będę mógł o tej porze skontaktować się z nim, gdyż będziemy wówczas przekraczali grzbiet — pokonaliśmy ponad połowę drogi. Traktor znajdował się właśnie w bardzo wąskim przesmyku, gdy zobaczyłem biegnącego w moją stronę Corazziniego, który dawał mi znaki, bym się zatrzymał. Prawdopodobnie wołał mnie od dłuższego już czasu. Niestety, z powodu huku silnika nic nie słyszałem, a szeroka kabina zasłaniała widok tak, że nic nie mogłem dostrzec w znajdującym się nade mną lusterku.

— Poważne przykrości, doktorze — powiedział jednym tchem, w chwili gdy zatrzymywałem silnik. — Ktoś wyleciał z sań i wpadł do szczeliny. Niech pan pójdzie ze mną, szybko!

— Kto? — Zeskoczyłem z siedzenia, zapominając zupełnie o pistolecie, który znajdował się w bocznej kieszeni drzwi pojazdu. Trzymałem go tam, żeby stale był pod ręką. Na wypadek, gdyby

ktoś chciał mnie zaskoczyć zniemacka. — Jak to się stało?

— Ta młoda Niemka, Helena. — Biegliśmy ramię w ramię. Czterdzieści metrów za zakrętem zobaczyłem grupkę ludzi stojących nad szczeliną w lodzie. — Pośliznęła się i upadła, nie wiem w jaki sposób. Pański przyjaciel opuścił się na dół, żeby ją znaleźć.

— Co?! — Wiedziałem doskonale, jak trudno jest obliczyć na oko głębokość szczeliny.

Odepchnąłem brutalnie Brewstera i Levina i pochyliłem się nad niebieskozieloną przepaścią. Zaparło mi dech. Po prawej stronie, na ścianie pokrytej trzymetrową warstwą krystalicznej substancji, podobnej do lodowatego cukru, i oddalonej od drugiej ściany o około dwa i pół metra, znajdowała się niewielka grotka, której rozmiarów nie mogłem dokładnie określić. Pod tą grotką była już przepaść, czarna, bezdenna. Na głębokości około siedmiu metrów obie ściany były połączone czymś w rodzaju mostu z lodu i śniegu. Na tym moście stał Jackstraw trzymając Helenę, która — jak się zorientowałem — była nieprzytomna. Zrozumiałem, dlaczego Jackstraw się tam dostał. Był zbyt ostrożny, by bez gwałtownie zaistniałej przyczyny zejść w szczelinę bez asekuracji, i zbyt doświadczony, by zaryzykować wejście na śniegowy most, który mógł przecież okazać się zdradziecki. Ale kiedy Helena spadała, prawdopodobnie spadała źle, próbując osłonić sobie obojczyk. Musiało zakręcić jej się w głowie, gdy wstawała, i Jackstraw chcąc uchronić ją przed wpadnięciem do przepaści, skoczył na most i przytrzymał ją. Kiedy zrozumiałem, co zrobił, zadałem sobie pytanie, czy miałbym dość odwagi, by zrobić to samo. Chyba nie.

— Czy wszystko w porządku? — wrzasnąłem.

— Zdaje się, że złamałem lewą rękę — odpowiedział spokojnie Jackstraw. — Niech pan szybko działa doktorze! Most jest bardzo lichy. Czuję, że się osuwa.

Złamana ręka, zapadający się most! Z miejsca, gdzie stałem, widziałem wyraźnie, jak kawałki lodu i śniegu odrywają się od dolnej części mostu i lecą w przepaść. Głos Jackstrawa, a przede wszystkim jego bardzo spokojny ton podziały na mnie silniej niż najgłośniejsze wołanie o pomoc.

W pierwszej chwili jednak ogarnęła mnie panika. Liny... Ale przecież Jackstraw, mając złamaną rękę, nie mógł przywiązać ich do siebie. Nie mogła tego zrobić również Helena. Oboje byli bezsilni. Ktoś powinien do nich zejść, i to natychmiast. Kiedy przyglądałem się szczelinie, wielki kawał lodu oddzielił się od mostu i powoli ześliznął po ścianie, by zniknąć gdzieś w głębi. Dopiero po kilkudziesięciu sekundach usłyszeliśmy, jak spadł na dno.

Skoczyłem na nogi i ruszyłem w stronę sań. W jaki sposób ubezpieczać tego, kto zejdzie do szczeliny? Miała niespełna trzy metry szerokości. Dwóch albo trzech mężczyzn mogło trzymać sznur, ale czy ci, którzy by stali na górze, na śliskim lodzie, ustaliby w miejscu, wyciągając dwoje dorosłych, przywiązanych do sznura, ludzi? Prawdopodobnie przelecieliby również przez krawędź. Haki? Wbić haki do lodu i do nich przymocować sznur? Ale ile czasu potrzeba na wbicie haków w bardzo twardy lód? I to w dodatku gdy się nie ma gwarancji, że nie pęknie on w miejscu ich zamocowania? Pomyślałem o traktorze. Można by było przywiązać do niego każdy ciężar, ale i na to trzeba było zbyt wiele czasu. Wreszcie wpadłem na jedyny możliwy do realizacji i sensowny sposób. Cztery grube drągi, które wystawały z towarowych sań! Powinienem był od razu zwrócić na nie uwagę.

Chwyciłem kłębek nylonowego sznura i jeden z drągów. Gdy Zagero wyciągał z sań następny, ja biegłem już na miejsce wypadku, i to tak szybko, jak tylko mogłem. Każdy z drągów, długości czterech metrów i grubości dziesięciu centymetrów, ważył ponad pięćdziesiąt kilogramów.

Konieczność działania zawsze jednak dodaje człowiekowi sił. Dobiegłszy, przerzuciłem drąg ponad szczelinę, a kilka sekund później Zagero uczynił to samo.

Zdjąłem futrzane rękawice i na końcu sznura zrobiłem podwójny węzeł. Wsunąłem weń nogi, a klatkę piersiową okręciłem dookoła liną. Siadłszy okrakiem na drągach, przesunąłem się ku środkowi szczeliny i powoli zacząłem opuszczać się na most. Po kilku sekundach moje stopy znalazły się dokładnie obok miejsca, gdzie znajdowali się Jackstraw i Helena.

Poczułem, że most zakołysał się podę mną. Nie myślałem jednak o tym. Złapałem zwisający nade mną koniec drugiej liny i okręciłem ją mocno wokół klatki piersiowej Heleny. Lina natychmiast wyprężyła się. Dziewczyna krzyknęła z bólu.

Już później dowiedziałem się, że Helena zawdzięczała życie Mahlerowi. Psie sanie, na których jechali Mahler i Maria le Garde, zatrzymały się akurat na wprost miejsca wypadku. Mahler wrzasnął na Brewstera i Margaret Ross, by usiedli na saniach i przeciągnęli linę pod płozami. Było to ryzykowne, ale na szczęście zakończyło się sukcesem. Wystarczyło zatrzymać sanki i wyrównać niewielki ciężar Heleny.

Popełniłem błąd — drugi błąd tego popołudnia — który mógł kosztować nas życie. Chciałem podnieść Helenę, by pomóc tym, którzy znajdowali się na górze. Wstałem jednak zbyt gwałtownie, co fatalnie podziałało na ledwo trzymający się most. Usłyszałem niebezpieczny trzask i poczułem, że lód ustępuje pod moimi nogami. Puściłem Helenę, która wisiała już w powietrzu, chwyciłem Jackstrawę i skoczyłem w przeciwny koniec mostu. Ułamek sekundy później lód, na którym staliśmy jeszcze przed chwilą, oderwał się i z głuchym łoskotem rozbił się w przepaści.

Przyciskając do siebie z całej siły Jackstrawę i kołysząc się wraz z nim na linie niczym wahadło, uderzyłem silnie o przeciwną ścianę szczeliny. Cichy jęk bólu, który przypomniiał mi nagle o złamanej ręce przyjaciela, zmusił mnie do zadania sobie pytania, jak długo jeszcze potrafię go utrzymać, jeśli załamie się i ta część mostu. Cudem — inaczej nie mogłem tego nazwać — nasza część trzymała się jednak dobrze.

Niemal przyklepni do lodowej ściany, staliśmy obaj w milczeniu i bez ruchu, obawiając się nawet oddychać. Nagle usłyszałem nad sobą okrzyk bólu. Krzyknęła Helena, która prawdopodobnie uraziła się w obojczyk, gdy przeciągano ją przez brzeg szczeliny. Ale nie ona mnie zainteresowała, lecz... Corazzini. Stał na samej krawędzi i trzymał w ręce mój pistolet. Nigdy jeszcze nie doznałem uczucia takiego zawodu i takiej bezsilnej rozpacz, mało tego — takiego

strachu. Znalazłem się w sytuacji, której obawiałem się najbardziej, której starałem się uniknąć za wszelką cenę — razem z Jackstrawem byliśmy zdani na pastwę mordercy. Strach mieszał się z wściekłością, z bezsilnym gniewem na tego człowieka, który potrafił wszystko tak doskonale przemyśleć i zorganizować. Przeklinałem samego siebie, że pozwoliłem wciągnąć się w taką pułapkę.

Małe dziecko mogło zrozumieć, jak się to wszystko odbyło. Most ze śniegu i lodu był dla Corazziniego znakomitym miejscem do wykonania jego zamysłu. Wystarczyło tylko w odpowiedniej chwili leciutko popchnąć Helenę Fleming, by wszystko wskazywało, że był to zwykły wypadek. Nietrudno było przewidzieć, że Jackstraw i ja zejdziemy na most, by przywiązać młodą dziewczynę do liny, gdyż mając złamany obojczyk, nie będzie mogła zrobić tego sama. Podejrzewam, że Corazzini liczył się nawet z tym, iż Helena może nie wylądować na moście, ale razem z nim runąć w przepaść. Wówczas przeszedłby nad tym do porządku dziennego. Jako zimny, bezwzględny morderca, nie liczył się przecież z życiem człowieka. Udało mu się jednak — najpierw jeden z nas był na dole, a drugi kierował ratunkiem, teraz zaś obaj stoimy na resztkę walącego się mostu. Wystarczy maleńkie pchnięcie i wszystkie problemy Corazziniego będą od razu rozwiązane.

Miałem sucho w ustach, pot spływał po moich zaciśniętych pięściach, serce głucho łomotało mi w piersi. Zastanawiałem się właśnie, co robi, by zadać ostateczny cios, gdy ujrzałem zbliżającego się doń pastora Smallwooda. Miał wyciągnięte ręce i mówił coś, czego nie zdołałem jednak dosłyszeć. Był to ze strony tego człowieka gest odwagi, ale gest bez żadnego znaczenia.

Zobaczyłem, jak Corazzini przełożył pistolet do lewej ręki i trzasnął go w twarz. Padającego Smallwooda nie dojrzałem już, doszedł mnie jedynie dźwięk towarzyszący uderzeniu ciała o lód. Corazzini, grożąc pistoletem — to mogłem sobie już tylko wyobrazić — wszystkim pozostałym rozkazał odejść. Potem nagle pojawił się znów nad szczeliną, tuż obok przerzuconych nad nią

dragów. Wiedziałem już, w jaki sposób chce się nas pozbyć. Po co tracić kule, skoro wystarczy pchnąć nogą oba dragi? Zmiażdżą nas — razem ważyły ponad sto kilogramów — połamią to, co jeszcze pozostało z mostu, i pociągną nas za sobą w przepaść. Byliśmy wszak do nich przywiązani. W chwili rozpaczy pomyślałem o sztucerze, który Jackstraw nosił stale na ramieniu.

Natychmiast jednak porzuciłem tę myśl — na użycie go trzeba by było kilkunastu sekund, a poza tym nie na wiele by mi się przydał. Gdybym natomiast skoczył w górę, tak aby w połowie długości uchwycić sznur, ciężar dragów zwiększyłby się o moją wagę i Corazziniemu nie byłoby już tak łatwo je przesunąć. W tym czasie ktoś inny mógłby go zaatakować z tyłu. Być może Zagero. Stwarzało to maleńką szansę ocalenia życia Jackstrawa. Przygotowany do skoku, zgiąłem kolana i... zatrzymałem się jak sparalizowany. Zobaczyłem linę zsuwającą się powoli z krawędzi szczeliny i dotykającą mojego ramienia. Zdumiony, podniosłem oczy i ujrzałem uśmiechającego się do mnie Corazziniego.

— Słuchajcie, czy długo zamierzacie siedzieć tam na dole?

Nie potrafię opisać tego wszystkiego, co działo się w moim mózgu, zanim obaj z Jackstrawem znaleźliśmy się w bezpiecznym miejscu. Nie rozumiałem sytuacji. Wahałem się między nadzieją a przerażeniem. Nie wiedziałem, czy to przypadek, czy Corazzini igra z nami niczym kot z myszką. Drżałem na całym ciele, co Corazzini oczywiście dostrzegł, ale udał, że nie zwraca na to uwagi. Zbliżył się do mnie i trzymając berettę za lufę, podał mi ją.

— Powinien pan lepiej pilnować swojej artylerii, doktorze. Już od dłuższego czasu wiem, gdzie pan chowa ten pistolet. Wydaje mi się, że w ciągu ostatnich kilku minut mógłby on się komuś bardzo przydać.

— Ale... dlaczego...?

— Dlatego, że mam doskonałą robotę, która czeka na mnie w Glasgow, fotel wiceprezesa — powiedział ostrym tonem. — Chciałbym któregoś dnia w nim zasiąść.

— Odwrócił się do mnie plecami, nie dodając już ani słowa.

Zrozumiałem go. Wiedziałem, co chce wyrazić. Wiedziałem również, że zawdzięczamy mu życie. Corazzini, tak samo jak i ja, był przekonany, że cała ta historia, ten nasz wypadek, był z góry przygotowany. Nie musiał się długo zastanawiać, by odgadnąć, kto jest autorem tego pomysłu.

Zająłem się Jackstrawem. Kiedy zdjąłem z niego skafander, wystarczyło mi jedno spojrzenie, by zdać sobie sprawę, że na szczęście ręka jest tylko zwichnięta. Nawet nie westchnął głośniejsz ani nie zmienił wyrazu twarzy, kiedy mu ją nastawiałem. Gdy zakończyłem zabieg, uśmiechnął się.

Czułem, iż odetchnął z ulgą, gdy uświadomił sobie, że znów będę mógł na niego liczyć.

Podszedłem do Heleny Fleming. Siedziała na saniach i ciągle drżała. Pani Dandsby–Gregg i Margaret Ross robiły wszystko, co tylko mogły, aby ją uspokoić. Pomyślałem, że chyba po raz pierwszy w życiu pani Dandsby–Gregg próbuje komuś pomóc, i to komuś dużo od niej... gorszemu.

— Miała pani szczęście, drogie dziecko — odezwałem się do Heleny. — A teraz już wszystko dobrze... Czy nie złamała sobie pani czegoś? — Próbowałem mówić do niej w sposób żartobliwy.

— Nie, doktorze Mason. — Westchnęła przeciągle. — Nie wiem, jak mam panu dziękować.

Panu i panu Nielsenowi...

— Niech pani nawet nie próbuje — odpowiedziałem. — Kto panią popchnął?

— Co? — spytała, przyglądając mi się uważnie.

— Przecież pani słyszała. Kto to zrobił?

— Tak... to prawda. Byłam popchnięta. Ale to z pewnością był wypadek.

— Kto? — nalegałem.

— To ja — odezwał się Solly Levin. Był zdenerwowany.

— Ale tak jak twierdzi ta młoda pani, to był wypadek, doktorze. Musiałem się potknąć. Ktoś podstawił mi nogę i kopnął...

— Kto pana kopnął?!

— A czy ja wiem? Po cóż miałbym ją popychać?

— Bardzo chciałbym to wiedzieć — powiedziałem. Zauważyłem, że przygląda mi się.

Zagero wykonał ruch, jakby chciał do mnie podejść, ale brutalnie odsunąłem go i skierowałem się w stronę traktora. Pastor Smallwood, siedząc na saniach, okręcał sobie bandażem twarz.

Corazzini tłumaczył mu się:

— Jest mi bardzo przykro, pastorze, naprawdę bardzo przykro! Ani przez chwilę nie myślałem, że jest pan jednym ze zbrodniarzy, ale nie mogłem ryzykować. Czy pan mnie rozumie, pastorze?

Pastor Smallwood, jak przystało na dobrego chrześcijanina i kapłana, rozumiał i wybaczał.

Nie czekałem na koniec tego dialogu. Chciałem, żebyśmy jak najszybciej znaleźli się po drugiej stronie górskiego łańcucha i możliwie najdalej posunęli się naprzód przed zapadnięciem ciemności. Powinienem był zrobić coś jeszcze, ale wiedziałem, że nie wolno mi stracić ani chwili, a poza tym nie chciałem tego robić dopóty, dopóki będziemy musieli posuwać się wzdłuż tej przeklętej szczeliny.

Łańcuch górski minęliśmy bez dodatkowych przygód. Na najwyższe miejsce lekko wstępującej wyżyny, która prowadziła do samych wybrzeży Grenlandii, dotarliśmy, kiedy zgasł ostatni promień polarnego dnia. Tu zatrzymałem traktor. Zamieniłem kilka słów z Jackstrawem i poprosiłem Margaret Ross, aby podgrzała na mocno już spóźniony obiad konserwę wołową.

Przyglądałem się właśnie na wpół przytomnemu Mahlerowi i Marii le Garde, których przed sekundą przeniesiono do kabiny, gdy nagle pojawiła się obok mnie Margaret Ross. W jej oczach widniało przerażenie.

— Puszki, doktorze Mason... wołowina. Nie mogę jej znaleźć.

— Jak to? Wołowina? Przecież nie może leżeć daleko, Margaret. — Po raz pierwszy nazwałem ją po imieniu.

— Chodźmy, poszukamy.

Przeszukaliśmy wszystko i nic nie znaleźliśmy. Puszki znikły. Oto był motyw, na który czekałem od dawna. Jackstraw stał obok mnie, patrząc ironicznie, jak przetrząsamy sanie. Dałem mu znak głową.

— Za mną! — powiedziałem.

Odnalazłem pozostałych wewnątrz kabiny i usiadłem tak, by wszystkich mieć na oku. W pierwszym rzędzie Zagera i Solly'ego Levina.

— No cóż! — powiedziałem. — Słyszeliście. Nasze ostatnie puszki z wołowiną znikły. Nie mogły wyparować, ktoś więc je ukraść. Ten ktoś zrobi lepiej, jeżeli mi o tym powie, bo jestem pewien, że i tak je znajdę.

Zapadła ponura, przerywana tylko skomleniem psów cisza. Nikt nie powiedział ani słowa, nikt nie poruszył się, nikt nie spojrzał na sąsiada. Cisza przedłużała się.

Wszyscy odwrócili się gwałtownie i jednocześnie. Jackstraw odbezpieczył sztucer. Zauważyłem sztywniejące ramiona i plecy Zagera, który nagle zdał sobie sprawę, że lufa sztucera jest wycelowana w jego głowę.

— To nie przypadek, Zagero — powiedziałem ponurym głosem. Kiedy się odwrócił w moją stronę, miałem już w ręku pistolet. — Sztucer jest wycelowany w dobrym kierunku. Proszę mi przynieść swoją walizkę. — Spojrzał mi prosto w oczy, nie rozumiejąc. — Proszę mi ją przynieść! — powtórzyłem i wycelowałem pistolet w jego głowę. — Nie rozumiem, co mnie powstrzymuje przed zastrzeleniem pana!

Uwierzył, że nie żartuję. Poszedł po walizkę, przyniósł ją i rzucił mi pod nogi.

— Proszę ją otworzyć.

— Jest zamknięta na klucz.

— Proszę ją otworzyć!

Spojrzał na mnie bez wyrazu i zaczął szukać po kieszeniach. Wreszcie zrezygnował i powiedział:

— Nie mogę ich znaleźć.

— Spodziewałem się tego. Jackstraw... — Urwałem, zmieniawszy zamiar. Jedna broń nie wystarczała, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo w walce z takim typem jak Zagero. Spojrzałem kolejno na twarze moich pasażerów.

Wreszcie zdecydowałem się: — Pastorze Smallwood, może pan...

— Nie, dziękuję — odpowiedział szybko Smallwood i uśmiechnął się z zawstydzeniem. —

Jeszcze nigdy tak silnie nie odczuwałem, doktorze Mason, że jestem właściwie przede wszystkim człowiekiem pokoju. Być może pan Corazzini...

Spojrzałem na Corazziniego. Wzruszył ramionami. Rozumiałem jego brak entuzjazmu.

Prawdopodobnie zdawał sobie sprawę z tego, że przez długi czas był w moich oczach jednym z głównych podejrzanych, i dlatego pewna rezerwa w stosunku do mnie nie pozwalała mu wykazywać zbyt wiele zapału do moich zamierzeń. Nie była to jednak odpowiednia chwila na bawienie się w konwenanse. Dałem mu znak głową. Podszedł do Zagera.

Przeszukał go bardzo dokładnie, ale nic nie znalazł. Wtedy cofnął się, spojrzał na mnie i odwrócił się do Levina. Wyjął z jego kieszeni pęk kluczy i podrzucił je w powietrze.

— To jest jakaś zorganizowana akcja! — wrzasnął Solly Levin. — Na pewno tak! Corazzini z pewnością miał te klucze w swojej kieszeni i przełożył je do mojej! Nigdy nie miałem tych kluczy...

— Proszę się uspokoić! Czy to są pańskie klucze, Zagero?

Potwierdził ruchem głowy, nie dodając ani słowa.

— Doskonale, Corazzini — powiedziałem. — Szukajcie a znajdziecie.

Drugi klucz otworzył walizkę z miękkiej skóry. Corazzini przerzucił ubrania i wyjął spod nich

trzy puszki wołowiny.

— Dziękuję — powiedziałem. — Oto zapas potrzebny naszemu przyjacielowi na wycieczkę.

Pani Ross, to jest nasz obiad... Proszę mi odpowiedzieć, Zagero, dlaczego nie strzelam do pana natychmiast, dlaczego nie mogę pana zabić?

— Od chwili, kiedy pana poznałem, popełnia pan same błędy — odpowiedział Zagero, cedząc słowa. — Ale, mój drogi doktorze, w tym momencie popełnia pan największy. Czy pan naprawdę uważa, że byłbym takim idiotą, żeby oskarżyć siebie w ten sposób? Czy pan wyobraża sobie, że chcę być gwiazdorem za wszelką cenę?... Nawet tutaj?

— Myślę, że właśnie czeka pan na moją reakcję — odpowiedziałem zmęczonym głosem. — Ale proszę mi wierzyć, zrobiłem duży postęp... Jeszcze jedna mała sprawa, Corazzini, jeżeli to panu nie przeszkadza. Proszę związać im nogi.

— Co pan chce zrobić? — spytał podniesionym głosem Zagero.

— Niech się pan nie niepokoi. Kat na pewno otrzyma swoją zapłatę. Od tej chwili pan i Levin będziecie podróżować na saniach ze związanymi nogami i z wymierzoną w siebie bronią... Co się stało, pani le Garde?

— Czy jest pan zupełnie pewien, Peter? — odezwała się po raz pierwszy od wielu godzin.

Zauważyłem, że był to dla niej ogromny wysiłek. — On nie wygląda na mordercę.

Ton jej głosu odpowiadał skonsternowanemu wyrazowi pół tuzina twarzy. Zdziwienie i przerażająca niepewność... Zagero był niezwykle popularny.

— Czy wśród nas znajduje się ktokolwiek, kto wygląda na mordercę? — spytałem. — Często bywa tak, że najbardziej wytrawni zbrodniarze nie sprawiają wrażenia takich.

Wytłumaczyłem wszystkim, jak według mnie wygląda sytuacja, przedstawiłem, co wiem i co podejrzewam. Najbardziej zbulwersowała ich historia cukru wsypanego do benzyny i myśl, że Hillcrest mógłby w tej chwili znajdować się niedaleko nas. Kiedy zakończyłem swoją opowieść,

zrozumiałem, że nikt z nich nie wątpił w winę Zagera. A już na pewno nie wątpiłem ja.

Dwie godziny później ponownie zatrzymałem traktor i zmontowałem antenę radiową.

Znajdowaliśmy się mniej więcej sto pięćdziesiąt kilometrów od wybrzeża. Próbowałem nawiązać kontakt z Uplavnikiem, ale nie udało mi się. Zresztą nie liczyłem na to. W radiostacji tego miasta był tylko jeden operator i nie mogłem się spodziewać, że przez całe dwadzieścia cztery godziny będzie czuwał przy aparacie. Poza tym jego sygnały nie były przystosowane do naszej częstotliwości.

Dokładnie o godzinie czwartej usłyszałem głos Hillcresta. Tym razem nie oddaliłem się z aparatem od traktora. Rozmawiałem, opierając się o ściankę kabiny. Wszyscy mogli słyszeć każde słowo naszej rozmowy. Nie miało to już dla mnie żadnego znaczenia.

Przede wszystkim poinformowałem go, że wykryliśmy winnych. W moim głosie nie było jednak triumfu. Powinienem być się cieszyć, ale zbyt wiele przeszedłem w ciągu ostatnich dni i zmęczenie przydusiło mnie niczym olbrzymia bryła ołowiu. Mało tego, podświadomie czułem, że jeszcze nie zakończyliśmy naszych przygód. W tej chwili myślałem wyłącznie o tym, jak uratować Mahlera i Marię le Garde. Ta myśl stała się moją prawdziwą obsesją. Poza tym, nie wiem dlaczego, ale było mi żal, że to właśnie Zagero.

Hillcrest zareagował tak, jak się spodziewałem, ale kiedy spytałem go, ile kilometrów posunął się w naszą stronę, odpowiedział mi, że właściwie ciągle jeszcze jest unieruchomiony. Nie miał mi nic ważnego do przekazania na temat listy pasażerów i tego, co przewoził na swoim pokładzie samolot. Wiedział tylko, że lotniskowiec „Triton” ma insulinę i że dostarczy ją samolotem do Uplavnika. W stronę Uplavnika płynął również okręt desantowy. Spodziewano się go tam następnego dnia; miał wyładować traktor, który natychmiast wyruszy na nasze spotkanie. Szukały nas ponadto dwa samoloty z płozowymi podwoziami oraz dwa lekkie bombowce. Jak wiemy, daremnie. Prawdopodobnie znajdowaliśmy się wówczas w przełęczy łańcucha Nunatak. Hillcrest

mówił do mnie coś jeszcze, ale go już nie słuchałem — zupełnie nagle uświadomiłem sobie coś, o czym powinienem był sobie przypomnieć dużo wcześniej.

— Pan poczeka chwilę, Hillcrest — krzyknąłem. — Mam myśl!

Wszedłem do kabiny i chwyciłem Mahlera za ramię. Na szczęście drzemał tylko.

— Panie Mahler! — zawołałem. — Opowiadał mi pan, że pracował pan przez wiele lat w towarzystwie naftowym.

— Tak, zgadza się. — Spojrzał na mnie ze zdziwieniem. — Byłem zatrudniony w Socony Mobil Oil Company w New Jersey.

— W jakim charakterze pan tam pracował?

— Byłem chemikiem w laboratorium badawczym. Ale dlaczego pan o to pyta?

Odetchnąłem z ulgą i wytłumaczyłem mu, czego od niego oczekuję. Kiedy opowiedziałem o metodzie, którą zastosował Hillcrest, i spytałem, co o niej myśli, zauważył:

— Doskonały sposób, aby popełnić samobójstwo. Co on chce zrobić? Zobaczyć gwiazdy?

Przecież wystarczy, żeby w blaszance, którą podgrzewa, było jakieś drobne uszkodzenie... A oprócz tego benzyna ma tak wiele różnych punktów wrzenia... od trzydziestu aż do dwustu stopni.

Można stracić cały dzień i uzyskać tyle paliwa, że nie wystarczy nawet do napełnienia zwykłej zapalniczki.

— Tak się właśnie dzieje — odpowiedziałem. — Czy można zrobić coś innego?

— Można, owszem... Wymyć benzynę. Jakiej objętości są te jego blaszanki?

— Mają po czterdzieści litrów.

— Niech pan im powie, żeby z każdej blaszanki odjęli osiem litrów benzyny, a na jej miejsce włali tyleż wody. Kiedy już to zrobią, trzeba dobrze potrząsnąć blaszanką i odstawić ją na dziesięć minut. Po tym czasie można syfonem wyciągnąć dwadzieścia osiem litrów. Benzyna, którą w ten sposób otrzymają, powinna być czysta.

— Czy to jest aż tak proste? — spytałem z niedowierzaniem, przypominając sobie, jak bardzo musiał się namęczyć Hillcrest, żeby w ciągu godziny uzyskać szklaneczkę benzyny. — Czy jest pan zupełnie pewien, panie Mahler?

— To powinno wystarczyć — zapewnił mnie. Kilkuminutowa rozmowa była dla niego męczarnią. Jego głos zamienił się w szept. — Cukier nie rozpuszcza się w benzynie, ale w wodzie, którą napotyka w tej benzynie, i pozostaje w niej zawieszony. Jeżeli zmiesza się z benzyną dużo wody, opadnie na dół, pociągając za sobą cukier.

— Gdybym był komitetem Nagród Nobla, wręczyłbym panu natychmiast jedną z nich, panie Mahler — powiedziałem wstając. — Jeżeli ma pan jakiś inny pomysł, niech mi pan powie, proszę się nie krępować.

— Owszem, mam — odpowiedział z bladym uśmiechem. — Pański przyjaciel będzie musiał stracić sporo czasu, żeby uzyskać wodę, która jest mu potrzebna.

Wskazał na towarowe sanie, które widać było przez szparę w brezencie stanowiącym tylną część kabiny. — Mamy bardzo duży zapas paliwa. Możemy je tutaj zostawić dla Hillcresta. A właściwie dlaczego pan nie zrobił tego już wcześniej, kiedy dowiedział się pan o jego trudnościach?

Długo i w milczeniu popatrzyłem mu w oczy, w milczeniu też ruszyłem do wyjścia.

— Powiem panu dlaczego, panie Mahler. Dlatego że jestem największym, najpotworniejszym głupcem, jakiego kiedykolwiek nosiła ziemia.

Wyszedłem, żeby opowiedzieć Hillcrestowi, do jakiego stopnia stałem się idiotą.

CZWARTEK, CZWARTA PO POŁUDNIU — PIĄTEK, SZÓSTA WIECZOREM

Jackstraw, Corazzini i ja zmienialiśmy się przy kierownicy przez cały wieczór i całą noc. Silnik zaczął pracować mniej regularnie. Coraz trudniej było włączać drugi bieg. Nie mogłem jednak zdobyć się na zatrzymanie. Nasz ratunek zależał wyłącznie od szybkości.

Mahler gaś w oczach i po dziewiątej wieczorem zapadł na prawdziwą śpiączkę diabetyczną.

Uczyniłem, co było w mojej mocy, również inni robili, co mogli. Wszystko to było jednak niewystarczające. Potrzebne mu było łóżko; ciepło, płyny, odżywki, cukier w jakiegokolwiek postaci. Naturalnie, brak mu było ciepła. Trzęsąca się i twarda, wążutka drewniana koja nie mogła zastąpić łóżka. Coraz trudniej było nam topić lód, by uzyskać wodę, której ciągle się domagał. Nie miałem w swojej apteczce żadnego środka pobudzającego, który mógłbym mu wstrzyknąć do żył. Jego wygląd, jego ciężki, chrapliwy oddech działały niesłychanie przygnębiająco na pozostałych pasażerów. Wiedziałem, że bez insuliny nie potrafię powstrzymać śmierci, która musi nastąpić w ciągu najbliższych dni.

W alarmującym tempie słabła również Maria le Garde. Z coraz większym trudem udawało się jej przełykać choćby najdrobniejsze kęsy pożywienia. Większość czasu spędzała w niespokojnym śnie. Jej żywotność malała z godziny na godzinę. Nie miała dostatecznego zapasu sił fizycznych, by przeciwstawić się sytuacji, w jakiej się znalazła. Widziałem w niej teraz już tylko bardzo starą i bardzo słabą kobietę.

Ogromnie niepokoiłem się o moich chorych, ale Jackstraw jeszcze bardziej był strwożony pogodą. Temperatura stale się podnosiła. Wycie wiatru, którego nie słyszeliśmy przez ostatnie dwa dni, znów przybierało na sile, a wiszące nad nami niebo pokryte było ciężkimi chmurami. Koło północy prędkość wiatru przekroczyła dwadzieścia pięć kilometrów na godzinę. Wichura podnosiła tumany lodowego pyłu.

Wiedziałem, czego obawia się Jackstraw, mimo że nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa.

Słyszałem wiele opowieści o wichrach grenlandzkich, podobnych do straszliwych orkanów na Alasce. Kiedy olbrzymie masy powietrza nad środkiem lodowca zostają ochłodzone przez bardzo niskie temperatury, jak to się działo w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin, powstaje prąd, który gna je w kierunku morza. A gna je jak cyklon, który niczego nie szczędzi po drodze. Wicher ten, pędzony ciężarem lodowatego powietrza, ogrzewa się pod wpływem tarcia o masy lodowego

pyłu i osiąga wówczas niszczycielską siłę huraganu, któremu nic już nie może się przeciwstawić.

Wiedziałem, że wszystkie warunki konieczne do powstania takiego huraganu zaistniały właśnie teraz. Wskazywały na to zaobserwowane zjawiska: straszliwy mróz, który męczył nas tak niedawno, potem nagle zmałał, potężniejąca wichura, dmąca w stronę oceanu, i czarne ciężkie chmury, które płynąc nad naszymi głowami, zakrywały gwiazdy.

Prowadziliśmy traktor z maksymalną szybkością. Teren powoli obniżał się. Jechaliśmy na południowy zachód, w kierunku Uplavnika, osiągając bardzo dobrą przeciętną. Ale o czwartej rano, kiedy znajdowaliśmy się — jak oceniałem — nie więcej niż sto kilometrów od tego miasta, napotkaliśmy na naszej drodze pierwsze sastrugi — tak Eskimosi grenlandzcy nazywają podobny do falistej blachy lód, powstały pod wpływem działania silnych wiatrów rzeźbiących jego powierzchnię — i musieliśmy zwolnić. Jazda po takim terenie jest zabójcza dla każdego traktora, a cóż dopiero dla tak starego wehikułu jak nasz Citroen. Aby nie rozbić maszyny w kawałki, przeszliśmy na szybkość podobną do tej, z jaką porusza się ślimak. Nie na wiele się to zdało.

Nawet przy takim tempie zarówno traktor, jak i sanie kołysały się niczym statek na wzburzonym morzu. Od czasu do czasu napotykaliśmy płaskie odcinki, ale były one, niestety, pokryte świeżym śniegiem.

O ósmej rano Jackstraw zatrzymał traktor. Ucichł huk potężnego motoru, ale natychmiast zamiast niego wdarł się w uszy straszliwy ryk wichru, który niósł nawałnicę śniegu i lodowego pyłu. Zeskoczyłem na ziemię, by ustawić i przymocować do kabiny traktora namiot — kawał zwykłego brezentu w kształcie trójkąta, przywiązanego górami do kabiny, a dołem zamocowanego do gąsienic traktora i haka wbitego w lód. W czasie posiłków nie wszyscy mogliśmy pomieścić się w kabinie, a i mnie na czas nawiązania kontaktu z Hillcrestem i prowadzenia z nim rozmów potrzebna była osłona. Poza tym należało ulżyć męce Zagera i Levina, którzy spędzili całą noc na saniach pod strażą Jackstrawa i moją. Mimo że w tej chwili było zaledwie kilka stopni poniżej zera,

noc musiała być dla nich bardzo ciężka.

Kiedy uporałem się z namiotem, czekało już na nas coś w rodzaju śniadania. Nie miałem jednak apetytu.

Wydawało mi się, że zapomniałem o tym, co to sen. Od trzech dni nie zmrużyłem oka. Żyłem w stanie ciągłego napięcia psychicznego i skrajnego wyczerpania fizycznego. Było mi coraz trudniej skoncentrować się na setkach spraw, które wymagały stale mojej uwagi. Kilka razy powstrzymałem się w ostatniej chwili, żeby nie upaść na twarz.

Ogromnym wysiłkiem woli zmusiłem się do ustawienia nadajnika. Chciałem nawiązać kontakt z Hillcrestem i naszą bazą, której częstotliwość już znałem. Udało mi się bez żadnych trudności. Hillcrest natomiast słyszał mnie bardzo słabo. Zdaje się, że zawiniła tutaj nasza prądnicą. Wszyscy, poza Mahlerem oczywiście, otaczali mnie podczas tego radiowego seansu. Wydawało się, że głos Hillcresta działa na nich jak wzmacniający zastrzyk. Nawet Zagero i Levin znajdowali się w odległości dwóch metrów od nas, leżąc na saniach ze związanymi nogami. Siedziałem na płóciennym krześle, opierając się o brezentową zasłonę. Corazzini i Brewster byli w tylnej części kabiny. Pastor Smallwood kręcił korbką prądnicy. Jackstraw stał dwa metry ode mnie, zawsze czujny i zawsze ze sztucerem w ręku.

— Odbieram pana głośno i wyraźnie — powiedziałem. Trzymałem mikrofon oburącz, bardzo blisko ust, aby zredukować do maksimum wycie wiatru. — Co nowego? — Przeszedłem na odbiór. — Nadzwyczajnie! — Jego głos był pełen entuzjazmu i podniecenia. — Serdeczne gratulacje dla pańskiego doradcy technicznego. Wszystko odbywa się znakomicie. W tej chwili pędzimy całym gazem. Przed nami łańcuch Nunatak. Powinniśmy przebyć go w ciągu kilku godzin.

Były to rzeczywiście znakomite nowiny. Przy odrobinie szczęścia mogli nas dogonić wieczorem. W ich obecności czułbym się dużo lepiej z wielu względów. Jackstraw i ja moglibyśmy wreszcie przespać się kilka godzin. A sen był nam coraz bardziej potrzebny... Nagle zdałem sobie

sprawę, że Hillcrest ciągle jeszcze mówi i że głos jego staje się coraz bardziej podniecony.

— Admiralicja i rząd, a więc ci, którzy zdają sobie ze wszystkiego sprawę, otworzyli wreszcie usta! Mój stary, pańska sprawa to prawdziwy dynamit! To, co pan ma ze sobą na traktorze, mógłby pan sprzedać od ręki za kilka milionów funtów. Nie dziwię się, że rząd tak długo ociągał się z wyjaśnieniem, o co chodzi! Nie dziwię się również, że od razu zrozumiano, iż wypadek był ukartowany, i dla tego zorganizowali tak wielką akcję ratunkową! Lotniskowiec, to jest jego kapitan, weźmie „to” na pokład osobiście...

Przeszedłem na nadawanie.

— Na miłość boską! — zawołałem, nie mogąc powstrzymać ciekawości. — O co chodzi? Co miał na pokładzie samolot? Odbiór.

— Małe urządzenie elektroniczne, które jest częścią aparatury rakiet o wielkim zasięgu, także kosmicznych. Urządzenie to jest rewelacją w tej dziedzinie. Tak jak zrozumiałem, zna je tylko kilku naukowców w Stanach Zjednoczonych. Jest to jedyny egzemplarz. Wysłano go do Anglii w celu sprawdzenia i przeprowadzenia badań praktycznych. — Głos Hillcresta brzmiał spokojnie. Po chwili milczenia dodał: — Jak mogłem zrozumieć, wiele koncernów i rządów jest nim zainteresowanych i chciałoby je poznać.

Znów nastąpiła cisza, tym razem dłuższa. Hillcrest prawdopodobnie dawał mi czas na odpowiedź, ja jednak zupełnie nie wiedziałem, co mógłbym mu powiedzieć. Waga tej całej sprawy sprawiła, że zaniemówiłem i zachowywałem się jak sparaliżowany... Głos Hillcresta doszedł do mnie jeszcze raz:

— Mam panu pomóc w identyfikacji tego urządzenia, doktorze Mason. Jest ono zakamuflowane i wygląda w sposób następujący: podobne jest do małego przenośnego radia, którego pudło zbudowane jest ze sztucznego tworzywa i metalu. Ten niby — aparat radiowy zaopatrzony jest w skórzany pasek, umożliwiający noszenie go na ramieniu. Niech pan odnajdzie to radio, doktorze

Mason, a wówczas...

Nie usłyszałem końca zdania. Siedziałem na brezentowym krzeselku, zadając sobie pytanie, dlaczego określenie „przenośne radio” włączyło w mojej głowie sygnał alarmowy, gdy Zagero runął nagle z sań, odpychając Jackstrawę. Pomimo ciągle związanych nóg wykonał fantastyczny skok i znalazł się obok mnie. Błyskawicznie zbliżył się do Corazziniego, który z twarzą wykrzywioną wściekłością zeskakiwał z kabiny traktora, szukając jednocześnie prawą ręką czegoś w swoim palcie. Zdał sobie jednak sprawę, że nie potrafi tego czegoś wyciągnąć na czas, i odskoczył w bok. Ale Zagero mimo związanych nóg — zrozumiałem to, niestety, zbyt późno — był bokserem naprawdę światowej klasy. Niebywała szybkość jego refleksu i prawego ramienia świadczyły o tym niezbitcie. Corazzini był potężnym mężczyzną i miał na sobie olbrzymią ilość odzieży, ale kiedy pięść Zagera ugodziła go w okolicę serca, osunął się bez słowa na ziemię i wywrócił oczy. Jeszcze nigdy nie widziałem ciosu zadanego z taką siłą i prawdę mówiąc, nie chciałbym drugi raz zobaczyć czegoś podobnego.

Zaczęły padać pierwsze ciężkie płatki śniegu. Wszyscy stali nieruchomo, w milczeniu. Słyszać było tylko skowyt wichru, nienaturalny, potężniejący z każdą chwilą.

Przerwałem ciszę.

— Corazzini! — powiedziałem. — Corazzini... — Mój głos był zaledwie szeptem, ale Zagero usłyszał go.

— Naturalnie, Corazzini — odpowiedział spokojnie. — Wiedziałem o tym od dawna.

Pochylił się nad nieprzytomnym, wsunął rękę do jego wewnętrznej kieszeni i wyciągnął pistolet.

— Niech pan go dobrze pilnuje, doktorze. Nie tylko dlatego, że bardzo niechętnie widziałbym tę zabawkę w rękach naszego kochanego przyjaciela, ale i dlatego, że prokurator czy jakiś sędzia, nie wiem zresztą, jak to się u was nazywa, odnajdzie z pewnością w jego lufie charakterystyczne ślady, które będą odpowiadały znakom na interesujących nas kulach.

Rzucił broń w moją stronę. Chwyciłem ją odruchowo. Był to pistolet z bardzo dziwnym, przykręconym do końca lufy cylindrem. Pomyślałem, że to tłumik. Nigdy jeszcze czegoś podobnego nie widziałem. Nie znałem tego typu broni.

Kiedy Jackstraw skierował swój sztucer w stronę nieprzytomnego, położyłem pistolet Corazziniego obok siebie i wyciągnąłem z kieszeni berettę.

— Pan go śledził — powiedziałem. — Czekał pan na odpowiednią chwilę. W jaki sposób...

— Czy muszę panu to wszystko narysować, doktorze? — W głosie Zagera brzmiały spokój i zmęczenie. — Wiedziałem, że nie ja jestem mordercą. Wiedziałem również, że nie jest nim Solly. Mógł nim być tylko Corazzini.

— Tak, rozumiem. To musiał być Corazzini — wypowiedziałem te słowa automatycznie. Mój mózg zupełnie nie pracował. Sprawiałem takie samo wrażenie jak Corazzini, który właśnie z trudem usiłował wstać. A mimo to w zakamarkach mojej świadomości od kilku sekund dźwięczał sygnał. Jego sens pojąłem dość nagle. Skoczyłem na równe nogi:

— Jest ich przecież dwóch! Corazzini miał współnika...

Nic więcej nie zdążyłem powiedzieć. Jakiś metalowy przedmiot uderzył mnie z ogromną siłą w dłoń. Beretta poleciała gdzieś w przestrzeń i coś twardego oparło się o moją potylicę.

— Niech pan się nie rusza, doktorze Mason. — W tym spokojnym, doskonale kontrolowanym, a jednocześnie pełnym niezwykłego autorytetu głosie trudno było rozpoznać dotychczasowe brzmienie głosu pastora Smallwooda. — Niech nikt się nie rusza. Nielsen, proszę rzucić sztucer. — Natychmiast! Najmniejszy ruch i głowa doktora Masona rozleci się w kawałki.

Byłem niezdolny do jakiegokolwiek ruchu. Szok sparaliżował mnie zupełnie. Zdawałem sobie sprawę, że człowiek, do którego należał ten głos, gotów był zrobić to, co zapowiedział. Jego zimny ton przekonał mnie, że życie ludzkie nie oznacza dla jego właściciela wiele, że w ogóle nie stanowi żadnego problemu.

— Jak się czujesz, Corazzini? — zapytał Smallwood swojego kompana. Nawet w tym pytaniu nie wyczuwało się żadnej ludzkiej nuty. Smallwood interesował się nim jako współnikiem, który w tym tandemie morderców miał w dalszym ciągu odgrywać określoną rolę.

— Jako tako — odpowiedział Corazzini i wstał. Ruch, jakim chwycił rzuconą mu przez Smallwooda broń, świadczył, że odzyskał siły. — Jeszcze nigdy nie widziałem tak szybko poruszającego się człowieka ze związanymi nogami. Następnym razem już mnie nie zaskoczy. Czy wszyscy są na zewnątrz?

— Część jest w kabinie — powiedział Smallwood.

To on był szefem. Nie miałem już żadnych wątpliwości.

— Wyskakujcie wszyscy z traktora! — rozkazał Corazzini, trzymając w jednej ręce pistolet, a drugą podnosząc brezentową zasłonę. — Szybciej!

— Mahler nie może skoczyć — zaprotestowałem. — Nie może się poruszać... Ma śpiączkę.

— Cisza! — przerwał Corazzini. — Niech pan idzie, Zagero, i znieście go na dół.

— Nie może go pan ruszać! — wrzasnąłem z wściekłością. — To go zabije... — Koniec zdania zmienił się w jęk.

Smallwood uderzył mnie pistoletem w twarz. Upadłem na kolana w śnieg. Podparłem się rękami. Przez kilka sekund klęczałem, potrząsając głową, aby pokonać ból.

— Corazzini powiedział: cisza. Nauczcie się go słuchać — głos Smallwooda był zupełnie bezosobowy. Poczulem na plecach zimno. Poczekał cierpliwie, aż ostatni pasażerowie zostaną wyniesieni z kabiny, i ustawił nas w szeregu, naprzeciw siebie. Obaj zbrodniarze stali plecami do brezentowej zasłony, a my znajdowaliśmy się dość daleko od traktora. Padał na nas gęstniejący z każdą chwilą śnieg. Zalepiał nam oczy, oślepiał nas, podczas gdy mordercy z łatwością mogli wszystko obserwować. Wiedzieli, co robią. Wszystko, co czynili, świadczyło o absolutnej pewności zawodowców, którzy znakomicie umieją znaleźć się w każdej sytuacji.

Smallwood dał mi znak ręką.

— Pan nie zakończył swojego seansu radiowego, doktorze Mason! Proszę go kontynuować.

Pański przyjaciel Hillcrest prawdopodobnie dziwi się, co się stało. — Jego pistolet przesunął się o kilka milimetrów. Zdawałem sobie sprawę z tego gestu. — Dla pańskiego własnego bezpieczeństwa radzę nie robić nic, co by mogło wzbudzić podejrzenie. Niech pan nie bawi się w chytruska. I niech pan się streszcza!

Rzeczywiście mówiłem krótko. Powiedziałem, że nasza rozmowa została przerwana wskutek nagłego pogorszenia się stanu zdrowia Mahlera. Powiedziałem, że będę czuwał nad tym, aby urządzenie elektroniczne nie dostało się w niepowołane ręce. Zakończyłem rozmowę pod pretekstem ciężkiego stanu Mahlera, który powinien najprędzej, jak to możliwe, dostać się do Uplavnika.

— Niech pan przerwie — szepnął mi do ucha Smallwood. Skinąłem głową, że zrozumiałem.

— To wszystko, kapitanie Hillcrest. Wezwę pana w południe. Mayday żegna się z panem.

Mayday! Mayday!

Przekręciłem gałkę i odwróciłem się z niewinną miną. Nie zrobiłem nawet kroku, kiedy Smallwood złapał mnie za ramię i postawił przed sobą. Jak na człowieka o jego posturze był niezwykle silny. Lufa pistoletu brutalnie zagłębiła się w to miejsce, gdzie znajduje się mój żołądek. Nie mogłem oddychać.

— Mayday? — powiedział swoim chłodnym tonem. — Doktorze Mason, co to jest Mayday?

— Nasz sygnał — odparłem.

— Waszym sygnałem jest GFK.

— GFK przy wywoływaniu, Mayday na końcu seansu.

— Pan kłamie!

Zastanawiałem się przez moment, w jaki sposób ten człowiek przez tyle czasu umiał swemu

obliczu nadać wyraz twarzy właściwy pastorowi. Wszak w tej chwili jego usta tworzyły cienką linię, brwi uniosły się nad nieruchomymi oczyma koloru stali, oczyma, z których niczego nie można było wyczytać, gdyż były to oczy zawodowego mordercy, oczy, jakie tak często przypisuje się w powieściach kryminalnych tego rodzaju ludziom.

— Pan kłamie! — powtórzył.

— Nie kłamię — warknąłem ze złością.

— Kiedy doliczę do pięciu, zginie pan. — Patrzył mi prosto w twarz. Nacisk lufy pistoletu wzmógł się. — Raz... dwa... trzy...

— Nie! Powiem panu, co to znaczy! — krzyknęła Margaret Ross. — „Mayday” to wezwanie pomocy, międzynarodowy sygnał nadawany za pomocą głosu, równy sygnałowi SOS... Musiałam to powiedzieć, doktorze Mason, musiałam! Przecież on by pana zabił!

— Naturalnie, zrobiłbym to — potwierdził Smallwood. W jego głosie nie było ani gniewu, ani zdenerwowania. Nie mogłem zorientować się, o czym myślał i co odczuwał. — Powinienem właściwie zrobić to teraz. Przez pana straciliśmy cenny czas. Ale tak się składa, że odwaga jest jedną z nielicznych cech, które szanuję... Pańska odwaga wyrównuje... pański brak spostrzegawczości.

— Pan nigdy nie zdoła pokonać lodowca, Smallwood, nigdy pan z niego nie zejdzie — powiedziałem z przekonaniem. — Szukają pana samoloty, okręty. Tysiące ludzi pana szuka. Schwytają pana i powieszą za pięć morderstw.

— Zobaczymy. — Uśmiechnął się zimno. Teraz, gdy nie nosił już okularów w drucianej oprawie, jego oczy były tak samo lodowate, tak samo puste, tak samo bez życia, jak kościelny witraż w pochmurny dzień.

— Corazzini, gdzie jest pudełko? Doktorze Mason, niech pan mi poda mapę.

— Chwileczkę! Może pan mi wytłumaczy...

— Tłumaczenia są dobre dla dzieci. Spieszę się, doktorze. Proszę mi przynieść mapę!

Kiedy wróciłem z nią, zobaczyłem Corazziniego siedzącego na saniach i trzymającego na kolanach sakwojaż. Nie było to jednak przenośne radio, lecz walizka Smallwooda. Corazzini otworzył jej zamki, wyjął Biblię, sutannę, położył je obok siebie, a następnie, lekko i ostrożnie, wydobyl czarne pudełko podobne do magnetofonu. Po chwili, mimo że w świetle jego latarki zupełnie wyraźnie dojrzałem nazwę „Grundig”, zorientowałem się, iż było to urządzenie przeznaczone do jakichś specjalnych celów. Ktokolwiek oglądałby ten magnetofon, nie znalazłby w nim na pierwszy rzut oka nic podejrzanego, tym bardziej że doskonale pasował do całego bagażu pastora.

W absolutnej ciszy przyglądaliśmy się, jak Corazzini demontuje poszczególne części magnetofonu. Kiedy wreszcie skończył, wyprostował się, wyciągnął antenę, przekręcił dwa guziki i zaczął poruszać skalą, obserwując równocześnie zachowanie się „magicznego oka” tak typowego dla nowoczesnych radioaparatów. Usłyszałem odgłosy dalekich stacji. Kiedy ton w słuchawkach osiągnął maksymalne natężenie, Corazzini spojrział na wbudowany w aparat kompas alkoholowy, zdjął słuchawki i, zadowolony, powiedział do Smallwooda:

— Bardzo silnie i bardzo jasno. Zbyt wielkie jednak jest działanie masy traktora na odbiór.

Wróć za kilka minut. Pańska latarka, doktorze!

Patrzyłem, jak zabiera aparat i oddala się. Dopiero gdy był jakieś pięćdziesiąt metrów od nas, uświadomiłem sobie, że doskonale musi znać się na nawigacji.

Wrócił po kilku minutach. Spojrział na niewielką tablicę, którą wyjął z aparatu.

— To na pewno oni. Sygnał jest doskonały. Kierunek dwieście sześćdziesiąt osiem.

— Dobrze. — Smallwood powiedział to bez jakiejkolwiek emocji.

Ich opanowane głosy, przeraźliwie beznamiętne, miały w sobie coś nieludzkiego. Mimo iż wiedziałem, z jakiego rodzaju ludźmi mam do czynienia, dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że

byłoby nie do pomyślenia, aby nie mieli przyrządów, które pozwalałyby im orientować się w terenie. Prawdopodobnie Corazzini odnalazł sygnał nadawany przez jakiś statek czy łódź rybacką i postanowił nim się kierować. Mimo to jednak spróbowałem podać w wątpliwość absolutną pewność morderców.

— Nie zdajecie sobie sprawy, jakie gniazdo os poruszyliście. Cieśnina Davisa i wybrzeże Grenlandii roją się w tej chwili od okrętów i samolotów. Aparaty kontrolne na lotniskowcu znajdują każdy stateczek większy od łupiny orzecha. Żaden nie przejdzie przez kordon, nie zbliży się nawet na dziesięć kilometrów do brzegu.

— Nie będą musiały przecinać tego kordonu — odpowiedział Corazzini. — Istnieją również tak zwane łodzie podwodne. Jedna z nich czeka na nas niedaleko stąd.

— A mimo to...

— Spokój! — odezwał się Smallwood. Zwrócił się do Corazziniego: — Dwieście sześćdziesiąt osiem. A więc na zachód. Jaka odległość?

Corazzini wzruszył ramionami. Smallwood skinął na mnie.

— Znajdziemy go. Doktorze Mason, proszę zaznaczyć naszą pozycję na tej mapie, i to jak najdokładniej.

— Niech pan idzie do diabła! — zawołałem.

— Oczekiwałem tego. Ale nie jestem ślepy i doskonale zauważyłem, jaki jest pański stosunek do jednej z obecnych tu pań. Zabiję panią Ross.

Nie wątpiłem ani przez chwilę, że zrobi to bez wahania. Wykonałem polecenie. Kazał mi przynieść drugą mapę i podał ją Jackstrawowi. Następnie porównał obie.

— Macie szczęście, są zgodne — powiedział. Przez chwilę studiował mapę, wreszcie zwrócił się do Corazziniego:

— Fiord Kangalak u stóp lodowca Kangalak.

— Fiord Kangalak! — przerwałem. — Dlaczego nie wylądowaliście bezpośrednio tam? Można by było wówczas uniknąć tego wszystkiego, co się stało.

— Kapitan samolotu zasłużył na śmierć — stwierdził Smallwood. Na jego twarzy pojawił się znów lodowaty uśmiech. — Kazałem mu wylądować na północ od tego fiordu; wiedzieliśmy, że jest tam pięciokilometrowa płaska przestrzeń, doskonale nadająca się do lądowania. Oszukał mnie jednak. Zorientowałem się natychmiast, kiedy na kilka sekund przed wypadkiem spojrzałem na wysokościomierz. — Machnął niecierpliwie ręką i zwrócił się do Corazziniego: — Tracimy cenny czas. To jakieś sto kilometrów stąd, prawda?

Corazzini rzucił jeszcze raz okiem na mapę i skinął głową.

— A więc doskonale. W drogę!

— I pozostawiacie nas tutaj? Na głodową śmierć? Na zamarznięcie?... — spytałem.

— Nie interesuje mnie już teraz, co się z wami stanie — odpowiedział Smallwood obojętnym tonem. W ciągu kilku minut zmienił się tak dalece, że zupełnie już zapomniałem o pastorze. — Możecie naturalnie pójść za nami. Być może uda wam się nawet nas schwytać. — Uśmiechnął się z ironią. — Prawdę mówiąc obawiam się, że moglibyście tego dokonać nawet bez broni. Będziemy musieli więc unieruchomić was, choćby czasowo.

— Albo definitywnie — dodał Zagero słodziutkim głosem.

— Jedyne idioci zabijają bez powodu, dla przyjemności samego zabijania. Macie szczęście, moje plany nie przewidują waszej śmierci. Corazzini, proszę przynieść sznury z sań. Niech pan zwiąże im tylko nogi. Ich ręce są tak odmrożone, że co najmniej przez godzinę nie zdołają rozsupłać węzłów. My będziemy wtedy już dość daleko. — Przesunął po naszej grupie lufą pistoletu. — Siadajcie na śniegu. Wszyscy!

Nie pozostawało nic innego, jak posłuchać. Przyglądaliśmy się Corazziniemu, który wrócił właśnie ze sznurem. Spojrzał pytająco na Smallwooda, a ten wskazał głową na mnie.

— Niech pan rozpocznie od doktora Masona.

Corazzini podał swój pistolet Smallwoodowi i zbliżył się do mnie. Zdążył już dwa razy okręcić moje nogi, gdy nagle uświadomiłem sobie całą prawdę. Odepchnąłem go z wściekłością i gwałtownie się zerwałem.

— Nie! — zawołałem. — Nie zwiąże mi pan nóg, Smallwood!

— Niech pan siada, Mason! — Głos był twardy, smagający niczym bicz.

Słabe światelko, które dochodziło do nas z traktora, pozwoliło mi dojrzeć lufę wycelowanego między moje oczy pistoletu. Nie zwróciłem jednak na to najmniejszej uwagi.

— Jackstraw! Zagero, Levin, Brewster! Wstańcie, jeżeli macie ochotę żyć! On ma tylko jeden pistolet. Jeżeli strzeli do jednego z nas, inni skoczą na niego i odbiorą mu broń. Nie może nas wszystkich zastrzelić. Margaret, Heleno, pani Dandsby–Gregg... na pierwszy strzał ukryjcie się w ciemności i pozostaniecie tam!

— Pan zwariował, doktorze? — W głosie Zagera usłyszałem przerażenie. Mimo to stał już na nogach, pochylony, gotowy do skoku, sprawiający wrażenie pantery szykującej się do ataku. — Czy mamy pozwolić się wystrzelać?

— Właśnie tego chcę uniknąć. — Czułem, że moje plecy i kark są sztywne z zimna. — Myśli pan, że on zwiąże nam nogi i pozostawi nas tutaj? Czy pan nie rozumie? Jak się panu wydaje, po co opowiadał nam o jakimś stateczku, o jego pozycji, o wyimaginowanej łodzi podwodnej i o wszystkim innym? Powiem panu dlaczego. Niczego nie ryzykował. Nikt z nas, według niego, nie będzie mógł powtórzyć tego, co słyszał! — Mówiłem z szybkością karabinu maszynowego.

Wiedziałem, że muszę wytłumaczyć wszystkim, nim będzie za późno. Ani na chwilę nie spuszczałem wzroku z pistoletu Smallwooda.

— Ale...

— Nie ma żadnego ale! — przerwałem. — Szybko! Smallwood wie, że Hillcrest przybędzie

tutaj po południu. Gdyby zastał nas żywych, to natychmiast podalibyśmy mu kierunek, szybkość traktora i ich pozycję. Godzinę później samoloty z lotniskowca zaatakowałyby go na lodowcu. Nas związać? Naturalnie... Najpierw nas zwiążą, a potem zastrzelą po kolei bez żadnych skrupułów. Przekonałem ich. Byłem pewien. Nie widziałem ich twarzy, ale ruch pistoletu Smallwooda mówił wyraźnie, że trafiłem w sedno.

— Nie doceniłem pana, doktorze Mason — odezwał się swoim beznamiętnym głosem. — Przyznam, że mało brakowało, a straciłby pan życie.

— Pięć minut wcześniej czy później, co za różnica? — spytałem.

Smallwood skinął głową, jakby przyznawał mi rację. Prawdopodobnie szukał innego rozwiązania.

— Bestia, nieludzka bestia! — wrzasnął senator Brewster głosem zniekształconym przez gniew i przerażenie. — Jest pan gotów związać nas jak bydło, a później zlikwidować... — Słowa przeszły w bełkot, wreszcie wyszeptał: — Jest pan szaleńcem, Smallwood, zupełnym szaleńcem.

— On nie jest szaleńcem — stwierdził spokojnie Zagero. — To nie jest wariat. To tylko wściekłe zwierzę. Są chwile, gdy nie można odróżnić szaleńca od wściekłego zwierzęcia. No, a co teraz, Smallwood? Jakaś nowa kombinacja?

— Tak. Tak jak powiedział doktor Mason, nie możemy pozbyć się was w ciągu kilkadziesiąt sekund i naturalnie nie możemy zapobiec temu, by jeden czy kilku z was nie ukryło się gdzieś w ciemnościach. — Ruchem głowy wskazał traktor. — Wydaje mi się, że lepiej się stanie, jeżeli przez pewną część drogi będziecie nam towarzyszyć.

Przejechaliśmy z nimi pięćdziesiąt kilometrów, pięćdziesiąt kilometrów, które zapisały się w mojej pamięci na całe życie. Jechaliśmy dziewięć długich godzin. Padał coraz gęstszy śnieg. Znowu zerwał się wicher i pędził przed siebie oślepiające tumany lodowego pyłu. Wiatr dał nam w plecy, ale wcale nie ułatwiało to zadania osobie siedzącej za kierownicą. Ponownie zaczęliśmy odczuwać

przejmujące zimno. Byłem pewien, że gdyby temperatura była taka sama jak dwadzieścia cztery godziny temu, nikt z nas nie przeżyłby tych pięćdziesięciu kilometrów drogi.

Wiedziałem, że kiedy jeden z morderców siedzi za kierownicą traktora, a drugi na saniach z psim zaprzęgiem, nie mamy właściwie żadnych szans, aby ich obezwładnić czy próbować ucieczki. Smallwood nie pozostawił nam najmniejszego cienia nadziei.

Traktor prowadził Corazzini. Smallwood siedział tyłem do kabiny, trzymając wycelowany w naszą stronę pistolet. My, zbici w ciasną gromadkę, znajdowaliśmy się trzy metry od niego, na towarowych saniach. Kiedy padający śnieg zaczął gęstnieć, zatrzymał traktor, wziął z kabiny przenośny reflektor i umieścił go w ten sposób, by światło padało na nas. Nie mogliśmy ani zeskoczyć, ani ukryć się. Mało tego, byliśmy oślepieni. Było to straszne i beznadziejne. Ale oczywiście nie wyczerpało całej pomysłowości prześladowcy. Obok siebie posadził Margaret i Helenę, czyniąc je zakładniczkami; w ten sposób zapewnił sobie całkowitą bezkarność i stworzył gwarancję, że niczego nie będziemy usiłowali przedsięwziąć.

Na saniach jechało osiem osób: Teodor Mahler i Maria le Garde leżeli w środku, pozostali zaś siedzieli trójkami po obu stronach sań. Kiedy traktor ruszył, naciągnęliśmy na siebie plandekę, próbując choć w ten sposób ochronić się przed wichrem. W pewnym momencie Jackstraw pochylił się nade mną i uderzył mnie lekko w ramię przedmiotem, który trzymał w ręku. Wyciągnąłem dłoń. — Portfel Corazziniego — szepnął. — Wypadł mu z kieszeni, kiedy Zagero go znokautował.

Nie zauważył tego. Podniosłem go, gdy Smallwood kazał nam usiąść na śniegu.

Zdjąłem rękawice, otworzyłem portfel i w nikłym świetle latarki zbadałem jego zawartość.

Naturalnie stało się to przedtem, zanim Smallwood zainstalował reflektor.

Portfel przekonał nas jeszcze raz o tym, w jak doskonały sposób obaj mordercy przygotowali swoją akcję. Oczywiście, wszystkie dokumenty były fałszywe, ale gdybym wiedział, jaką rolę spełnia Corazzini, czy mógłbym sądzić — widząc na portfelu inicjały N.C., bilety wizytowe na

nazwisko Nicholasa Corazziniego z adresem jego firmy w stanie Indiana oraz czeki „American Express” podpisane w górnym lewym rogu — że nazywa się on inaczej?

Portfel dał nam wreszcie, niestety zbyt późno, klucz do rozwiązania wielu spraw: przede wszystkim poznaliśmy przyczynę przymusowego lądowania oraz przyczynę napadu, którego ofiarą stałem się poprzedniego wieczora.

W jednej z przegródek znajdował się gazetowy wycinek, który znalazłem przy zwłokach pułkownika Harrisona. Odczytałem go głośno. Artykuł był krótki. Było to sprawozdanie z katastrofy kolejowej, która wydarzyła się w Elizabeth w stanie New Jersey. Pociąg podmiejski spadł z mostu do zatoki Newark. Zginęły dziesiątki podróżnych. O tym wiedziałem. Nie był to jednak artykuł zamykający sprawę. Reporter podawał tylko, że istnieją przypuszczenia, iż w pociągu znajdował się wysłannik zakładów produkujących urządzenia elektroniczne, wiozący ze sobą jakieś tajne urządzenie. Wysłannik ten rzekomo zginął w czasie katastrofy.

To było wszystko, co przeczytałem. W notatce nie podawano, czy odnaleziono przedmiot, który wiózł ów wysłannik, jak również nie stwierdzono autorytatywnie, czy przedmiot ten znajdował się w pociągu. Konkluzje mogłem wyciągnąć sam. Wszyscy milczeliśmy. Ciszę przerwał Jackstraw: — No, to nareszcie wiemy, dlaczego uderzono pana w głowę.

— Uderzono? — spytał Zagero. — Kiedy...?

— Przedwczoraj — wyjaśniłem. — Pamięta pan, powiedziałem, że uderzyłem się o rurę w traktorze.

Opisałem mu, gdzie i w jaki sposób znalazłem, a potem straciłem wycinek gazety.

— Ale czy sprawy potoczyłyby się inaczej, gdyby pan przeczytał ten wycinek? — dopytywał się Zagero.

— Naturalnie! — powiedziałem zaczepnie. Głos mój stał się agresywny, prawie złośliwy, ale była to złośliwość pod własnym adresem. — Znaleźć wycinek z gazety na temat wypadku, który

wydarzył się w tajemniczych okolicznościach, znaleźć ten wycinek przy zwłokach człowieka, który zginął w innym wypadku i w równie tajemniczych okolicznościach to musiałoby wzbudzić ostrożność i podejrzliwość. Hillcrest przekazał mi wiadomość, że na pokładzie samolotu znajdowało się coś tajnego. Mogło to nasunąć przypuszczenie, że coś nie jest w porządku, tym bardziej że znalazłem wycinek w kieszeni wyższego oficera, który prawdopodobnie był kurierem. Przypuszczalnie rozebrałbym wszystko, co znalazłem na pokładzie samolotu i co było większe od pudełka zapalek. Zrobiłbym to chyba także z radiem i magnetofonem. Smallwood nie orientował się, o czym jest mowa w artykule, ale wiedział, on albo Corazzini, że chodzi o jakiś wycinek z gazety. Zabrali mi więc go na wszelki wypadek. Obaj woleli nie ryzykować.

— Nie mógł pan o tym wiedzieć — odezwał się Levin. — To naprawdę nie pańska wina...

— Niestety, moja — odpowiedziałem zmęczonym głosem. — Całkowicie moja wina. Nie wiem, jak mam was przeprosić za to, że was związałem...

— Niech pan o tym zapomni — pocieszał Zagero życzliwie. — Wszyscy popełniliśmy masę błędów. Najważniejsze dowody znajdowały się dosłownie w zasięgu ręki, a my nie potrafiliśmy ich dostrzec. Trudno też powiedzieć, że gdybyśmy je nawet mieli, to umielibyśmy je tak wykorzystać, jak pan to zrobił. Naturalnie, dużo łatwiej jest zrozumieć wiele spraw wtedy, gdy już jest za późno. Teraz wiadomo, dlaczego wylądowaliśmy w środku tej lodowej pustyni... kapitan samolotu zrobił to specjalnie.

Prawdopodobnie wiedział, co ma na pokładzie. Świadomie poświęcał własne życie i narażał życie nas wszystkich, gdyż sądził, że Smallwood nigdy nie osiągnie wybrzeża.

— Niestety, nie przewidział, że znajdziemy się błyskawicznie na miejscu wypadku, żeby udzielić pomocy zbrodniarzom — wtrąciłem gorzko. — Wszystko jest teraz jasne. Corazzini zranił się w rękę w baraku nie w chwili, kiedy próbował ratować radioaparat, lecz przeciwnie, wówczas gdy go zrzucał ze stolika. Spał na podłodze tylko po to, aby udusić drugiego pilota, chociaż ten był

nieprzytomny.

— Czy pan sobie przypomina pogrzeb drugiego pilota? — spytał Zagero. — Ciekaw jestem, co byśmy usłyszeli, gdybyśmy naprawdę słuchali nabożeństwa żałobnego odprawionego przez Smallwooda?

— Tego nie wziąłem pod uwagę. Tak samo nie zrozumiałem pańskiej propozycji pochowania wszystkich zabitych w katastrofie. Przecież gdyby pan był winien, nigdy by pan tego nie zaproponował. Chciałbym zapewne zrewidować zabitych, a wtedy można by się było od razu zorientować, że nie umarli śmiercią naturalną.

— Właśnie. Nie zwrócił pan na to uwagi — odezwał się Zagero. — A co dopiero mówić o mnie! Zaproponowałem, nie wiedząc o tym, że projekt ten wybiela mnie zupełnie. Wydaje mi się, że jedyną sprawą, którą pojąłem, a której pan nie rozumiał, był fakt pobicia Smallwooda przez Corazziniego. Było to zrobione tylko po to, by zaczął pan mnie podejrzewać. Ale wtedy nie umiałbym panu tego wytłumaczyć.

Nastąpiło milczenie, zakłócanie tylko wyciem wiatru. Wreszcie odezwał się Solly Levin:

— A samolot? — powiedział. — Po co ten pożar?

— W zbiornikach było bardzo dużo paliwa. Pozwoliłoby ono Hillcrestowi na przebycie co najmniej trzech tysięcy kilometrów. Gdyby Hillcrest zjawił się w naszym baraku z pustymi zbiornikami, a natychmiast potem zorientował się, że ktoś wsypał cukier do benzyny, niewątpliwie wykorzystałby paliwo znajdujące się jeszcze w zbiornikach samolotu. A więc trzeba było zniszczyć samolot.

I znów zapadła długa cisza, którą z kolei przerwał Zagero:

— Wobec tego, że staramy się wszystko wytłumaczyć, czuję, iż muszę również zabrać głos.

Chciałbym pomówić o tej dziwnej osobie, która siedzi po pańskiej lewej stronie, doktorze. O niej jakim Sollym Levinie. Dyskutowałem z nim na ten temat, kiedy siedzieliśmy związani na

saniach.

— Niech pan zaczyna — powiedziałem ze zniecierpliwieniem.

— Proszę mi wybaczyć. — Zagero pochylił się w stronę Solly'ego Levina. — Czy mam cię oficjalnie przedstawić, ojcze?

Przyglądałem się im uważnie.

— Czy dobrze słyszałem...

— Dobrze pan słyszał, doktorze — uśmiechnął się Zagero. — To jest naprawdę mój ojciec.

Może pan znaleźć potwierdzenie w mojej metryce i we wszystkich moich dokumentach.

— To najszczęśliwsza prawda, doktorze Mason — powiedział Solly Levin, który nagle pozbył się swego nowojorskiego akcentu. — Zaraz to panu wytłumaczę. Jestem właścicielem i generalnym dyrektorem — a właściwie byłym generalnym dyrektorem, ponieważ zeszłego roku przeszedłem na emeryturę — fabryki sztucznego tworzywa w Trenton w stanie New Jersey, niedaleko Princeton, gdzie kształcił się Johnny. Johnny marzył o tym, żeby zostać bokserem, natomiast ja chciałem, żeby objął po mnie stanowisko w fabryce.

— Ale ja — przerwał Zagero — jestem tak samo uparty jak mój ojciec.

— Nawet bardziej — stwierdził Solly Levin. — Wobec tego zawarliśmy umowę. Dałem mu dwa lata, żeby został mistrzem świata amatorów w wadze ciężkiej. Jeżeli w ciągu tego czasu nie zdobyłby tytułu, miał zająć moje miejsce w fabryce. Jego pierwszy menażer był nieuczciwy.

Johnny wyrzucił go. Zająłem jego miejsce; miałem czas, by czuwać nad interesami syna.

— Czy pan się nazywa Zagero czy Levin?

— Zagero — odpowiedział były Solly Levin.

— Dlaczego więc Levin?

— Niektóre komitety narodowe nie zezwalają na to, żeby w charakterze menażera czy też opiekuna boksera występował ktoś z bliskiej rodziny. Wobec tego musiałem używać pseudonimu.

Jest to ogólnie stosowany zwyczaj, na który przymyka się oczy. Niewinne, małe kłamstwo.

— Nie jest to wcale takie niewinne kłamstwo — powiedziałem poważnie. — Była to jedna z najgorszych komedii, jakie widziałem, i jedna z przyczyn, z powodu której podejrzewałem pańskiego syna. To kłamstwo pomogło Corazziniemu i Smallwoodowi dokonać tego, czego dokonali. Gdybym wiedział wcześniej o waszym pokrewieństwie, mógłbym zorientować się, kim są zbrodniarze. Ale Solly Levin był dla mnie również zagadką i musiałem go umieścić na liście podejrzanych.

— Nie miałem zamiaru kraść czyjejś osobowości — usprawiedliwiał się Zagero senior. — Jest mi bardzo przykro, że spowodowałem tyle komplikacji, doktorze Mason. Nie zdawałem sobie sprawy z sytuacji, jaką stworzyłem, i z niebezpieczeństw, które spowodował mój pseudonim.

— Proszę nie przeproszać. Zawinił pan nie bardziej od innych — odpowiedziałem tonem pełnym goryczy.

O piątej po południu Corrazini, nie wyłączając silnika, zatrzymał traktor. Zeskoczył z siedzenia i podszedł do kabiny. Odstawił reflektor. Musiał krzyczeć, aby pokonać szalejącą wichurę.

— Pół drogi, szefie! Pięćdziesiąt pięć kilometrów!

— Dziękuję — Smallwood był dla nas niewidoczny. Dostrzegaliśmy jedynie błyszczącą w świetle reflektora lufę pistoletu. — Koniec, doktorze Mason! Wszyscy wysiądźcie tutaj!

Nie mieliśmy żadnego wyboru. Sztywny, zmarznięty, zeskoczyłem na lód i zrobiłem dwa kroki w stronę Smallwooda. Zatrzymałem się. Lufa pistoletu była wymierzona dokładnie w moje serce.

— Za kilka godzin dotrze pan do pańskich „przyjaciół” — powiedziałem. — Niech pan zostawi nam trochę żywności, przenośny piecyk i namiot... Czy tak wiele od pana żądam?

— Za dużo!

— Nic? Nic pan nam nie zostawi?

— Traci pan na próżno czas, doktorze Mason. Niepotrzebnie pan zebrze.

— A więc tylko psie sanie! Nie chcę nawet psów! Ale przecież ani Mahler, ani Maria le Garde nie mogą chodzić.

— Traci pan czas — powtórzył obojętnie. Odwrócił się w stronę towarowych sań. — Wszyscy zejść! Levin, słyszał pan, co powiedziałem. Zejść!

— To przez moje nogi. — W ostrym świetle reflektora widzieliśmy wyraźnie głębokie zmarszczki cierpienia na twarzy Levina. — Wydaje mi się, że są odmrożone, a może zdrętwiałe...

— Zejść! — Głos Smallwooda podniósł się o jeden ton.

— Chwileczkę! — Levin spróbował unieść nogę, zaciskając z bólu zęby. — Nie wiem, czy będę mógł...

— Może kula w pańskiej łydce pozwoli panu odzyskać ruchliwość. — Smallwood obniżył o milimetr lufę pistoletu.

Nie wiem, czy naprawdę chciał strzelić czy też nie. Mnie wydawało się, że miał zamiar tylko nastraszyć Levina. Jednak Zagero zrozumiał to inaczej.

— Nie strzeli pan, Smallwood — powiedział głosem, w którym brzmiała wyraźna groźba.

— Naprawdę? — zdziwił się gangster. — Mógłbym was obu zgasić jak świece.

— Nie! — Postawa Zagera nie budziła wątpliwości. — Jeżeli memu ojcu spadnie choćby jeden włos z głowy, Smallwood, połamię panu kark jak zapalną, nawet gdyby opróżnił pan cały magazynek.

Zauważyłem, że był cały napięty i sprężony niby wielki kot szykujący się do skoku. Nogi miał mocno wparte w lód, a pięści zaciśnięte. Byłem pewien, że w każdej chwili gotów jest wykonać swoją zapowiedź. Wydało mi się też, że również i Smallwood był o tym całkowicie przekonany.

— Pańskiemu ojcu? — zainteresował się nagle. — Co słyszę?

Zagero skinął głową.

— To świetnie! — powiedział Smallwood. — Niech go pan zaniesie do kabiny traktora.

Wymienimy go z młodą Niemką, nią nikt się nie interesuje.

Jego zamiar był zupełnie jasny. Nie wiedziałem, jakie niebezpieczeństwo mogliśmy stanowić dla tych dwóch zawodowych morderców, ale Smallwood był człowiekiem przewidującym, lubiącym zawsze zabezpieczać się na wszelki wypadek. A Levin o wiele skuteczniej niż Helena gwarantował odpowiednie zachowanie się Zagera.

Menażer mimo oporu został umieszczony w kabinie traktora. W czasie gdy go do niej transportowano, zarówno Corazzini, jak i Smallwood trzymali broń gotową do strzału. Jakikolwiek opór byłby bez sensu. Smallwood doskonale zdawał sobie sprawę, że w chwili rozpaczy byliśmy zdolni rzucić się na niego i wyrwać mu broń, ale wiedział również, że nie będziemy popełniać samobójstwa, gdy niczyje życie nie jest zagrożone.

Kiedy Levin znalazł się już w kabinie, Smallwood odwrócił się do siedzącej naprzeciwko niego młodej Niemki:

— Wynoś się!

W chwilę później wydarzyło się coś, co spowodowało nową tragedię. W pierwszym momencie zdawało mi się, że Helena próbowała nas ratować, ale jak się później okazało, był to tylko odruch szalonego gniewu, spowodowanego straszliwym cierpieniem, wprost torturami, jakimi niewątpliwie było przebywanie ze złamanym obojczykiem na kołyszącym się traktorze.

Gdy znalazła się obok Smallwooda, potknęła się. Smallwood wyciągnął ramię, nie wiem, czy po to, aby ją podtrzymać, czy też odsunąć od siebie. Nim jednak zdał sobie sprawę z tego, co się właściwie stało, Helena rzuciła się nań gwałtownie. Pistolet mordercy zakreślił w powietrzu łuk i upadł w śnieg. Smallwood skoczył za nim ze zwinnością kota, choć wcale nie musiał się spieszyć — ostrzegawcze warknięcie Corazziniego zatrzymało nas wszystkich na miejscu. Smallwood podniósł pistolet, odwrócił się i skierował broń na Helenę. Jego oczy zwęziły się jak u kota, twarz wykrzywiła się w dzikim grymasie, błysnęły zęby. Jeszcze raz pomyliłem się w jego ocenie — był

absolutnie zdolny do zabijania bez żadnego celu.

— Heleno! — zawołała stojąca najbliżej dziewczyny pani Dandsby–Gregg. — Uwaga, Heleno!
— skoczyła naprzód, aby ją odepchnąć.

Smallwood prawdopodobnie nie zdał sobie w pełni sprawy z tego, co zaszło. Był wściekły i nic na świecie nie mogło powstrzymać go od naciśnięcia spustu. Kula trafiła panią Dandsby–Gregg w plecy. Upadła twarzą na świeży śnieg.

Gniew Smallwooda zgasł tak samo szybko, jak zapłonął. Wydawało nam się, że śnimy. Bez słowa skinął głową na swego współnika i wskoczył do kabiny, kierując w naszą stronę reflektor oraz lufę pistoletu. Corazzini zwiększył obroty silnika, włączył pierwszy bieg i ruszył na zachód. Nasza mała, porzucona grupa pozostała na miejscu. Tuliliśmy się do siebie, patrząc w milczeniu na mijający nas konwój: traktor, sanie towarowe, psie sanki i na końcu wreszcie same psy, przywiązane do sań.

Usłyszałem szept Heleny. Dziwnym jakimś głosem powtarzała: „Helena, nazwała mnie Heleną”. Spojrzałem na nią, myśląc, że zwariowała. Nieruchomymi oczyma wpatrywała się w leżące u moich nóg zwłoki pani Dandsby–Gregg. Odwróciłem wzrok. Zauważyłem znikający traktor. Stałem tak w milczeniu kilkanaście minut, aż ucichł huk silnika i zgasły światła.

PIĄTEK, SZÓSTA WIECZOREM — SOBOTA, DWUNASTA PIĘTNAŚCIE

Białe piekło tej nocy, męki ciężkich godzin są wspomnieniem, którego nigdy nie wymażę z pamięci. Nie wiem dokładnie, przez ile godzin, potykając się, posuwaliśmy się po śladach traktora. Wlekliśmy się jak w transie. Mogło to być sześć, osiem, a nawet dziesięć godzin. Nie umieliśmy ich zliczyć i prawdopodobnie już nigdy nie potrafimy zdać sobie z tego sprawy. Każda sekunda stawała się cierpieniem. Mróz, męczący marsz, wyczerpanie psychiczne, palące stopy i pozbawione czucia ręce sprawiły, że każda godzina zamieniała się w wieczność. Nikt z nas nie wierzył, że wytrzyma do końca tej nocy.

Nie wiem, o czym wtedy myślałem i co czułem. Nigdy potem nie udało mi się odtworzyć moich myśli z tamtych godzin. Ból? Zgoda — odczuwałem dotkliwy ból, taki, jakiego nie doznałem jeszcze nigdy. Ból i żal do samego siebie. Tak długo pozwoliłem się oszukiwać jak dziecko! A teraz byłem bezradny. Nie mogłem przeciwstawić się temu geniuszowi zła, geniuszowi, który był znacznie inteligentniejszy ode mnie. Myślałem o pani Dandsby–Gregg, o związanej Margaret, która ze strachem patrzyła na siedzącego przed nią z bronią w ręku Smallwooda. Na wspomnienie tego ogarniał mnie gniew. Nienawidziłem tego człowieka.

Zagero nie odezwał się ani słowem od chwili śmierci pani Dandsby–Gregg. Wyłączył się. Z głową pochyloną do przodu posuwał się krok za krokiem jak automat. Zadawałem sobie pytanie, ile razy musiał żałować tego nieszczęsnego słowa, które zdradziło, że Solly Levin jest jego ojcem. Milczący był również Jackstraw. Od czasu do czasu rzucał jakieś słowo, jeśli wymagały tego okoliczności. On jeden myślał logicznie. Zastanawiałem się, czy nie miał do mnie żalu. Szybko jednak odrzuciłem tę myśl. Znałem jego wybuchowy temperament, skrywany starannie pod maską zewnętrznego spokoju. Gdyby Smallwood i Corazzini nie byli uzbrojeni, wątpię, byśmy powstrzymali się od zabicia ich gołymi rękami, bez czekania na wyrok sądowy.

Wszyscy trzej byliśmy całkowicie wyczerpani, zmarznięci, pokrwawieni, głodni, coraz bardziej słabnący z braku pożywienia. Nie byliśmy jednak tej nocy ze sobą. Nasze ciała stały się maszynami, które słuchały rozkazów mózgu. Nasze mózgi natomiast były tak opanowane niepokojem i gniewem, że nie pozostawało w nich już najmniejszego miejsca na inne myśli.

Posuwaliśmy się po śladach pozostawionych przez gaśienice traktora. Zbyt dobrze znałem Hillcresta, aby wiedzieć, że zrozumie, iż ci, którzy zawładnęli naszym traktorem (niestety, nie mógł wiedzieć, kto to był, i z równym powodzeniem mógł sądzić, że to Zagero), nigdy nie odważą się jechać w kierunku Uplavnika, ale skierują się prosto ku wybrzeżu. Było bardzo prawdopodobne, że Hillcrest w konsekwencji tych przemyśleń również wybrał ten kierunek i posuwał się już w stronę

fiordu Kangalak, który stanowił jedyną bramę wśród wysokich, pokrytych lodem, opadających pionowo do oceanu skał. Na swoim wehikule miał prototyp doskonałego żyroskopu Arma, którego nie było jeszcze w sprzedaży. Dzięki niemu nawigacja na lodowcu nie stanowiła dla Hillcresta żadnego problemu.

Niestety, nie mogliśmy iść mu naprzeciw. Podczas tej zamieci szansa spotkania się z nim była bardzo znikoma. A rozminięcie się oznaczało dla nas śmierć. Wobec tego lepiej było posuwać się w stronę wybrzeża. Mógł nas tam odnaleźć jakiś samolot lub okręt patrolowy. Naturalnie, gdybyśmy do tego wybrzeża dotarli. Wiedziałem, że Jackstraw i Zagero myślą podobnie. Oni również byli zdecydowani iść za Smallwoodem i Corazzinim. Za wszelką cenę i aż do ostatniego tchu. Do skierowania się ku wybrzeżu zmuszały nas nie tylko względy natury osobistej, ale przede wszystkim poczucie rzeczywistości. Gdy Smallwood nas opuścił i pozostawił własnemu losowi, znajdowaliśmy się już w kotlinie, która kończyła się na lodowcu Kangalak i którą dął wichur z szybkością tornada. I dął ze wschodu, a więc w nasze plecy.

Jedynie Zagero, Jackstraw i ja mogliśmy unieść więcej, niż ważyliśmy sami. A przecież mieliśmy ze sobą trzy osoby, które nie mogły chodzić. Mahler był ciągle nieprzytomny, ciągle spał. Moim zdaniem, nie pozostało mu już wiele życia. Zagero niósł go na plecach przez cały czas trwania tego białego koszmaru. Zapłacił za to straszliwą cenę. Kiedy kilka godzin później zbadalem jego odmrożone ręce, zrozumiałem, że Johnny Zagero nigdy już nie stanie na ringu. Nieprzytomna była również Maria le Garde. Kiedy potykałem się, niosąc ją w ramionach, miałem przeczucie, że jest to jedynie zbyteczny gest.

Helena załamała się godzinę po zniknięciu traktora. Całkowicie opuściły ją siły. Ją także trzeba było wziąć na ręce. Umieraliśmy z głodu i zmęczenia; do tej pory nie rozumiem, w jaki sposób udało nam się nieść tych ludzi tak długo. Podtrzymywała nas jakaś fanatyczna siła i poczucie odpowiedzialności, które nakazywały iść dalej i dalej, mimo że nie czuliśmy ani nóg, ani rąk. Za

nami, kulejąc i potykając się jak ślepiec, szedł senator Brewster. Na te kilka godzin przestał on być dla mnie senatorem, uosobieniem pełnego pychy arystokraty, lecz stał się ucieleśnieniem starego pułkownika z południa Stanów Zjednoczonych, wcieleniem tej rycerskości, która dawno zniknęła, wspomnieniem czasów, kiedy kurtuazja i wspaniałe męstwo w najtrudniejszych sytuacjach były tak powszednie, że nie zwracano na nie uwagi. Wiele razy podczas tej tragicznej nocy domagał się, aby pomóc któremuś z nas, i niósł ciężar aż do chwili, gdy padał ze zmęczenia. Mimo podeszłego wieku był potężnej budowy, ale ani jego płuca, ani serce nie odpowiadały mięśniom. Z każdą godziną czuł się gorzej.

Smallwood i Corazzini liczyli na to, że zginiemy. Popełnili jednak błąd. Zapomnieli o Balto. W chwili gdy porzucili nas na pastwę losu, pies nie był na uwięzi i biegał swobodnie. Nie spostrzegli go, a nawet nie myśleli o nim. Ale Balto nie zapomniał o nas. Zachował się tak, jakby rozumiał, że stało się coś anormalnego; kiedy siedzieliśmy uwięzieni na towarowych saniach, ani razu nie zbliżył się do nas, ale kiedy traktor oddalił się, pojawił się natychmiast. Wyłonił się niczym widmo ze śnieżnego tumanu i poprowadził nas w kierunku lodowca Kangalak. Tak nam się przynajmniej wydawało. Jackstraw oświadczył, że pies szedł po niewidocznych w owej chwili, bo skrytych pod pokrywą świeżego śniegu, śladach gąsienic. Zagero nie był tym uspokojony. Słyszałem, jak wielokrotnie powtarzał:

— Mam nadzieję, że on wie, dokąd nas prowadzi.

Naturalnie, Balto wiedział.

Kilka razy, między północą a trzecią nad ranem — trudno byłoby mi stwierdzić kiedy dokładnie — pies zatrzymywał się nagle, podnosił pysk i wydawał przeciągły, typowy dla wilka skowyt... czekał na odpowiedź. Czy słyszał cokolwiek? Do naszych uszu nie doszedł żaden dźwięk. Balto zdawał się jednak zadowolony, zmieniał lekko kierunek i ponownie zanurzał się w zamieć. My, na znak dawany przez Jackstraw, ruszaliśmy również.

Po kilku takich zatrzymaniach natrafiliśmy na psie sanie. Obok nich leżały przytulone do siebie dwa psy. Pokrywający je śnieg zapewniał im ciepło. Futro arktycznych psów jest tak gęste i stanowi tak znakomity izolator, że mogą one przy największym mrozie przez wiele godzin leżeć w śniegu i nie odczuwać zimna. Kiedy podeszliśmy bliżej, psy zerwały się i umknęły w śnieżycę. Wolały wolność niż nas. Nam pozostały sanie.

Smallwood sądził prawdopodobnie, że znajdujemy się dość daleko, i pozbył się psów oraz sań, uznając je za niepotrzebny ciężar. Naturalnie odwiązał zwierzęta i zdemontował znajdujący się na saniach kompas. Myślał o wszystkim.

W kilka minut po znalezieniu sań umieściliśmy na nich Marię le Garde, Mahlera oraz Helenę, zwiążaliśmy pozrywane kawałki rzemieni i ruszyliśmy w drogę. Sanie ciągnęliśmy oczywiście sami. A mimo to odetchnęliśmy — było nam trochę lżej. Nie na długo jednak. Mimo że poruszaliśmy się teraz po płaskiej powierzchni, posuwaliśmy się niewiele szybciej niż poprzednio. Wichura osiągnęła punkt kulminacyjny. Tumany śniegu zatykały nam oczy. Musieliśmy trzymać się razem, aby nikt nie został porwany przez szalejący żywioł. Teodor Mahler, poruszając się w malignie, kilka razy spadł z sań. Zmusiłem Brewstera, aby usiadł i pilnował go. Protestował, myśląc, że czynimy to tylko dla jego wygody, ale wreszcie posłuchał.

Wszystko, co działo się po tym momencie, znalazło słabe odbicie w mej pamięci.

Prawdopodobnie zapadłem w stan jakiejś półprzytomności, która umożliwiała mi wprawdzie automatyczne stawianie kroków, ale całkowicie stępiła świadomość. Ocknąłem się dopiero wtedy, gdy poczułem, że ktoś szarpie mnie za ramię. Był to Jackstraw.

— Proszę stanąć! — zawołał mi do ucha. — Musimy zatrzymać się, doktorze Mason, i poczekać, aż uciszy się wiatr. W przeciwnym wypadku nie wydostaniemy się stąd nigdy!

Odpowiedziałem coś niezrozumiałego, co Jackstraw wziął prawdopodobnie za zgodę, gdyż skierował nas w stronę ściany lodowego wąwozu, gdzie jako tako osłonięci od wiatru,

zatrzymaliśmy się pod śnieżną skarżą. Nie było to wymarzone schronienie, ale wichur nie dawał się tu tak bardzo we znaki. Zdjęliśmy z sań naszych chorych i wygrzebaliśmy w śniegu niewielką niszę. W chwili kiedy chciałem położyć się na lodzie, zdałem sobie sprawę, że kogoś brakuje. Po dobrych kilku sekundach pojałem. Nie było między nami Brewstera.

— Wielkie nieba! — zawołałem. — Zgubiliśmy senatora! Pójdę go poszukać; zajmie mi to niewiele czasu.

— Proszę tu pozostać! — Nacisk ręki Jackstrawa na moje ramię był tak mocny, że zrozumiałem, iż użyje siły, gdybym go nie posłuchał. — Nigdy nie odnajdzie pan drogi! Balto! Balto! — krzyknął na psa, a gdy ten się zjawiał, Jackstraw wypowiedział do niego kilka zdań po eskimosku. Wielki pies zrozumiał rozkaz i natychmiast pomknął w kierunku, który mu wskazał Jackstraw. Wrócił po dwóch minutach.

— No i co? Znalazł go? — spytałem.

Jackstraw skinął twierdząco głową.

— Chodźmy go poszukać.

Balto doprowadził nas na miejsce, z którego, niestety nie powróciliśmy z senatorem.

Pozostawiliśmy go leżącego na śniegu, tam gdzie spotkała go śmierć. Wkrótce zamieć pokryła go cienką warstwą białego puchu. Moje ręce były zbyt sztywne, abym mógł go zbadać. Było to jednak niepotrzebne. Pół wieku dobrego odżywiania, używania alkoholu oraz nadużywania wszelkich przyjemności życia — co zdradzał kolor jego cery — sprawiły, że był to albo zawał, albo wylew krwi do mózgu. Nie umiałem się zdecydować, ale czy to ważne? Zginął przecież jak mężczyzna. Nie potrafię powiedzieć, ile czasu, niewrażliwi na wszystko, co działo się wokół nas, pozostawaliśmy na miejscu, tuląc się do siebie w półśnie i oczekiwaniu, aż minie huragan i straszliwa zamieć. Może było to pół godziny, a może nawet mniej. Obudziłem się sztywny z zimna i zapaliłem latarkę Jackstrawa — była czwarta rano. Spojrzałem na pozostałych, Jackstraw nie spał,

byłem przekonany, że nie zmrużył oka w obawie, aby ktoś z nas nie zapadł w sen, z którego nie można się już obudzić. Ruszał się także Zagero.

Nie wątpiłem, że Jackstraw, Zagero i ja mamy szansę wydostania się z tej matni. Ale co z Heleną? Przy jej siedemnastu latach, braku odporności i jakiegokolwiek zaprawy? W tym wieku bez wątplenia łatwo odzyskuje się siły, ale Helena po śmierci swojej chlebodawczyni załamała się zupełnie. Poprosiłem Jackstrawa, aby wymasował jej ręce, a sam rzuciłem okiem na Mahlera i Marię le Garde.

— Wydaje mi się, że nie są oni w zbyt dobrej formie — odezwał się Zagero, przyglądając mi się uważnie. — Czy mają jakąś szansę ocalenia, doktorze?

— Naprawdę nie wiem — odpowiedziałem zmęczonym głosem. — Nie wiem już zresztą nic.

— Niech pan nie bierze sobie tego wszystkiego zbyt do serca, doktorze. To przecież nie pańska wina. — Zagero wskazał ręką na lodowatą pustynię, po której hulał śnieg i wiatr. — Pańska apteka nie jest przecież aż tak dobrze zaopatrzona, prawda?

— Z pewnością nie. — Uśmiechnąłem się blado i odwróciłem do Mahlera. — Zagero, niech pan pochyli się nad nim i posłucha jego oddechu. Koniec jest już bliski. W normalnych warunkach dałbym człowiekowi w jego stanie tylko dwie, trzy godziny życia. Ale jeśli chodzi o Mahlera, sam nie wiem. Ma ogromną wolę życia, jest odważny i postawił przed sobą cel... Wydaje mi się, że to go wciąż jeszcze trzyma, ale za dwanaście godzin będzie trupem.

— A ile czasu daje pan mnie, doktorze Mason?

Odwróciłem się gwałtownie.. Pytanie to zadała Maria le Garde. Jej głos był ledwo słyszalny i brzmiał jak głuche westchnienie. Próbowwała uśmiechnąć się, ale jej uśmiech zmienił się w grymas bólu. Oczy pozbawione blasku, który tak mnie kiedyś zachwycił, były prawie nieruchome.

— Pani się obudziła! — Pochyliłem się nad nią, ściągnąłem jej rękawice i zacząłem masować biedne odmrożone ręce. — Nadzwyczajne! Jak się pani czuje?

— A jak się panu wydaje? — odpowiedziała z nagłym przeblyskiem energii. — Niech mnie pan nie oszukuje, Peter. Ile pozostawił mi pan czasu?

— Jeszcze tysiące sukcesów na wielkich scenach — zapewniłem. Latarka wypadła mi z rąk i leżała na śniegu, oświetlając nas dokładnie. Pochyliłem się, aby nie widziała mojej twarzy, aby nie mogła wyczytać tego, co było na niej wypisane. — Poważnie mówiąc, sam fakt, że się pani obudziła, jest bardzo obiecujący. To dobry znak.

— Grałam kiedyś rolę królowej, która odzyskała przytomność tylko po to, aby wymówić kilka wielce znaczących słów. Później umarła. Niestety, nie umiem znaleźć żadnego słowa dla potomnych. — Jej głos przeszedł w szept. — Jest pan straszliwym kłamcą, Peter. Czy istnieje dla nas choćby jakiś cień nadziei?

— Naturalnie! — skłamałem. — Niedługo będziemy na wybrzeżu, skąd zabierze nas samolot albo statek. Jutro po południu. Chciałem powiedzieć... dziś po południu. Jesteśmy zaledwie trzydzieści pięć kilometrów od wybrzeża.

— Trzydzieści pięć kilometrów? — zawołał Zagero. — W tych warunkach?

Podniósł rękę, zwijając ją w trąbkę, i przyłożył do ucha, tak jakby chciał lepiej usłyszeć wycie wichru.

— To już nie potrwa długo, panie Zagero — powiedział Jackstraw. — Takie wichury wybuchają nagle i nagle cichną. Nigdy nie są zbyt długotrwałe. Ta była i tak o wiele dłuższa niż inne, ale w tej chwili traci już na sile. Jutro będzie jasno, cicho i zimno.

— A zimno, naturalnie, zmieni wszystko — zauważył Zagero z przekonaniem. Spojrzał mi przez ramię: — Starsza pani straciła przytomność.

— Tak. — Przestałem masować jej dłonie i włożyłem na nie rękawice. — Popatrzmy teraz na pańskie ręce, panie Zagero.

— Johnny dla pana, doktorze. — Podał mi swoje potężne dłonie. — Piękne prawda?

O nie, nie były piękne! Był to najbardziej typowy przypadek odmrożenia, jaki zdarzyło mi się oglądać, a muszę przyznać, że widziałem ich bardzo wiele. Ręce Zagera były białozółte, były martwe. I pomimo nielicznych zresztą miejsc, które reagowały na dotyk, wiedziałem, że spustoszenia dokonane przez mróz są nieodwracalne.

— Zdaje się, że nie bardzo zwracałem uwagę na rękawice — powiedział, jakby tłumacząc się.

— Prawdę mówiąc, zgubiłem je jakieś dziesięć kilometrów stąd. Zdałem sobie z tego sprawę dopiero tutaj; było mi tak zimno, że nic nie czułem.

— A teraz czuje pan coś?

— W niektórych miejscach. — Przeczącymi bądź twierdzącymi ruchami głowy wskazywał mi czułe na dotyk i martwe punkty swych rąk. Rozmawiał ze mną tak, jakby prowadził towarzyską rozmowę w najlepszym nowojorskim salonie. — No i jak, doktorze? Czy będą mi je amputować?

— Nie — potrząsnąłem głową. Nie chciałem mu powiedzieć, że kilka palców było już straconych.

— Czy będę mógł jeszcze uprawiać boks? — I to pytanie zostało zadane normalnym głosem.

— Trudno mi powiedzieć. Nigdy nie można przewidzieć...

— Czy będę mógł boksować?

— Nie. Nigdy nie będzie pan już uprawiał boksu.

Zapadła cisza. Po dłuższej chwili Zagero spytał spokojnie:

— Czy jest pan tego pewien, doktorze? Czy jest pan absolutnie pewien?

— Jestem absolutnie pewien, Johnny. Żaden lekarz sportowy nie pozwoli panu wejść na ring.

— No cóż, skoro jest tak, jak jest, to nie ma na to rady. Zakłady Consolidated Plastics w

Trenton, w stanie New Jersey, mają wobec tego nowego rekruta. Rzeczywiście, boks to męczący zawód. — W jego głosie nie wyczuwało się żadnego żalu. Wiedziałem dlaczego. Był w tej chwili tak samo jak ja zajęty sprawami dużo ważniejszymi. Od kilku sekund przyglądał się uważnie białej

ścianie śniegu, wreszcie powiedział: — Co się dzieje z pańskim psem, Jackstraw?

Dwa razy podczas naszej rozmowy Balto ginął w ciemnościach i wracał po kilku minutach wyraźnie podniecony i zaniepokojony.

— Nie wiem. Pójdę zobaczyć. To nie zajmie mi wiele czasu.

Powrócił po kilku minutach.

— Niech pan pójdzie ze mną, doktorze Mason.

Sto metrów od nas Jackstraw oświetlił latarką lód pokryty śniegiem. Pochyliłem się i zobaczyłem czarną plamę, a metr od niej miejsce, które wyglądało tak, jakby śnieg ponownie zamarzał.

— Olej z silnika albo ze skrzyni biegów i płyn z chłodnicy — powiedział Jackstraw. Przesunął światło latarki w bok. — Są jeszcze ślady gąsienic.

— Świeże? — spytałem.

— Wydaje mi się, że tak. Stali tu dość długo, doktorze Mason. Niech pan spojrzy na wielkość tej plamy oleju.

— Defekt? — spytałem z niedowierzaniem w głosie.

— Prawdopodobnie czekali na uciszenie się huraganu. Corazzini nic nie widział. Gdyby zgasili silnik, z pewnością nie mogliby go już uruchomić — powiedział bez wahania Jackstraw.

Miał rację. Wiedziałem o tym. Ani Smallwood, ani Corazzini nie wykazywali w czasie naszej wspólnej podróży specjalnych talentów jako mechanicy.

— Może byli tu wówczas, gdy zatrzymaliśmy się... Gdybyśmy przeszli sto metrów więcej!

— Co się stało, to się stało, jak zwykł pan mawiać, doktorze Mason. Ale istotnie, byli tu właśnie wtedy. Jestem tego pewien.

— Dlaczego więc nie słyszeliśmy warkotu silnika?

— Przy tym wietrze było to niemożliwe.

— Jackstraw! — Zaświtała mi nadzieja. — Jackstraw! Czy spał pan kilkanaście minut temu?

— Nie.

— Jak długo staliśmy?

— Najwyżej pół godziny.

— I twierdzi pan, że oni tutaj wówczas byli! A więc nie mogli oddalić się od nas więcej niż dwa kilometry! Wiatr już ustaje i temperatura znów zaczyna spadać.

Jeżeli dłużej pozostaniemy na miejscu, zamarzniemy. Mam nadzieję, że będą jechali powoli, a wówczas...

Ruszyłem niemal pędem. Obok mnie biegł Jackstraw, poprzedzany przez prowadzącego nas Balta.

Zagero czekał już na nas. Obok niego stała Helena.

— Heleno! — Wziąłem ją za rękę. — Jak pani się teraz czuje?

— Dużo lepiej.

— Czy potrafi pani iść? Jeżeli tak, to doskonale.

Czułem, że odrodziła się we mnie nadzieja i zaczyna pchać mnie naprzód. Szybko wytłumaczyłem Zagerowi nową sytuację. W minutę później, po ułożeniu Mahlera i Marii le Garde na saniach, byliśmy już w drodze.

Niestety, nadzieja dogonienia traktora, który pozostawił ślady koło naszego obozowiska, trwała krótko. Początkowo posuwaliśmy się nawet dość szybko, ale w pewnym momencie sanie wywróciły się i chorzy spadli na twarde lód. Po tym wypadku musieliśmy zwolnić tempo — jeszcze jedna taka historia, a sanie niewątpliwie zamieniłyby się w karawan. Od czasu do czasu Jackstraw oglądał ślady gąsienic; były jednak coraz mniej wyraźne. Wreszcie nadszedł moment, gdy zrozumieliśmy, że przegraliśmy wyścig i należy się zatrzymać. Dzieliła nas od nich zbyt duża odległość, prawdopodobnie jakieś sześć kilometrów. Nie mogliśmy ich dogonić.

Umieściliśmy Helenę na saniach i powierzyliśmy jej opiekę nad chorymi, a sami, założywszy rzemienie na ramiona, pociągnęliśmy zaprzęg.

Huragan — tak jak to przewidywał Jackstraw — ustał nagle i na lodowcu zapanowała absolutna cisza. Przestał też padać śnieg. Ciężkie, niskie chmury zostały rozproszone i na czarnym niebie zaświeciły gwiazdy. Zrobiło się zimno, ale mróz był już naszym starym przyjacielem.

O godzinie ósmej rano, w trzy godziny po tym, jak opuściliśmy nasze ostatnie miejsce postoju, zapanowała idealna do podróży pogoda.

Cieszyliśmy się z tego, bo znajdowaliśmy się właśnie na lodowcu Kangalak, który stanowił niezwykle trudny teren. Lodowiec bardzo rzadko przypomina zamrożoną rzekę o idealnej powierzchni. Najczęściej jest pofałdowany, pocięty dziesiątkami szczelin, podobny do zastygłego pola lawy. Lodowiec Kangalak nie był wyjątkiem w tej regule. Miejscami spotykaliśmy tereny płaskie i równe, ale większą część drogi musieliśmy przebywać brzegami różnych wąwozów. Naturalnie, szybkość posuwania malała wówczas znacznie. Coraz częściej natykaliśmy się też na odłamki skał i olbrzymie połacie naniesionego śniegu, który krył pod sobą niezliczone niebezpieczeństwa. Pocieszałem się, że jeśli nasz marsz był tak mozolny, to o ileż trudniejsze musi być posuwanie się traktora. Świadczyły zresztą o tym ślady gąsienic, co chwila zmieniające kierunek.

W jakiej odległości od nas mógł znajdować się Hillcrest i jego doskonały pojazd śniegowy? Byłem pewien, że po przekroczeniu łańcucha Nunatak skierował się na zachód. Miał dość czasu, aby bez trudu dotrzeć do wybrzeża, nawet podczas takiego huraganu jak ten, który szalał poprzedniej nocy. Jego pojazd miał doskonale osłonięty silnik, a bardzo szerokie gąsienice mogły poruszać się po miękkim i świeżym śniegu z dużą prędkością. Mimo to — oczywiście pod warunkiem, że myślał tak samo jak ja i ruszył w stronę wybrzeża — mógłby w tej chwili znajdować się w odległości około trzystu kilometrów na północ albo na południe od nas. Nie

miałem mapy. Wyobrażałem sobie, że Hillcrest, inteligentny przecież i sprytny, zdał sobie sprawę, iż zbrodniarze mogli udać się tylko w kierunku wybrzeża. Było to jednak tak oczywiste, że aż budziło wątpliwości. Nie można było też wykluczyć, że ruszył do Uplavnika. Mógł przecież wybrać drogę na zachód, ale posuwając się ruchem zygzakowym, metodycznie badając cały teren aż do wybrzeża. Gdyby zrobił tak rzeczywiście, to w tej chwili powinien znajdować się jakieś pięćdziesiąt kilometrów za nami. Ale było to tylko przypuszczenie. Równie dobrze mógł być oddalony od nas nawet o tysiąc kilometrów. Niestety, nie mieliśmy radia czy jakiegokolwiek innej możliwości nawiązania z nim kontaktu.

Zatrzymaliśmy się po godzinie ósmej. Postanowiłem zbadać naszych chorych. Był to zresztą wyłącznie zawodowy odruch. Wiedziałem, że niewiele mogę dla nich zrobić — co najwyżej wymasować ich, aby nie dopuścić do całkowitego zamarznięcia. Każdy oddech Mahlera pochłaniał ostatnie zapasy energii jego wychudzonego ciała. Nic nie było w stanie go uratować. Ciągnięcie go dalej z sobą było czystym szaleństwem, niepotrzebnym wysiłkiem. Był zupełnie nieprzytomny. Gdybyśmy pozostawili go na miejscu, umarłby prawdopodobnie cicho i spokojnie. Ale Mahler był dla nas czymś więcej niż człowiekiem, był symbolem. Mogliśmy pozostawić go dopiero wtedy, gdy wyda ostatnie tchnienie.

Umierała również Maria le Garde. Ale umierała cichutko, spokojnie, jak dopalająca się świeca. Trudno było przewidzieć, które z nich umrze pierwsze — ona czy Mahler. Pewne natomiast było, że oboje umrą w ciągu najbliższego dnia.

Droga stawała się coraz trudniejsza. Często musieliśmy zatrzymywać się. Zarówno ilość szczelin, jak i stopień ich niebezpieczeństwa znacznie się zwiększyły. Przystawała też świecić latarka Jackstrawa. I właśnie w tej sytuacji prawdziwym skarbem okazał się Balto. Ten wielki pies tak w ciągu dnia, jak i w zupełnej ciemności doskonale wyczuwał wszystkie szczeliny; i te otwarte, i te zakryte śniegiem. Szedł bezbłędnie. Biegł przed nami badając teren, a później wracał do nas,

jakby upewniał się, czy wybieramy dobrą drogę. Mimo to posuwaliśmy się bardzo powoli. Było kilka minut przed dziewiątą, gdy natknęliśmy się na ciężarowe sanie. Opuszczone, stały obok naniesionej moreny. Mimo ciemności łatwo można było sobie wyobrazić, co się stało. Zakręty lodowca, nie mówiąc już o nagłych zapadlinach, stworzyły z ciężkich sań zbędny, a nawet niebezpieczny balast. Musiało nimi nieźle zarzucać w prawo i lewo, skoro Smallwood i Corazzini odcięli je i zostawili. Podejrzewam, że uczynili to z obawy, aby sanie nie wciągnęły traktora do jakiejś szczeliny. Dziwiłem się, że nie zrobili tego wcześniej. Żywność i paliwo przenieśli do kabiny traktora, pozostawiając na saniach cały pozostały ładunek, oczywiście z wyjątkiem aparatu radiowego. Porzucili nawet plandeki, którymi kilka dni temu przykryłem Zagera i Levina, uważając ich za głównych podejrzanych. Teraz owinęliśmy nimi Mahlera i Marię le Garde. Nie przeszliśmy nawet stu metrów, gdy zatrzymałem się tak gwałtownie, że sanie, które były tuż za mną, pchnęły mnie i przewróciły na lód. Wstałem, śmiejąc się. Śmiałem się po raz pierwszy od wielu dni. Zagero zbliżył się do mnie.

— Co się stało doktorze?

Chciałem mu odpowiedzieć, ale kiedy otworzyłem usta, by to uczynić, ponownie zaniósłem się od śmiechu. Zagero wymierzył mi siarczasty policzek.

— Niech pan się powstrzyma, doktorze! To naprawdę do niczego dobrego nie doprowadzi.

— Wprost przeciwnie, to dla nas zbawienie! — wykrztusiłem, pocierając twarz. Nie miałem do niego pretensji, że mnie spoliczkował. — Mój Boże, a mogłem o tym nie pomyśleć!

— Nie pomyśleć? O czym? — Nie był jeszcze zupełnie przekonany, czy nagle nie oszalałem.

— Chodźmy do transportowych sań, wtedy pan zobaczy! Smallwood uważa, że myśli o wszystkim, ale nareszcie popełnił błąd. Ogromny błąd! A w dodatku nie mogliśmy wymarzyć sobie lepszej pogody, aby wykorzystać nadarżającą się sposobność.

Odwrociłem się i biegiem ruszyłem w stronę porzuconych sań.

Wiele dziwnych przedmiotów składało się na wyposażenie ekip Międzynarodowego Roku Geofizycznego. Zestaw taki jest równie bogaty dla grup znajdujących się na stałym stanowisku, jak i dla tych, które wędrują. Przedmiotem obowiązkowym każdego ekwipunku są wypełnione magnezją rakiety, używane w Arktyce od przeszło dwudziestu pięciu lat podczas długich nocy polarnych. Jest to najlepszy, a właściwie jedyny sposób zasygnalizowania swojej obecności. Ostatnio do rakiet doszły jeszcze radiosondy. Mieliśmy ich olbrzymie ilości, gdyż trudno byłoby bez nich wykonać te wszystkie zadania, które powinniśmy zrealizować na lodowcu, to znaczy: zebrać informacje na temat ciśnienia, wilgotności i temperatury powietrza oraz kierunku wiatru w wyższych warstwach atmosfery. Te radiosondy, zapakowane wraz z namiotami, linami, toporami, łopatkami, którymi nie posługiwaliśmy się w czasie naszej podróży, to po prostu balony wyposażone w nadajniki radiowe, przeznaczone do wysyłania na ziemię informacji z wysokości od trzydziestu do pięćdziesięciu tysięcy metrów. Mieliśmy również rakiety. Były one automatycznie odpalane z balonów, kiedy te przekraczały gęstsze warstwy atmosfery. Balony operujące na wysokości tysiąca ośmiuset metrów nadawały się doskonale do realizacji mojego pomysłu.

Wystarczyło nam zupełnie słabe światło dopalającej się latarki. Razem z Jackstrawem już setki razy napełnialiśmy balony. Polegało to na połączeniu balonu z butlą z wodorem, wypełnieniu go tym gazem, zdjęciu nadajnika radiowego i zastąpieniu go przez trzy rakiety z magnezją, zaopatrzone w specjalny zapalnik. Operacja ta zajęła nam zaledwie kilka minut. Zapaliliśmy detonatory, odcięliśmy linę przytrzymującą balon i kiedy osiągnął on wysokość dwustu metrów, mieliśmy już przygotowany następny. W chwili, gdy odczepialiśmy nadajnik z trzeciego balonu, pierwsza rakiet zapaliła się na wysokości tysiąca trzystu metrów i oblała całą okolicę białym, jaskrawym światłem.

Eksperyment wypadł doskonale, lepiej, niż się spodziewałem. Zagero trzepnął mnie otwartą dłonią w łopatki. Zrozumiałem, że myślał o tym samym, co ja.

— Doktorze Mason — powiedział uroczyście — cofam wszystko, co kiedykolwiek

powiedziałem do pana nieprzyjemnego. Proszę mi wierzyć, doktorze, to był genialny pomysł!

— Rzeczywiście, niezły — zgodziłem się. — Jeśli ktoś przy tak doskonałej widoczności jak w tej chwili nie zobaczy takiego światła z odległości pięćdziesięciu kilometrów, to tylko całkowity ślepiec.

Oczywiście wymagało to patrzenia w dobrym kierunku. Ale ani Hillcrest, ani jego pięciu ludzi, pozostających w stanie ciągłego alarmu i szukających nas, nie mogli tego przegapić.

Druga rakiet zapaliła się na znacznie większej wysokości niż pierwsza. W chwili gdy gaśła, pełen zadowolenia pomyślałem, że te dwa sztuczne ognie musiały zostać właściwie zrozumiane przez wszystkie znajdujące się na morzu w naszej okolicy okręty. Nagle poczułem się mniej dumny. Prawdopodobnie Corazzini i Smallwood, którzy musieli być oddaleni od nas zaledwie o kilka kilometrów, również zobaczyli rakiety i zapewne zdali sobie sprawę, co one oznaczają. Dla nich był to sygnał, że sieć wokół nich zaczęła się powoli zaciskać.

Prowadziło to oczywiście do jednego — agresywni mordercy powinni przeobrazić się w morderców zaniepokojonych. To oczywiście nie mogło wróżyć niczego dobrego. Mieli zakładników — Margaret i ojca Johnny'ego Zagera. Rakiety były jednak naszą jedyną szansą.

Starając się usunąć z myśli obraz dwojga więźniów znajdujących się w rękach zbrodniarzy, odwróciłem się, aby przyjrzeć się trzeciemu, powoli wznoszącemu się w górę balonowi.

Odwróciłem się i gwałtownie zamknąłem oczy. Trzecia rakiet miała prawdopodobnie jakiś defekt, zapaliła się na wysokości dwustu metrów nad nami. Ujrzałem biało-niebieską błyskawicę, która natychmiast zmieniła się w pomarańczowy płomień. Balon spłonął; jego szczątki powoli opadały na lód.

Przyglądałem się temu wydarzeniu tak dokładnie, że uszło mojej uwagi coś znacznie

ważniejszego. Na szczęście dostrzegł to Jackstraw. Ujął mnie mocno za ramię. Odwróciłem się i

zobaczyłem na jego twarzy szeroki uśmiech szczęścia. Białe zęby błyszczały mu w ciemności.

Wyciągnął rękę wskazując mi kierunek. Blisko, nie dalej niż osiem kilometrów od nas, opadała na ziemię czerwono–biała rakietka.

Trudno jest opisać nasze uczucia. Był to najpiękniejszy widok, jaki kiedykolwiek oglądałem.

Dwadzieścia minut później reflektory wielkiego pojazdu oświetliły pobliskie wzniesienie i skierowały się w stronę miejsca, na którym zapaliliśmy ostatnią naszą raketę, umocowaną na metalowym maszcie. Wydawało mi się, że od chwili ujrzenia świateł do momentu, gdy zatrzymał się przed nami potężny żółto–czerwony wehikuł, minęły całe wieki. W rzeczywistości było to zaledwie dziesięć minut.

Kabina, do której wciągnęły nas silne ramiona, wydała mi się czymś bajecznym. Czuję się jak nowo narodzony, gdy siedziałem na ławeczce z kieliszkiem koniaku w ręce. Po raz pierwszy od pięciu dni odetchnąłem z ulgą.

Dla Hillcresta, jowialnego, zawsze ufego, pełnego niezwyklej witalności mężczyzny o potężnej budowie, czerwonej twarzy i czarnej brodzie, nasz widok nie mógł być zbyt przyjemny. Nasze twarze były żółte, pokryte bruzdami, dłonie pozbawione krwi, paznokcie czarne i popękane. Był to szok nawet dla mnie, a cóż dopiero dla niego. Nie odezwał się jednak ani słowem, rozdzielając wśród nas środki odżywcze. Umieścił Mahlera i Marię le Garde na składanych łóżkach, wypełnionych ogrzewającymi poduszkami elektrycznymi. Osobiście pilnował kucharza, który przygotowywał nam gorące dania. Przez cały czas nie spytał o nic. Odezwał się dopiero wtedy, gdy zakończył te wszystkie czynności.

— No cóż, świetnie! — powiedział swoim różnym, pogodnym głosem. — Przynajmniej przed wszystkim woły, a później dopiero wóz. Gdzie jest Citroen? Mam nadzieję, że urządzenie elektroniczne ciągle jeszcze się na nim znajduje. Nie zdaje pan sobie sprawy, doktorze, ile ataków serca wywołała ta cała historia.

— To nie jest najważniejsze — odpowiedziałem spokojnie. Ruchem głowy wskazałem Teodora Mahlera, którego chrapliwy oddech donośnie rozlegał się w kabinie. — Ten człowiek umiera. — Niech się pan nie niepokoje — powiedział Hillcrest z uśmiechem. Spojrzał w stronę Jossa, który po gorącym powitaniu powrócił do radioaparatu. — Ten chłopiec nie opuścił swojego stanowiska od dwudziestu czterech godzin, to jest od chwili, kiedy otrzymaliśmy pański sygnał „Mayday”. — Przyjrzał mi się uważnie. — Zaryzykował pan jednak. Ciekawe, co pan zrobił, by po tym słowie nie połknąć kuli.

— Mało brakowało... Ale mówiliśmy o Mahlerze.

— Tak. Byliśmy w stałym kontakcie z dwoma okrętami: niszczycielem i lotniskowcem.

Wątpiłem, czy właśnie w tym kierunku udadzą się nasi „przyjaciele”. Niszczyciel znajduje się w tej chwili bardzo blisko brzegu. Lotniskowiec nie może jednak manewrować tak jak niszczyciel. Jest zbyt wielki, a dziury w powłoce lodowej na morzu małe. Jest więc teraz w odległości stu dwudziestu kilometrów stąd, na wodach wolnych od lodu.

— Sto dwadzieścia kilometrów! — W moim głosie brzmiało rozczarowanie. Za wszelką cenę chciałem uratować umierającego.

— Ale nie pomyślał pan o wszystkim, doktorze — powiedział Hillcrest. — Żyjemy w epoce lotnictwa.

Odwrócił się w stronę Jossa. — Z pokładu lotniskowca wystartował samolot. Znajduje się w tej chwili w powietrzu. Jest teraz dokładnie dziewięć trzydzieści trzy. Za trzynaście minut mamy wystrzelić pierwszą rakietę, potem dwie inne, w odstępach trzydziestosekundowych. O godzinie dziewiętej czterdzieści osiem zapalimy ładunek magnezji w miejscu, gdzie ma dokonać zrzutu. Ma to być co najmniej dwieście metrów od traktora. — Joss słuchał uważnie jeszcze przez kilkanaście sekund, wreszcie spojrzał na mnie z uśmiechem: — Przekazują nam, że jak tylko zapalimy magnezję, musimy szybko uciekać z tego miejsca, żeby nie zarobić paru guzów na głowie.

Nie wiedziałem, co mówić, nie wiedziałem, na co patrzeć: takie chwile jak ta są bardzo rzadkie w życiu. Wydaje mi się, że nie zdawaliśmy sobie jeszcze sprawy z tego, jak wiele miejsca w naszym życiu zajął Teodor Mahler i jak ważna stała się dla nas sprawa uratowania go od śmierci.

Hillcrest instynktownie zrozumiał nasze uczucia. Odezwał się spokojnie:

— Przykro mi, że nie mogliście otrzymać tego zrzutu wcześniej, ale lotniskowiec odmówił wysłania samolotu, nie mając pewności, czy Mahler jeszcze żyje. Zrzut z małej wysokości na zupełnie nieznanym terenie jest naprawdę ryzykownym przedsięwzięciem.

— Dokonali wobec tego wszystkiego, czego można było od nich żądać. Doskonale ich rozumiem; nie mogli postąpić inaczej — powiedziałem.

Nagle przeraziłem się: — Przecież ten samolot nie ma na pokładzie amunicji! W czasie pokoju samoloty są nie uzbrojone, prawda?

— Niech się pan nie obawia. — Hillcrest z uśmiechem napełnił nasze talerze pachnącą zupą. — Bawimy się już teraz poważnie. Cała eskadra samolotów znajduje się w stanie gotowości bojowej... Nie wątpię, że mają amunicję na pokładach... A teraz, doktorze, kolej na pańską opowieść.

W wielkim skrócie przedstawiłem mu nasze przygody. Kiedy skończyłem, przyklasnął.

— Mówi pan, że mają tylko osiem kilometrów przewagi nad nami? A więc zjeżdżamy pędem z lodowca i gonimy ich! — zatarł z zadowoleniem ręce. — Posuwamy się trzy razy szybciej niż oni i mamy trzy razy więcej broni od nich! Tak rozumiem dobrze wyposażoną ekipę!

Uśmiechnąłem się pod nosem, mimo że wcale nie było mi wesoło. Teraz, kiedy odpowiedzialność za życie Mahlera nie spoczywała już wyłącznie na mnie, a ciepło i doskonałe pożywienie powinno pomóc Marii le Garde, niepokoił mnie los Margaret Ross.

— Nie zjedziemy pędem po lodowcu i nie ruszymy w pościg, kapitanie Hillcrest. Nie tylko z tego powodu, że prawdopodobnie nie będziemy mogli posuwać się szybciej od Citroena, ale

również dlatego, że wyruszenie w pościg stanie się przyczyną śmierci Margaret Ross i Solly'ego Levina, który jest ojcem Johnny'ego Zagera.

— Co? — spytali jednocześnie Hillcrest i Joss.

— Tak... Wy tłumaczę wam później. Czy macie mapę tego rejonu?

— Naturalnie — odpowiedział Hillcrest, podając mi ją.

Jak większość map Grenlandii nie zawierała danych topograficznych miejsc oddalonych więcej niż trzydzieści kilometrów od wybrzeża. Dla mnie było to jednak wystarczające. Lodowiec Kangalak dociera do fiordu o tej samej nazwie i tworzy głęboką zatokę.

— Gdzie znajduje się ten niszczyciel, o którym pan mówił?

— Nie wiem dokładnie.

— Prawdopodobnie zamyka fiord. — Pokazałem punkt na mapie.

— Nie, jestem pewien, że tam go nie ma. Jego dowódca powiedział mi, że obawia się wprowadzić okręt do któregoś z wolnych kanałów, bowiem lód jest zbyt gruby i w każdej chwili może się za nim zamknąć.

— Może lód nie jest wcale taki gruby — powiedziałem. — W czasie wojny służyłem w marynarce i wiem, że dziób niszczyciela jest dość solidny. Przypuszczam, że wewnątrz fiordu znajduje się łódź rybacka ze specjalnie wzmocnionym dziobem. Proszę spojrzeć, Hillcrest — dotknąłem mapy palcem — możemy tylko tak postąpić: pojedziemy jakieś półtora kilometra wzdłuż lodowca, trzymając się jego krawędzi. Tam jest zakręt, Smallwood nie będzie nas widział, nie może nas też usłyszeć. Nie pozwoli mu na to huk jego silnika. Kiedy będziemy na dole...

— A cóż mu przeszkodzi zatrzymać się od czasu do czasu, żeby posłuchać, co się dzieje? — przerwał mi Hillcrest.

— To bardzo proste: ani jeden, ani drugi nie znają się na mechanice. Zarówno Corazzini, jak i Smallwood obawiają się, że nie potrafią uruchomić silnika... Kiedy będziemy na dole, tam gdzie

kończy się lodowiec, a właściwie jakiś kilometr od czoła lodowca, urządzimy zasadzkę.

Znalezienie odpowiedniego miejsca nie będzie zbyt trudne.

— Urządzimy zasadzkę? — spytał Hillcrest marszcząc czoło. — Jakaż więc jest różnica między pańskim planem a moją pogonią? Tak czy tak, będzie musiało dojść do starcia i nic nie powstrzyma ich od przyłożenia pistoletów do głowy Levina i stewardesy. Tylko w ten sposób będą mogli rozpocząć przetargi.

— Nie będzie żadnej walki — odpowiedziałem spokojnym tonem. — Od początku posuwają się wzdłuż lewego brzegu lodowca i nie widzę powodów, aby zmienili kierunek. Kiedy znajdą się na dole, będą mniej więcej pięćdziesiąt metrów od miejsca, w którym my się zatrzymamy. Traktory nie mogą poruszać się środkiem lodowca. — Wskazałem na stojący w kącie kabiny sztucer z lunetą. — Z tej broni Jackstraw trafia w cel o średnicy dziesięciu centymetrów, znajdujący się w odległości stu metrów. Głowa człowieka stojącego w odległości pięćdziesięciu metrów jest celem sześć razy większym. Jackstraw zastrzeli przede wszystkim Corazziniego, który prawdopodobnie będzie siedział za kierownicą, a potem Smallwooda, który wychyli się, żeby zobaczyć, co się dzieje. Wydaje mi się, że jest to jedyny sposób.

— Ależ, mój drogi doktorze, nie można tego zrobić — Hillcrest był przerażony — nie dając im najmniejszej szansy i bez uprzedzenia! To jest morderstwo, morderstwo z premedytacją!

— Czy pan chce, abym sporządził panu listę osób, które zamordowali? — spytałem surowo. — Nie zdaje pan sobie sprawy, Hillcrest, co to za ludzie.

— Ależ... — przerwał i zwrócił się do Jackstrawa: — Doktor żąda tego od pana, a co pan na to?

— Będzie to dla mnie największa przyjemność — odpowiedział Jackstraw spokojnie.

Hillcrest przyglądał się nam przez dłuższą chwilę, nie wierząc własnym uszom. Znał nas bardzo dobrze, ale nie wiedział, jaki koszmar przeżyliśmy. Byłem wdzięczny Jossowi, że przerwał tę męczącą ciszę:

— Jest godzina dziewiąta czterdzieści trzy, kapitanie. Mamy jeszcze trzy minuty.

— Dobrze — powiedział Hillcrest.

Zauważyłem, że wtrącenie się Jossa było także jemu bardzo na rękę. Wydał polecenie kucharzowi, jedynemu ze swoich ludzi, który znajdował się razem z nami, gdyż trzej pozostali przenieśli się do kabiny kierowców, aby ustawił trzy rakiety. Zastrzegł tylko, że sam je odpali. Poszedłem razem z nim. Wszystko potoczyło się po naszej myśli. Kiedy trzecia rakietka poszybowała w niebo, od strony południowego zachodu pojawił się mały czarny punkt bez światła pozycyjnych. Przeleciał nad nami na niewielkiej wysokości, zatoczył w ciemności koło i powrócił z wyraźnie zredukowaną szybkością. Jego silniki wyły jak oszalałe. Jeszcze raz zatoczył koło i zauważyliśmy, że coś wyrzucił. Pilot dokonał naprawdę niezwykłej sztuki.

Na lodzie, w pobliżu nas, leżały dwa zasobniki. Były przyłączone nie do spadochronów, ale zaopatrzone w małe kotwice, które utrzymywały je na lodzie. Zawartość obu była identyczna: dwie ampułki insuliny i trzy strzykawki. Nie chciano ryzykować. Złapałem ten skarb pod pachę i biegiem wróciłem do kabiny.

Przez dwie godziny kierowca Hillcresta prowadził olbrzymi pojazd z maksymalną prędkością. Łódź była okropna. Mimo szerokich gąsienic i doskonałych amortyzatorów rzucało na prawo i lewo. Balto, nieoceniony pies Jackstrawa, biegł cały czas przed nami. To on i tylko on wskazywał drogę naszemu pojazdowi. Na szczęście w południe, kiedy rozpoczęła się polarna szaruga, jazda stała się łatwiejsza.

Przez pierwsze pół godziny zajmowałem się wyłącznie Mahlerem, który po zastrzyku insuliny powoli wychodził z krytycznego stanu. Potem zbadałem Marię le Garde, Helenę, Jackstrawa i opatrzyłem rękę Zagera.

Gdy dokładnie w południe wjechaliśmy na majestatycznie spływający do fiordu lodowiec, nasz pojazd zatrzymał się. Ujrzelśmy niezwykły widok. Fiord tylko w jednym miejscu miał płaskie

wybrzeże. Prawdopodobnie tam właśnie miała płynąć łódź współników Smallwooda i Corazziniego. Lodowiec Kangalak był poprzecinany głębokimi szczelinami. Na horyzoncie widać było zupełnie wyraźnie pokryte gęstą krą Morze Baffina. Dwa kilometry od brzegu wody były już wolne. Kłębiła się nad nimi gęsta, biała mgła, z której wynurzały się oddalone od siebie o kilka mil dwa statki. Jednym z nich był z pewnością niszczyciel: drugi natomiast, kiedy przyjrzelśmy mu się lepiej, okazał się małym rybackim statkiem. Wpływał właśnie do fiordu. Na jego maszcie nie było żadnej flagi.

W drzwiach kabiny ukazała się głowa Hillcresta.

— Posłuchajcie! Są już blisko!

I rzeczywiście. W ciszy, jaka nagle zapadła, rozległ się warkot silnika, który poznałbym wśród tysięcy innych. Opuściliśmy otoczone skałami wgłębienie, gdzie ukryliśmy nasz pojazd.

Znajdowaliśmy się nie więcej niż sto metrów od Citroena. Hillcrest, Jackstraw i ja ruszyliśmy naprzód, kryjąc się za zwałami odłamków skał i lodu. Każdy z nas miał w ręku sztucer.

Nie musieliśmy się spieszyć. Citroen był jeszcze daleko, a jedyna możliwa z tej strony lodowca do przebycia droga znajdowała się wśród szczelin, trzydzieści metrów od nas. Z tej odległości Jackstraw nie mógł spudłować. Spojrzałem na niego. Jego twarz sprawiała wrażenie wyrzeźbionej w lodzie maski.

Kiedy wreszcie usłyszeliśmy silne dudnienie, Jackstraw szybko położył się na śniegu, przyjmując dogodną do strzału pozycję. Gdy jednak Citroen ukazał się już w polu naszego widzenia, powoli opuścił lufę sztucera. Traktor znajdował się na drugim brzegu lodowca. Wiedziałem, że minie nas w odległości trzystu metrów.

SOBOTA, DWUNASTA PIĘTNAŚCIE — DWUNASTA TRZYDZIEŚCI

Citroen poruszał się w sposób dziwaczny. Chwilami zwalniał, zatrzymywał się, a potem gwałtownie skakał do przodu, pokonując w ten sposób po dwadzieścia, trzydzieści metrów. Nie

widzieliśmy powierzchni lodowca, ale byliśmy pewni, że przyczyną tej nierównej jazdy są szczeliny.

Przyglądałem się traktorowi z rozpaczą. Smallwood i Corazzini jeszcze raz zwyciężyli.

Zrozumieli sens wystrzelonych przez Hillcresta rakiet, którymi wskazywał on samolotowi naszą pozycję, i postanowili natychmiast ominąć niebezpieczny dla nich brzeg lodowca.

Zdałem sobie sprawę, że mój plan spalił na panewce. Naturalnie, można było jeszcze interweniować, prosić o pomoc lotniskowiec, ale nie robiłem sobie żadnych nadziei, wiedziałem, że byłaby to interwencja za cenę życia zakładników.

Nerwowo szukałem wyjścia z sytuacji. Przejście trzystu metrów lodowcem nie wchodziło w rachubę. Zostalibyśmy natychmiast zauważeni. Z drugiej strony byłem przekonany, że Smallwood nie pozwoli na zidentyfikowanie statku rybackiego, który przecież musiał mieć jakiś numer czy nazwę. Wiedziałem, że nie będzie ryzykował, że z zimną krwią zabije obie ofiary.

— Wygląda na to, że uda im się uciec — powiedział Hillcrest.

— Czyżby życzył im pan tego? — zawołałem głosem pełnym gorzycy.

— Co też pan mówi, doktorze! To urządzenie elektroniczne...

— Gwizdzę na nie! — warknąłem. — W ciągu sześciu miesięcy inni uczeni wynajdą coś, co będzie dziesięciokrotnie lepsze i dwa razy bardziej tajne! Mogą je sobie zachować, mało mnie to obchodzi.

Hillcrest pominął milczeniem mój wybuch. Okazało się jednak, że nie tylko ja tak myślałem.

— Bravo! — Zagero zbliżył się do mnie. Białe bandażę na jego dłoniach wyglądały jak rękawice bokserskie. Mówił spokojnie, choć ani na moment nie oderwał wzroku od przeciwległego brzegu lodowca: — I ja myślę tak samo, doktorze! Mam w nosie zabawki skautów, urządzenia rakietonośne, służące do zabijania i do podboju kosmosu! Na tamtym traktorze jest mój ojciec i pańska młoda przyjaciółka.

— Jego młoda przyjaciółka? — Hillcrest odwrócił się gwałtownie i spojrzął na mnie bez słowa.

Po chwili wyszeptał: — Przepraszam cię, stary, nie wiedziałem.

Nie odpowiedziałem mu. Odwróciłem się, usłyszawszy za sobą kroki. Za mną stał Joss, z gołą głową, bez rękawic.

— Niszczyciel stanął na kotwicy. Spuścili łódź motorową, która w tej chwili płynie w kierunku wybrzeża. Eskadra samolotów leci w naszą stronę.

— Samoloty? Po co tu samoloty, czyżby mieli zamiar utworzyć drugi front? — spytałem ironicznie.

— Nie, doktorze. Otrzymali rozkaz zbombardowania statku rybackiego, jeżeli Smallwood dostanie się na jego pokład.

— Ciągle ta przekłeta, tajemnicza zabawka! Czyż oni kpią sobie z życia ludzkiego?

Hillcrest podał mi lornetkę. Zobaczyłem, że Corazzini, który wbrew wszelkim zasadom prowadził traktor na maksymalnych obrotach, kieruje się ku rybackiemu statkowi. Widać było, że nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakie groziło zarówno ludziom, jak i maszynie. Starąłem się przewidzieć zamysły obu zbrodniarzy oraz dalszy ciąg zdarzeń. Oczywiście, zdawałem sobie sprawę, że życie ludzkie nie liczy się dla nich w ogóle, niemniej trudno było przewidzieć, co uczynią. Orientowałem się, że jeżeli pozwolimy im zjechać traktorem w dół lodowca, to wszyscy mogą się zabić, a jeśli jakimś cudem uda im się zjechać, to bez żadnych skrupułów zamordują zakładników. Gdybyśmy mogli zatrzymać ich natychmiast, mielibyśmy małą szansę uratowania Margaret oraz Levina. Wiedziałem, że w tej chwili zakładnicy są jedynym atutem w rękach Smallwooda.

— Czy potrafi pan zatrzymać traktor? — spytałem Jackstrawa.

Skinął głową bez słowa.

— Nie może pan tego zrobić! — zawołał Zagero. — Zabiją ich! Mason, czy pan naprawdę tego

nie rozumie?

— Niech się pan uspokoi! — powiedziałem ze złościwością i chwyciłem zwój liny oraz sztucer.

— Naprawdę dziwię się, że pan przypuszcza, iż pozwolą ujść z życiem pańskiemu ojcu.

Pobiegłem w kierunku szczelin. Wiedziony odruchem, padłem na lód w momencie, gdy pierwsza kula gwizdnęła mi nad głową. Trafiła w przód Citroena, który mimo to jechał ciągle naprzód. Gdy przeskakiwałem przez wąską szczelinę, pośliznąłem się i straciłem równowagę. Szybko ją jednak odzyskałem i spojrzałem za siebie. Zobaczyłem Jossa, Zagera, Hillcresta oraz jego dwóch ludzi biegnących moim śladem. Ruszyłem dalej poprzez szczeliny i zagłębienia, zastanawiając się, do czego może przydać się człowiek bez broni i z rękami w takim stanie jak ręce Zagera. Niedługo już miałem się dowiedzieć, do czego jest zdolny taki człowiek...

Przecieliśmy lodowiec i skierowaliśmy się do miejsca, w którym według naszych przypuszczeń powinien być ukazać się traktor, gdyby Jackstawowi nie udało się go wcześniej zatrzymać.

Jackstaw strzelał cały czas nad naszymi głowami. Kule gwizdały i uderzały o metal. Każda z nich była celna. Citroen wydawał się jednak niezniszczalny.

Przebyliśmy już połowę drogi, gdy usłyszeliśmy nagle zgrzyt skrzyni biegów. To Corazzini — a widziałem to już teraz wyraźnie bez lornety — zorientowawszy się, że traktor ześlizguje się po zboczu lodowca, użył silnika jako hamulca. Po krótkiej przerwie w strzelaniu, gdy byliśmy jakieś sto metrów od traktora, kolejna kula przeszła jego karoserię i silnik gwałtownie ucichł. Traktor, choć było to wprost niewiarygodne, zatrzymał się na stromiźnie. Zaskrzypiały stare hamulce.

Przyczynę ich użycia zrozumiałem zupełnie nagle. W kabinie traktora coś się działo. Kiedy zbliżyliśmy się na kilkadziesiąt metrów, ujrzeliśmy Corazziniego walczącego z Sollym Levinem. I choć było to wprost niewiarygodne, Solly Levin miał przewagę! Skoczył na siedzącego za kierownicą Corazziniego i tłukł go po twarzy łysą głową. Pomieszczenie dla kierowcy było bardzo wąskie i Corazzini nie mógł wykorzystać swojej niezwyklej siły fizycznej.

Nagle drzwiczki otworzyły się i obaj, nie przerywając walki, wylecieli na lód. Teraz dopiero pojąłem, dlaczego Levin zaatakował głową: jego obie ręce, wykręcone do tyłu i założone na plecy, były związane. Nim dobiegliśmy na miejsce, Corazzini wyciągnął swój pistolet i strzelił do leżącego na śniegu Levina. Przybyłem o ułamek sekundy za późno. Kiedy skoczyłem na Corazziniego i kolbą wybiłem mu z ręki pistolet, wiedziałem, że jest już za późno. Broń wpadła do jednej z lodowych szczelin, ale Solly Levin był już skrwawionym, leżącym na lodzie ciałem. Gwałtownie pchnięty, odsunąłem się niezgrabnie. Obok mnie stanął Johnny Zagero i przyglądał się leżącemu u swoich stóp martwemu człowiekowi, swojemu ojcu. Przez chwilę, która wydała mi się wiecznością, stał nieruchomo z twarzą pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu. Gdy się odwrócił, po raz pierwszy zobaczyłem w oczach Corazziniego błysk przerażenia. Morderca nie czekał, z szybkością błyskawicy skoczył w kierunku skał. Ale Zagero był równie prędko. Dogonił go dosłownie po czterech metrach. Upadli walcząc w absolutnej ciszy. Była to walka na śmierć i życie. Powstać mógł tylko jeden.

— Rzuć broń!

Odwróciłem się gwałtownie na dźwięk tego głosu. Zobaczyłem bladą twarz Margaret Ross i pełne przerażenia jej wielkie oczy. Mimo woli podniosłem lufę.

— Rzucić broń! — powtórzył Smallwood głosem pełnym nienawiści. Z trudem dostrzegłem jego głowę wystającą spoza ramienia Margaret. Był całkowicie zasłonięty ciałem młodej kobiety.

— Pański kolega również niech rzuci broń, szybko!

Spojrzałem na Hillcresta — jedyne stojące obok mnie uzbrojone człowieka. Nagle usłyszałem strzał, któremu towarzyszył okrzyk bólu. Gdy się odwróciłem, zobaczyłem Margaret zaciskającą ręką swoje lewe ramię.

— Powiedziałem: szybko! Następną kulę dostanie w plecy! — Głos Smallwooda był spokojny, a twarz nieruchoma.

Nie wątpiłem ani przez moment, że z pewnością wykona to, co zapowiedział. Nasze dwa sztucery upadły na lód.

— Pchnijcie je nogą w kierunku szczeliny!

Usłuchaliśmy. Staliśmy zupełnie bezradni, przyglądając się straszliwej walce, która ciągle jeszcze toczyła się na lodzie. Obaj walczyli leżąc. Obaj byli silni fizycznie, ale Zagero był wycieńczony straszliwym nocnym marszem, a poza tym jego ręce owinięte grubymi bandażami, paralizującymi i osłabiającymi każdy cios, uniemożliwiały mu chwyt. Mimo to wynik walki nie nasuwał żadnych wątpliwości. Kalekie ręce Zagera, ręce, o których wiedziałem, że nigdy już nie będą mogły walczyć, zabijały Corazziniego.

Smallwood także przyglądał się walce. Czekał na moment rozdzielenia się przeciwników, aby strzelić do Zagera. Ten ciągle jednak znajdował się pod Corazzinim i zadawał mu śmiertelne ciosy w głowę. Ostatnim wysiłkiem Corazzini wyrwał się i pobiegł w kierunku pobliskiej skały. Zagero za nim. Był tak szybki, że kula Smallwooda nie zdążyła go dosięgnąć.

Los Corazziniego rozstrzygnął się za skałą, która stała się dla niego ostatnim już schronieniem.

— Zawołaj pan Nielsena! — Smallwood prawdopodobnie odgadł, co dzieje się za skałami.

Spojrzał w kierunku Jackstrawa i dwóch ludzi Hillcresta, którzy znajdowali się zaledwie pięćdziesiąt metrów od nas. — Niech rzuci szybko swój sztucer do szczeliny!

— Jackstraw! — Czuję, że mój głos załamał się zupełnie. — Niech pan rzuci sztucer! Jego pistolet jest wycelowany w pannę Ross. Zabije ją!

Jackstraw stanął, przez moment wahał się, potem spokojnie rzucił sztucer do najbliższej szczeliny i powoli zbliżył się do nas. W tej samej chwili Hillcrest chwycił mnie za rękę.

— Mason! On żyje! — Wskazał ręką Levina, który rzeczywiście poruszył się. Nie pomyślałem o zbadaniu go.

Nie wyobrażałem sobie, aby fachowiec tego typu co Corazzini mógł chybić. Nie myśląc o tym,

co robi Smallwood, pochyliłem się nad Levinem. Hillcrest miał rację.

Solly Levin oddychał. Przyjrzałem się cienkiej, biegnącej od skroni aż po potylicę czerwonej szramie. Podniosłem się.

— To tylko zadraśnięcie. Jest zszokowany i to wszystko. — Spojrzałem w kierunku skał. — Dla Corazziniego jest już jednak za późno.

Nie musiałem go widzieć. Walka tocząca się za skałami była tak straszliwa, że trudno było dostrzec w niej coś ludzkiego. Rozgrywała się w absolutnej ciszy i przypominała zmagania dwóch dzikich bestii. W momencie gdy Smallwood zeskoczył z traktora, zasłaniając się Margaret Ross niczym tarczą, rozległ się przenikliwy krzyk, który wszystkich nas sparaliżował. Potem usłyszeliśmy jęk agonii... ciszę...

Smallwood znalazł się przy skałach dokładnie w tej chwili, w której Zagero wyłonił się z drugiej ich strony. Kierował się prosto na niego. Smallwood odsunął się i celując w niego pistoletem, pozwolił mu przejść. Zagero podszedł do nas. Twarz jego była pełna zadrapań, siniaków, a czerwone bandaże, które przedtem spowijały jego dłonie, ciągnęły się za nim jak wstęgi.

— Koniec? — spytałem.

— Tak, koniec.

— To dobrze — odpowiedziałem z przekonaniem. — Pański ojciec żyje. Jest tylko zadraśnięty.

Na twarzy boksera ukazał się uśmiech radości. Ukląkł obok Solly'ego Levina.

— Niech pan tego nie robi, Smallwood! — zawołałem do mordercy, który wycelował swój pistolet w Zagera. — Pozostaną panu już tylko cztery kule.

Spojrzał na mnie zimnymi jak lód oczami. Minęła dobra chwila, nim zrozumiał, co powiedziałem. Odwrócił się do Jackstrawa, który stał najbliżej niego, i powiedział:

— Proszę mi przynieść moje radio.

Kiedy Jackstraw podszedł do kabiny i zaczął szukać aparatu, Zagero powoli wstał.

— Może rzeczywiście byłem zbyt szybki — wyszeptał. Spojrzał na skały, ale na jego twarzy nie było widać żalu.

— Na szczęście mam sześciu świadków. Wszyscy widzieliście, co się stało... A teraz pańska kolej, Smallwood.

— Corazzini był idiotą — powiedział z pogardą w głosie Smallwood. — Nie żałuję go. — Odporność na jakiegokolwiek wzruszenie była u tego człowieka wprost niezwykła. — Niech pan postawi aparat, Nielsen, i idzie do swoich przyjaciół. Ja skontaktuję się z moimi. Wy tu zostaniecie, a ja z panią Ross pójdę w kierunku wybrzeża.

W tej samej chwili na niebie ukazała się eskadra samolotów. Przeleciały na wysokości zaledwie stu metrów, ostrzeliwując brzeg.

— Odcięli panu drogę, Smallwood. Mają rozkaz — skłamałem — strzelać do każdego, kto będzie usiłował zbliżyć się do brzegu.

— Nie odważą się — odpowiedział. — Wraz ze mną zabiliby i tę osobę.

— Jest pan idiotą! — zawołałem. — W całej tej sprawie życie ludzkie nie odgrywa żadnej roli. Samoloty mają rozkaz strzelania do dwóch osób schodzących z lodowca. Z góry nie można rozróżnić, czy Margaret Ross jest mężczyzną czy kobietą.

Zauważyłem, że Smallwood uwierzył mi, ale w jego głowie rodziły się już nowe plany.

— Nie spieszy mi się — powiedział spokojnym tonem. — Samoloty mogą krążyć nad nami tak długo, jak długo zechcą. To nie ma żadnego znaczenia. Dopóki jestem tutaj z wami, dopóty nie odważą się strzelać. Za godzinę będzie już ciemna noc, a wtedy z łatwością będę mógł was opuścić. Pozostańcie więc panowie obok mnie. Wydaje mi się, że nie macie zamiaru poświęcać życia pani Ross.

— Nie słuchajcie go! — zawołała Margaret. — Odejdźcie! Wiem, że on mnie i tak zabije. Jeżeli zrobi to teraz, skończą się moje męki! Jest mi wszystko jedno.

— Ale mnie nie jest wszystko jedno — powiedziałem zdecydowanie. — Niech pani nie będzie dzieckiem.

Wszystko dobrze się skończy.

— Co to znaczy być mężczyzną — odezwał się ironicznie Smallwood. — Ja, gdybym był na pani miejscu, nie brałbym zbyt serio tego ostatniego zdania.

— Dlaczego pan jej nie zwalnia, Smallwood? — spytałem spokojnie.

Nie miałem nadziei przekonać tego bezwzględego drania, próbowałem jednak wygrać na czasie, ponieważ zobaczyłem coś, co niosło nam ocalenie. Z prawej strony lodowca, z miejsca, w którym zamierzaliśmy urządzić zasadzkę, wyłoniło się kilkunastu mężczyzn posuwających się gęsiego.

— Czy pan wie, Smallwood, że z pokładu lotniskowca wystartowały samoloty? Ich luki są wypełnione bombami eksplodującymi i zapalającymi. Jak pan myśli, co one zaatakują?

Ludzie posuwający się gęsiego mieli na sobie mundury w kolorze ochronnym i byli uzbrojeni po zęby. Był to niewątpliwie oddziałek komandosów morskich, wysłany na ląd przez dowódcę niszczyciela. Ich sposób poruszania się zdradzał ludzi doskonale wytrenowanych i zorientowanych, co mają robić. Dowodził nimi oficer. W rękę trzymał pistolet maszynowy.

— Zadaniem bombowców jest niedopuszczenie do tego, by opuścił pan ten lodowiec żywy, Smallwood. Nie wyjdzie stąd ani pan, ani nikt z pańskich przyjaciół, mam na myśli oczywiście także załogę znajdującego się w fiordzie statku rybackiego!

Posuwali się jednak straszliwie powoli. Przypuszczałem, że znajdował się między nimi strzelec wyborowy, zdolny do trafienia Smallwooda pierwszą kulą, nie pomyślałem jednak, że kula ta mogłaby przeszyć zarówno Smallwooda, jak i Margaret Ross.

Starałem się w dalszym ciągu odwracać uwagę mojego przeciwnika od tego, co działo się na lodowcu. Tamci robili do nas znaki rękami, krzyczeli, aby uprzedzić nas o tym, że nadchodzą. Ich

głosy roznosiły się daleko. Musiałem stłumić te krzyki. Musiałem zrobić wszystko, aby Smallwood nie oderwał ode mnie wzroku.

— Zbombardują statek rybacki i pana wraz z nim! Po cóż więc...

Było już jednak za późno. Smallwood usłyszał krzyki. Obejrzał się za siebie i zobaczył nadciągających komandosów. Jego twarz wykrzywił grymas wściekłości.

— Kto to jest? — W jego głosie zabrzmiały niebezpieczne nuty. — Co oni tu robią? Szybko! Inaczej dziewczyna zginie!

— Jest to oddział wysłany z pokładu niszczyciela znajdującego się w zatoce — odpowiedziałem spokojnie. — To już koniec, Smallwood. Prawdopodobnie stanie pan jednak przed trybunałem.

— Zastrzelę dziewczynę!

— Oni zastrzelą pana. Mają zadanie... za wszelką cenę odzyskać to, co pan porwał. To już nie jest zabawa, Smallwood. Proszę mi oddać swój pistolet.

Wówczas zaczął kląć. Takich przekleństw nie słyszałem w życiu. Nagle skoczył w kierunku traktora, popychając przed sobą Margaret. Zrozumiałem, co chce zrobić, wiedziałem, jak ma wyglądać jego ostatnia próba ocalenia, i rzuciłem się w stronę drzwiczek prowadzących do kabiny kierowcy.

— Oszalałeś, Smallwood! — ryknąłem. — Zabije pan siebie i dziewczynę...

Jego pistolet strzelił bezgłośnie. Poczułem, jak coś gorącego rozrywa mi mięśnie ramienia i upadam na lód w chwili, gdy Smallwood zwolnił hamulce. Ciężka maszyna natychmiast ruszyła w dół, gaśienice minęły moją głowę zaledwie o kilka centymetrów. Gdyby nie Jackstraw, który rzucił mi się na ratunek, zostałbym zmiądzony. W chwilę później byłem już na nogach i biegłem za Citroenem. Tuż za mną pędził Jackstraw. Nie czułem bólu.

Traktor, którego przyczepność do lodu była przy tym spadku równa zero, przyspieszał z każdą sekundą. Z początku wydawało nam się, że Smallwood próbuje kontrolować jego bieg, ale szybko

zorientowaliśmy się, że jest to zupełnie niemożliwe. Maszyna, która była wówczas już tylko wyłącznie pięcioma tonami lecącej w dół bezwładnej stali, po prostu ślizgała się po zboczu, zataczając przy tym łuki i półkola. W jaki sposób udało się jej ominąć kilka szczelin, pozostanie wieczną tajemnicą. W każdym razie mijała je, a zgrzyt stawał się coraz donośniejszy.

Byliśmy chyba dwieście metrów za traktorem, gdy nagle zmienił on kierunek i uderzył o pagórek lodowy. Obrócił się kilka razy wokół własnej osi i z potworną siłą rąbnął tyłem w skaliste wzgórze. Znajdowaliśmy się w odległości stu metrów od miejsca wypadku, gdy zobaczyliśmy Smallwooda, który kulejąc wychodził z kabiny. Trzymał w ręku radio. Za nim szła Margaret Ross. Nie wiem, czy rzuciła się na niego, w każdym razie pośliznęli się i nagle zniknęli z powierzchni lodowca.

W tej samej chwili zobaczyłem zbliżający się klucz samolotów. Spojrzałem na leżący pod nami fiord. Chwyciłem trzymaną przez Hillcresta lornetę i przyłożyłem do oczu. Ujrzałem sylwetki kilku wychodzących na lód ludzi. Gdy spostrzegli samoloty, zatrzymali się, a potem cofnęli. Szybko wskoczyli do przycumowanej do lodowca łodzi motorowej i podpłynęli do burty stojącego w fiordzie stateczku rybackiego. Ten podniósł kotwicę i szybko ruszył w kierunku otwartego morza, by następnie rozpląnąć się w gęstej i kłębiącej się tuż przy jego powierzchni mgle. Wspólnicy Smallwooda czy też jego mocodawcy zorientowali się, że gra jest skończona.

Trwało to wszystko zaledwie sekundy, mnie jednak wydawało się, że upłynęły całe wieki...

Nagle oprzytomniałem... Przerażony, pobiegłem w kierunku szczeliny. Dotarłem tam kilka sekund przed Jackstrawem. Odetchnąłem z ulgą. Szczelina miała szerokość metra i zwężała się ku dołowi. Jej podstawa nie miała więcej niż sześćdziesiąt centymetrów, a samo dno tej jamy było ze skały idealnie gładko wypolerowanej przez masy lodu w ciągu tysięcy lat.

Margaret i Smallwood stali tam na dole i jak mi się wydawało, nie odnieśli żadnych obrażeń.

Smallwood — z zaciśniętymi wargami — przyglądał mi się, celując ciągle w skroń Margaret Ross.

— Niech pan mi rzuci linę, Mason. — Nawet w tej sytuacji jego głos był spokojny. — Ta szczelina zamyka się, lód jest ruchomy!

Rzeczywiście, lód się ruszał. Wiedziałem o tym. Wszystkie lodowce przemieszczają się, a niektóre z nich, szczególnie te na zachodnim wybrzeżu Grenlandii, robią to z olbrzymią szybkością. Wielki lodowiec Upervinik, leżący bardziej na północ, posuwał się półtora metra na godzinę.

— Szybko! — Niezwykle opanowanie nie opuszczało Smallwooda ani na chwilę. — Proszę się pospieszyć, w przeciwnym razie zabiję ją!

Wiedziałem, że nie żartuje.

— Dobrze — odpowiedziałem spokojnie.

Życie Margaret wisiało dosłownie na włosku, a mimo to jeszcze nigdy nie czułem się tak pewny siebie, jak w tej chwili. Rozwinąłem linę, jeden jej koniec owinąłem wokół swoich ramion, a drugi rzuciłem w szczelinę. Smallwood podniósł ręce, aby ją schwytać. Wówczas postąpiłem krok naprzód i z wyprostowanymi nogami i rękami przyciśniętymi do ciała skoczyłem na niego z wysokości pięciu metrów. Widział, że spadam na niego jak kamień, nie mógł jednak odskoczyć w bok. Schwyciłem go za plecy i ramiona. Upadliśmy razem na skałę.

Był bardzo silny, ale w tej walce nie miał nawet cienia szansy. Pomimo że nie wędrował pieszo w ciągu wielu godzin przez lodową pustynię ani nie był ranny i nie stracił tyle krwi co ja, uderzenie mego ciała oszołomiło go. Gdy zacisnąłem obie ręce wokół jego szyi, spadł na mnie grad ciosów, zadawanych pięściami w moje oczy i w odkrytą głowę. Mimo to ścisnąłem tę szyję, uderzając równocześnie jego głową o ścianę lodu. W pewnej chwili poczułem, że zwiotczał w moich rękach.

Wtedy go puściłem. Był już najwyższy czas, aby wydostać się ze szczeliny. Ściana lodu znajdowała się w tej chwili w odległości zaledwie sześćdziesięciu centymetrów od skały.

Byłem w szczelinie sam ze Smallwoodem. Hillcrest i jego ludzie opuścili na dół Jackstrawę,

który przewiązał Margaret Ross liną. Wyciągnięto ich razem. Przysięgłbym, że moja walka ze Smallwoodem nie trwała więcej niż dziesięć sekund, w rzeczywistości walczyliśmy jednak ponad pięć minut.

Usłyszałem głos Jackstrawa i poczułem uderzenie liny o moje plecy.

— Szybko, doktorze Mason! Szczelina zamknie się lada chwila!

— Proszę mi podać jeszcze jedną linę — odpowiedziałem wskazując na leżący u moich stóp radioaparat. Zbyt wiele wycierpieliśmy przez ten przedmiot, aby go tu zostawić.

Wiedziałem, że w aparacie ukryty jest niezwykle cenny wynalazek.

Dwadzieścia sekund później, wówczas gdy znajdowałem się już na górze, ściana lodu przesunęła się jeszcze kilka centymetrów i usłyszałem głos Smallwooda. Usłyszałem go po raz ostatni.

— Rzućcie mi linę! — Śmierć była od niego zaledwie o kilka sekund, a mimo to panował nad swoim głosem. — Rzućcie mi linę!

Zobaczyłem znów szeroką smugę krwi, którą Smallwood pozostawił za sobą: kapitan samolotu, trzech członkowie załogi, pułkownik Harrison, Brewster, pani Dandsby–Gregg — nie żyli.

Uprzytomniłem sobie cierpienia Marii le Garde i Mahlera.

Spojrzałem na Jackstrawa, który trzymał zwój lin. Zobaczyłem na jego twarzy wyrok, jaki sam wydałem. Jackstraw podszedł do krawędzi szczeliny i rzucił cały kłęb liny na człowieka klęczącego na dole, a później cofnął się bez słowa.

Odwróciliśmy się. Jackstraw i ja. Margaret szła między nami. Pomagaliśmy jej. Szliśmy w kierunku oddziału komandosów. Kiedy zaczęliśmy wstępować na lodowiec, poczuliśmy, jak zadrżał pod naszymi nogami lód. Miliony ton lodu przesuwały się w dół, w kierunku fiordu Kangalak.